BADANIE TRUDNEJ HISTORII

Czas dokończyć ekshumację w Jedwabnem – wzywa Chodakiewicz

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 29/281 16–22 LIPCA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Śledztwo „Do Rzeczy": Jak sądził Sąd Najwyższy

LEWANDOWSCY – BOLESNY UPADEK ZE SZCZYTU

Budowa zamku w puszczy nie przeszkadza ekologom

ZAMACH NA ŚWIĘTOŚĆ

Po ataku na Jasną Górę – gdzie jeszcze uderzy ruch LGBT?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 29 >

Nakład: 89 tys. egzemplarzy

Muzykami nie jesteśmy, ale...
GRAMY NAJLEPIEJ
W POLSCE
Trójka
POLSKIE RADIO

Podziękowania ojca Rydzyka

PAWEŁ LISICKI

Robicie bardzo dużo dobrego. Dla mnie przykre jest to, że nieraz słyszę ze strony starszych i dorosłych ludzi, mających ambicję bycia w elicie Polski, krytykę tej młodzieży, takie poniewieranie i odbieranie godności tej młodzieży, jest to jakieś nieporozumienie" – to słowa, w których o. Tadeusz Rydzyk podziękował na antenie Radia Maryja Robertowi Winnickiemu, liderowi polskich narodowców. Jak łatwo przewidzieć, ta pochwała za „katolicką i patriotyczną" postawę kilkudziesięciu, może kilkuset młodych ludzi, którzy nie dopuścili do przejścia Parady Równości na błonia Jasnej Góry, odbiła się w mediach liberalnych szerokim echem i została uznana za dowód ksenofobii, nietolerancji i wrogości do innych. Nic bardziej błędnego.

Niezależnie od tego, co sądzi się o różnych akcjach narodowców, w tym przypadku o. Rydzyk miał absolutną rację. To młodzi przeciwnicy Parady ratowali honor Polaków. To oni, nie dopuszczając do bluźnierstwa, a tym byłoby paradowanie ideologów homoseksualnych przed klasztorem, zasłużyli na uznanie. Szkoda, że tylko o. Rydzyk miał dość odwagi, żeby im za to publicznie podziękować.

Parada Równości, która miała dotrzeć pod Jasną Górę, była jednym z wielu aktów antykatolickiej prowokacji. To stały motyw polityki prowadzonej przez aktywistów LGBT we wszystkich państwach Zachodu. Polska nie jest tu wyjątkiem. W maju tego roku irlandzka prasa podała informację o zdjęciu pokazującym profanację jednego z kościołów: para homoseksualistów uprawia seks na ołtarzu.

Niemal co roku grupy feministek, aktywistów homoseksualnych i marksistowskich atakują i bezczeszczą kościoły w Argentynie. Tak było w październiku 2016 r. w Rosario. Jak pisała jedna z konserwatywnych gazet, „półnagie feministki wspierane przez wiele ohydnie poprzebieranych mężczyzn zaatakowały kościół, próbując wedrzeć się do środka. Nie pozwolił na to kordon stworzony przez zebranych wcześniej katolików, wulgarnie obrażanych i fizycznie napastowanych przez wściekły tłum lewackich demonstrantów". Cztery lata temu tłum aktywistek feministycznych i LGBT wdarł się do katedry w Bolonii. Kilka lat temu cztery półnagie feministki zaatakowały podczas wykładu prymasa Belgii, abp. André-Josepha Léonarda. Hierarchę poniżano, zakrzykiwano, oblewano wodą. Aktywiści LGBT regularnie od lat atakują katedrę św. Patryka w Nowym Jorku czy narodowe sanktuarium Niepokalanej w Waszyngtonie. Czasem wykrzykują wulgarne hasła, czasem pokazują obsceniczne gesty.

Wyszydzanie i wyśmiewanie katolickich symboli jest też częstym elementem demonstracji organizowanych przez feministki i działaczy LGBT. Tak też było 18 lat temu w Rzymie, podczas ogłoszonego przez Jana Pawła II roku świętego. Wtedy to właśnie ulicami Wiecznego Miasta pierwszy raz przeszła tzw. Parada Równości. Oto, co powiedział wówczas papież: „W imieniu Kościoła rzymskiego zmuszony jestem wyrazić rozgoryczenie z powodu zniewagi i obrazy chrześcijańskich wartości. Kościół nie może przemilczać prawdy, gdyż uchybiłby wierności wobec Boga Stwórcy i nie pomagałby w odróżnieniu dobra od zła".

I to jest istota sprawy. Demonstracje, marsze to tylko jeden ze środków nacisku, którymi grupy aktywistów LGBT próbują doprowadzić Kościół do tego, żeby „nie odróżniał dobra i zła" i, przede wszystkim, żeby zrezygnował z nazywania dobra i zła. Wszystkie metody są dobre: szantaż, kampanie oczerniające, zaszczuwanie przeciwników, wreszcie „zniewaga i obraza" symboli katolickich. Powód jest prosty: sprofanowana i poniżona świętość przestaje być świętością. Przestaje być dla wiernych znakiem mocy i siły, źródłem autorytetu. Atak na miejsca święte ma doprowadzić Kościół do kapitulacji i zmiany nauczania. Ma pokazać, mówiąc metaforycznie, kto tu rządzi.

Dobrze, że w Polsce ta strategia spotyka się z oporem. W przypadku ruchu LGBT, tak jak w przypadku każdej rewolucyjnej, globalnej ideologii, brak sprzeciwu jest zachętą do radykalizacji. Uległość rozzuchwala. Pierwszy tęczowy atak na Jasną Górę został odparty. Można być pewnym, że nastąpią kolejne, lepiej zorganizowane, bardziej krzykliwe. Chyba że polscy politycy zdobędą się na odwagę i przygotują skuteczną ustawę broniącą nas przed agresywną propagandą aktywistów LGBT. W przeciwnym razie pozostaje liczyć na mobilizację narodowców. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 5b277a8c4d

TEMAT TYGODNIA

18 KRZYSZTOF MASŁOŃ
JASNA GÓRA BRONI SIĘ JESZCZE
Powinniśmy chronić miejsca szczególnie istotne z religijnego czy narodowego punktu widzenia

KRAJ

24 ROZMOWA Z MICHAŁEM DWORCZYKIEM
POMIMO SPORÓW ODZYSKUJEMY PODMIOTOWOŚĆ
Poturbowani, ale z tarczą

28 PIOTR SEMKA
KRUCHE POROZUMIENIE

30 WOJCIECH WYBRANOWSKI
NADZWYCZAJNIE GRZESZNA KASTA

33 ROZMOWA Z SĘDZIĄ WIESŁAWEM JOHANNEM
CHCIAŁBYM TEN SYSTEM ZOBACZYĆ W DZIAŁANIU

36 STANISŁAW M. STANUCH
ODBIJANIE FORTECY

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
LEWY NA AUCIE

42 MARCIN MAKOWSKI
ZAMEK PO ZNAJOMOŚCI?

KULTURA

44 PIOTR SEMKA Z PARYŻA
REWOLUCJONISTA, KTÓRY NIE LUBIŁ REWOLUCJI
Wystawa w Luwrze w 155. rocznicę śmierci Eugène'a Delacroix

47 WALDEMAR ŻYSZKIEWICZ
OLAF? NIE, EDWARD

50 PIOTR GOCIEK
TĘPE PRZEDMIOTY

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TONĄCY ŚMIESZNIE SIĘ CHWYTA
„Tą ilością ludzi to my nic nie nawalczymy" – tymi słowami Lech Wałęsa rozwiał sny totalnej opozycji

60 PIOTR ZYCHOWICZ
POLSKA – UKRAINA – WOŁYŃ

62 MAREK JAN CHODAKIEWICZ Z WASZYNGTONU
PRAWDA NAS WYZWOLI

HISTORIA

66 ŁUKASZ CZARNECKI
SAMURAJ Z SOLIDARNOŚCI
Jak Polak z Japonii walczył z komuną

ŚWIAT

72 JACEK PRZYBYLSKI
OCALENI
Jak w Tajlandii ratowano nastoletnich piłkarzy i ich trenera

75 OLIVIER BAULT
BEZ POWROTU?

EKONOMIA

80 STEFAN SĘKOWSKI
PRL, CZYLI KATASTROFA
Prawdziwe oblicze realnego socjalizmu

83 TOMASZ WRÓBLEWSKI
„ELASTYCZNE EURO" URATUJE EUROPĘ?

LATO „DO RZECZY"

88 JOANNA BOJAŃCZYK
W POSZUKIWANIU DOBREGO CZASU
Najlepsze kurorty Europy – Deauville

O ZDROWIU

90 ROZMOWA Z DIANĄ WOLAŃSKĄ-BUZALSKĄ
PIRAMIDA ŻYWIENIA NA LATO
Dietetyk radzi, jak jeść zdrowo

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (65), ZYCHOWICZ, KOPER (70), KOWALCZUK (78), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 5b277a8c4d

butiki **SWISS**

swiss.com.pl

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu refleksja naszego czytelnika pod wpływem lektury „Michnikowszczyzny" Rafała A. Ziemkiewicza. Czekamy na Państwa listy. Te elektroniczne prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Michnikowszczyzna" i choroba języka

Jestem 45-letnim polonistą mieszkającym na Mazurach. Chociaż od dawna z uwagą słucham opinii i czytuję felietony pana Rafała A. Ziemkiewicza, to muszę przyznać, że długo wzbraniałem się od przeczytania „Michnikowszczyzny". Pewnie tytuł sugerował mi zbyt personalny charakter wywodu. Kiedy jednak lista książek Rafała A. Ziemkiewicza do przeczytania zaczęła się kurczyć, a okazja wepchnęła mi w ręce „Michnikowszczyznę" za parę złotych w antykwariacie, spróbowałem. Spróbowałem i muszę przyznać, już po kilkudziesięciu stronach zacząłem żałować. Żałować, że tak późno zdecydowałem się na lekturę.

Książka rzeczywiście świetnie tłumaczy to, co sam od lat intuicyjnie odczuwałem, chociażby prowadząc jakieś rozmowy w gronie znajomych czy rodziny na tematy społeczno-polityczne. Mianowicie jak działał pewien socjotechniczny mechanizm redukowania dyskursu i w ogóle samodzielnego krytycznego myślenia w Polsce. Dziękuję serdecznie za tę książkę i w ramach skromnego rewanżu chciałbym podzielić się pewną obserwacją językową, która zrodziła się właśnie pod wpływem „Michnikowszczyzny". Otóż mam wrażenie, że rzeczone środowisko wypracowało również pewien subkod językowy. Inny oczywiście u źródeł – tam, gdzie przemawiają „Autorytety", i nieco karykaturalny, gdy posługują się nim epigoni. Wśród rozmaitych drażniących mnie zjawisk („zadziało się", krucjata przeciw „Murzynowi") jest i nieznośna maniera wtrącania do swej wypowiedzi partykuły „tak?". Pomyślałem, że to również forma językowej perswazji, która ma upewnić nas w przekonaniu, że dobrze rozumiemy wywód i w pełni się z nim zgadzamy. To niewinne z pozoru „tak?" przecież aż prosi się o posłuszne potakiwanie (nomen omen).

Niewykluczone więc, że choroba zainfekowała już również językowy krwiobieg, a jeśli tak, detoksykacja zapowiada się trudna i długotrwała. Serdecznie pozdrawiam pana Rafała, życząc zdrowia i wysokiej formy intelektualnej.

Łączę pozdrowienia dla Redakcji
Tomasz Chlewiński

Wyjaśnienie

W „Do Rzeczy" 27/2018 z 2 lipca w moim tekście o feministkach pojawiło się zdanie: „W czasie powstania styczniowego była Emilia Plater". Powinno być oczywiście „W czasie powstania listopadowego była Emilia Plater". Czujnym Czytelnikom, którzy wychwycili błąd, dziękuję.

Łukasz Warzecha

Sprostowanie

W „Do Rzeczy" nr 28/2018 z 9–15 lipca 2018 r. (str. 58–59) redakcja pomyłkowo określiła afiliację uczelnianą autora, mimo informacji przekazanej przez prof. dr. hab. Romualda Kmiecika, że nie jest on już zatrudniony w UMCS. Za pomyłkę przepraszamy.

Redakcja

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Marta Bensalem, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**

Okładka: **LASKI DIFFUSION/EAST NEWS**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
FIRMA RODZINNA POLSKA WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 89 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 5b277a8c4d

Chwiejne kroki Junckera

Czy szef Komisji Europejskiej znów przyszedł do pracy pijany w sztok? Kamery telewizyjne zarejestrowały, jak podczas drugiego dnia szczytu NATO w Brukseli, już po uroczystym obiedzie, uśmiechnięty od ucha do ucha Jean-Claude Juncker najpierw nie jest w stanie utrzymać równowagi podczas podniesienia ogromnej flagi NATO. A następnie idzie przed siebie bardzo chwiejnym krokiem, potykając się o własne nogi i szukając wsparcia w ramionach m.in. prezydenta Ukrainy Petra Poroszenki oraz premiera Holandii Marka Rutte. Na zdjęciach widać też, jak Juncker próbuje sprowokować Donalda Trumpa, zajmując miejsce przeznaczone dla prezydenta USA.

Chociaż służby nie przebadały eurokraty alkomatem, to wiadomo, iż nie pierwszy raz podejrzewano, że jeden z najważniejszych przywódców Unii Europejskiej pojawia się w pracy na podwójnym gazie. Według „Daily Mail" w maju zeszłego roku szef Komisji Europejskiej na spotkanie z brytyjską premier Theresą May przyszedł tak pijany, że obijał się o meble. W roku 2015 światowe media obiegło nagranie, na którym widać, jak podczas unijnego szczytu na Łotwie Juncker na powitanie poklepywał po twarzy europejskich premierów, po czym głośno nazwał Viktora Orbána dyktatorem i publicznie go spoliczkował. Przy innych oficjalnych okazjach Juncker zasłaniał przywódcom oczy, całował ich w czoło, przyduszał i powtarzał ulubiony gest Benny'ego Hilla etc.

Już w 2014 r. były minister finansów Holandii Jeroen Dijsselbloem przed kamerami opowiadał wprost, że Juncker – dawny premier Luksemburga – nałogowo pali papierosy i pije bardzo dużo alkoholu. Problemy Junckera są tak częste, że 19 czerwca Komisja Europejska wydała nawet specjalną instrukcję, w której oficjalnie zaleca unijnym urzędnikom unikanie alkoholu.

63-letni Juncker swoje dziwne zachowanie tłumaczy różnie. Raz mówi w wywiadach, że „taki po prostu jest", innym, iż jego kłopoty wynikają z powikłań po ciężkim wypadku samochodowym lub że przyczyną jego problemów z poruszaniem jest rwa kulszowa. Można zrozumieć, że skoro Unia w obecnym kształcie się chwieje, to trudno, by jej przedstawiciel trzymał klasę.

Jako naród, którego prezydent wielokrotnie cierpiał na różne odmiany „filipińskiej choroby tropikalnej", przynajmniej łatwiej możemy zrozumieć, skąd się biorą niektóre krytyczne argumenty Junckera wobec Polski. ©℗ ***(jap)***

FOT. AP/EAST NEWS

FOT. ERIC VIDAL/REUTERS/FORUM

FOT. JOHN THYS/AFP/EAST NEWS

KRZYSZTOF MASŁOŃ ODZNACZONY MEDALEM GLORIA ARTIS

FOT. DANUTA MATLOCH

Medale „Zasłużony Kulturze – Gloria Artis" (łac. chwała sztuce) od 2005 r. nadawane są przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego osobom szczególnie wyróżniającym się w dziedzinie twórczości artystycznej, działalności kulturalnej lub ochronie kultury i dziedzictwa narodowego.

Odznaczenie ma trzy stopnie: brązowy srebrny oraz złoty. Krzysztof Masłoń, publicysta tygodnika „Do Rzeczy", krytyk literacki oraz autor kilku książek, otrzymał w zeszłym tygodniu od ministra Piotra Glińskiego medal srebrny w dziedzinie literatury.

Wśród tegorocznych nagrodzonych złotymi medalami znaleźli się też m.in. Antoni Libera, pisarz, tłumacz i reżyser teatralny. Medal w dziedzinie teatru otrzymał Krzysztof Orzechowski, profesor sztuk teatralnych i były dyrektor Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. ***(jap)*** ©℗

ADAMOWICZ PRZEGRAŁ Z WSZECHPOLAKIEM

Prezydent Gdańska Paweł Adamowicz został ukarany 2,5 tys. zł grzywny, musi też zwrócić 300 zł kosztów sądowych Aleksandrowi Jankowskiemu z Młodzieży Wszechpolskiej w Gdańsku, który skierował do sądu prywatny akt oskarżenia. Do zajścia, które zaprowadziło obu panów przed sąd, doszło 7 listopada 2017 r. Działacze Młodzieży Wszechpolskiej chcieli wręczyć przemawiającemu Adamowi Michnikowi wiadro z substancją przypominającą smołę. Interwencję miał wtedy podjąć prezydent Gdańska. Sąd uznał, że na nagraniu słychać, jak Adamowicz zwraca się do działaczy MW: „Won, faszyści!", i widać, jak dwukrotnie popycha Jankowskiego. Prezydent Gdańska zapowiedział złożenie apelacji. ***(raw)*** ©℗

eprasa.pl 5b277a8c4d

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Brukselka na ostro

Szczyt NATO w stolicy Belgii Polska może uznać za udany. Prezydent Donald Trump odwalił za Polskę brudną robotę, wypalając prosto z mostu, że wikłając się w bałtycką rurę, Niemcy stają się zakładnikiem Rosji. I bardzo trafnie wytykając Angeli Merkel, że nie można kierować do Rosji strumieni euro, a jednocześnie pozować na członka sojuszu, który chce bronić Europy przed Rosją.

Szef polskiej dyplomacji Jacek Czaputowicz ze swej strony podkreślił poparcie Polski dla zwiększenia obecności wojsk NATO nad Wisłą, ale taktownie zaznaczył, że nie powinno to się odbywać kosztem likwidacji baz amerykańskich w Niemczech.

Prezydent Andrzej Duda wreszcie, choć na krótko, spotkał się zaś z Donaldem Trumpem i – jak się zdaje – uzyskał na wrzesień zaproszenie do Białego Domu. Mile w polskich uszach zabrzmiały zapewnienia premiera Kanady Justina Trudeau o przedłużeniu obecności kanadyjskich wojsk na Łotwie.

Tyle pozytywów. A konkrety? Niewiele. Kraje NATO przedstawiły jako wielki sukces program „4 razy 30", czyli zapowiedź stworzenia w ramach sił szybkiego reagowania 30 batalionów zmechanizowanych, 30 lotniczych eskadr bojowych i wystawienia 30 okrętów wojennych gotowych do działania przez 30 dni.

Gdy Rosjanie wciąż testują swe oddziały w syryjskich warunkach „gorącej" wojny i co rusz chwalą się nowymi rodzajami uzbrojenia, takie „osiągnięcia" mogą budzić wśród generałów w Moskwie jedynie śmiech.

Jak zwykle Donald Trump narzekał, że większość krajów europejskich NATO nie wydaje na zbrojenia nawet 2 proc. PKB, a przy okazji podwyższył poprzeczkę, mówiąc o docelowym pułapie 4 proc. PKB.

Dzieje się to w sytuacji, gdy Niemcy wśród gromkich deklaracji Angeli Merkel o zrozumieniu nowej sytuacji – dają sobie aż siedem lat na dojście do wydatków militarnych na poziomie 1,5 proc. PKB.

Spora była też lista tematów tabu. Nikt nie zająknął się nawet, że czas, by sojusz pełnym głosem unieważnił raz na zawsze złożone Rosji w 1997 r. obietnice zaniechania tworzenia stałych baz na wschód od Łaby. Obietnice ostatecznie unieważnione agresją Moskwy wobec Ukrainy.

Nie poruszono też delikatnego tematu Turcji, która coraz bardziej oddala się od Zachodu, właśnie szykując się do kupowania rosyjskich rakiet i czując się lepiej w gronie lokalnych potęg w rodzaju Iranu niż z partnerami z Europy.

Jak zwykle dyplomaci wyliczali, na ile ostrych słów można sobie pozwolić, a w jakich wypadkach trzeba pouśmiechać się do obiektywów na wspólnym zdjęciu. Tyle że od tego NATO nie będzie dużo silniejsze.

Pozostaje więc Ameryka. I nerwowe oczekiwanie na szczyt Trump-Putin w Helsinkach. I wiara, że pewny siebie self-made man z Nowego Jorku nie da się ograć w grze sam na sam z Władimirem Putinem. ©℗

FOT. JAKUB SZYMCZUK/KPRP

ZGROMADZENIE NARODOWE BEZ OPOZYCJI

– Wiwat Sejm, wiwat Senat, wiwat Rzeczpospolita! – tymi słowami prezydent Andrzej Duda zakończył w piątek orędzie do członków Zgromadzenia Narodowego. Wspólne posiedzenie posłów i senatorów – zwołane w celu uczczenia 550-lecia polskiego parlamentaryzmu i 100-lecia odzyskania niepodległości – odbyło się w namiocie na dziedzińcu Zamku Królewskiego. Uroczystość od początku bojkotowała PO. Z kolei posłowie Nowoczesnej w piątek ostentacyjnie opuścili namiot. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 5b277a8c4d

MUNDIAL OKIEM JASTRZĘBIA

Nauka jest za naszym trenerem

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Jeśli chodzi o ważne informacje z mundialu 2018, to Cristiano Ronaldo przeszedł z Realu do Juventusu. Że co? Że to nie o mundialu? A owszem, o mundialu, i to w ścisłym znaczeniu. Gdyby bowiem CR7 nie strzelił w meczu z Hiszpanią trzech bramek, czyli legendarnych już według Pani Olgi z TVN dwóch hat tricków (jak mnie się podoba takie żartobliwe upowszechnianie wiedzy sportowej wśród matek nie tylko karmiących), i gdyby nie jego szekspirowskie podciąganie gaci w celu ekspozycji mięśni nóg na rosyjskich boiskach, to mógłby tak marzyć o Juventusie za 117 mln euro jak Pan Łupież o Realu. 33-letni Ronaldo, który swoje lata ma, grać będzie zatem w Starej Damie (Panią Olgę z TVN uprasza się o jakiś lekki żarcik, czemu na Juve mówi się Stara Dama i nikogo to nie strzyka).

W Turynie, jeszcze w czasie trwania mundialu, zaczęło się więc szaleństwo związane z Ronaldo. Akcje klubu poszybowały w niebo, a koszulki z CR7 cieszą się powodzeniem porównywalnym wyłącznie z wakatami w zarządach spółek Skarbu Państwa. I o to w tym chodzi, proszę kochanych Czytelników. Właśnie o to.

Wróćmy jednak do spraw bezpośrednio związanych z mundialem 2018, a nie jakieś Stare Damy, za przeproszeniem. Otóż polska reprezentacja ma nowego trenera – Jerzego Brzęczka. Że co? Że to nie o mundialu? A owszem, o mundialu, i to w ścisłym znaczeniu. Gdyby bowiem to Polska zagrała w finale mistrzostw świata, a nie jakaś tam Francja z Chorwacją, to Brzęczek nie miałby nowej roboty.

Takie są fakty. A teraz uzasadnię ponad wszelką wątpliwość, że Brzęczek to bardzo dobry wybór Zbigniewa Bońka. Nie będę tu pisać, że Jerzy Brzęczek to wielokrotny reprezentant Polski i wicemistrz olimpijski z Barcelony z roku 1992, bo to wie Pani Olga z TVN, więc nie ma co utrwalać. Ja tu pragnę zwrócić uwagę na to, w jak wyrafinowany sposób Boniek wybrał Brzęczka. Mało kto wie, że zaangażowano w proces selekcji wyższą matematykę, a dokładnie rachunek prawdopodobieństwa.

Otóż szczegółowo przeanalizowano trenerską karierę pana Jurka. I wyszło, że główny sponsor Rakowa Częstochowa pogonił go z klubu w roku 2014 za marne osiągnięcia. Natomiast rok później pogoniono go z Lechii Gdańsk, tym razem za marne osiągnięcia. To jednak nie koniec, gdyż sprawiedliwie przyznać trzeba, że w roku 2017 sam złożył trenerską dymisję z GKS Katowice, kiedy jego klub miał z kolei marne osiągnięcia, przegrał z MKS Kluczbork i nie dostał się do Ekstraklasy. Tutaj jednak dają o sobie znać umiejętności pana Jurka, który w związku z tym został trenerem będącej już w Ekstraklasie Wisły Płock.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Można? Można! A właśnie o to przełamanie niemożności polskiej reprezentacji chodzi. A skąd tu rachunek prawdopodobieństwa? Już tłumaczę. Jeśli trzy razy wyrzucisz reszkę, to prawdopodobieństwo, że następnym razem wypadnie orzeł, zaczyna graniczyć z pewnością. Jeśli Panu Jurkowi nie wyszło bardzo, ale to bardzo w trzech klubach, to prawie na pewno wyjdzie mu wspaniale w reprezentacji. Prywatnie powiem, że wcale nie przekonuje mnie to, co tu nasmarowałem, ale kapituluję przed potęgą matematyki.

Teraz przejdźmy już naprawdę do ważnych sportowych informacji z mundialu. Otóż FIFA chce wymusić na nadawcach sygnału telewizyjnego, żeby w czasie meczów mniej pokazywać pięknych fanek, bo to podobno seksistowskie. Ty, FIFA! Co ci jest? Że piękne kobiety są dla ciebie seksistowskie? To kogo ty, FIFA, chcesz nam pokazywać w tych przebitkach z meczów? Tego waszego łysego szefa FIFA Gianniego Infantino? Tę glacę mam oglądać? Nie to, żebym miał coś do łysych, ale tak w ogóle, to gdzie jest Natalia Siwiec, hę?

Z redakcją „Do Rzeczy" umówiliśmy się tak, że będę mógł jeszcze raz napisać o mundialu w Rosji i podsumować, więc dziś na koniec napiszę tylko, że nie zmartwiła mnie przegrana Anglii z Chorwacją, bo jeśli chodzi o pokazywane przez telewizje fanki zespołu Synów Albionu (jak ja nie cierpię tej napuszonej, niby literackiej etykiety Anglii, której znajomością musi pochwalić się każdy rozgarnięty odrobinę bardziej niż kupa liści komentator), to uważam, że glaca Gianniego Infantino wcale nie razi. ©℗

Autor był redaktorem naczelnym „Super Expressu", obecnie jest prezesem firmy R4S.

eprasa.pl 5b277a8c4d

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Nienawiść do Polaków

Losy wspólnej deklaracji premierów Polski i Izraela po tym, jak strona polska upowszechniła ją w izraelskich i światowych mediach, dowodzą, że myliłby się głęboko ten, kto chciałby w sporze o historię widzieć wojnę polsko-żydowską. W istocie mamy dwie wojny toczone równolegle. Wojnę polsko-polską, postkolonialną, w której strona „kompradorska" usilnie oskarża o antysemityzm stronę „patriotyczną", licząc, że w ten sposób zyska w Żydach wpływowego sojusznika, z którego pomocą uda się zmiażdżyć „polski ciemnogród" – oraz wojnę żydowsko-żydowską, zajadły, polityczny spór w Izraelu, w której dochodzi do głosu głęboko wpojona wielu Żydom nienawiść do naszego narodu.

Netanjahu został zaatakowany przez swych rywali. Ustępując Polakom, sprzeniewierzył się dogmatom religii Holokaustu

Nie ma tu symetrii. W III RP żaden Tejkowski, Brykczyński czy Bubel, nikt, kto próbował grać na emocjach antysemickich, nie wydostał się z politycznego marginesu. Straszenie Żydami czy judzenie przeciwko nim to recepta na ćwierć procent głosów w wyborach i trwałe odrzucenie.

W Izraelu natomiast nienawiść do Polaków i obwinianie nas za Holokaust to polityczne paliwo partii wchodzących w skład rządowej koalicji bądź mających realne szanse się w niej znaleźć. Beniamin Netanjahu został zaatakowany przez swych rywali – a także przez prominentnych historyków Yad Vashem – jako zdrajca, który ustępując Polakom, sprzeniewierzył się dogmatom religii Holokaustu: odebrał antysemityzmowi wyjątkowość, zrównując go z inną nienawiścią rasową (w tym przypadku z antypolonizmem) oraz przyznał, że istnieli źli Żydzi, którzy pomagali w Zagładzie i czerpali z tego zyski. Oba stwierdzenia, nawiasem mówiąc, w oczywisty sposób odpowiadają historycznej prawdzie i zdrowemu rozsądkowi.

Nie pocieszajmy się, że Netanjahu starcie wygrał i że szarża Naftalego Bennetta, zapowiadającego dodatkowe lekcje antypolonizmu w izraelskich szkołach, to gest dowodzący jego bezsilności po tym, jak nie zdołał ani zachwiać koalicją, ani doprowadzić do antypolskiej debaty w Knesecie. Cała sprawa pokazuje, jak daleko jest rzeczywisty stan polsko-żydowskich stosunków od naszych niedawnych jeszcze wyobrażeń na ten temat. Nie ma sensu ukrywać tego dłużej pod frazesami i maskować uśmiechami. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Przedwczesna szansa

Wiosną 2014 r., pracując nad reportażem o kulisach konfliktu, który wybuchł między księdzem celebrytą Wojciechem Lemańskim a bp. Henrykiem Hoserem, wybrałem się do Jasienicy, gdzie bliscy sobie, życzliwi ludzie nagle stali się zawziętymi wrogami. Źródłem konfliktu i wzajemnej nienawiści w wiosce stał się proboszcz Lemański, mistrz autokreacji, rozgrywania i wygrywania emocji parafian w imię swoich interesów. „Ksiądz Lemański wróci albo nie, ale blizny i podziały wśród ludzi tutaj zostaną na długo" – powiedział mi wówczas jeden z najstarszych mieszkańców Jasienicy.

Teraz ks. Lemański, ulubieniec lewicowych mediów, wraca przed ołtarze, ponieważ bp Romuald Kamiński cofnął nałożoną na niego cztery lata wcześniej karę suspensy. Niestety nasuwa się wątpliwość, czy nie jest to decyzja przedwczesna. Patrząc bowiem na aktywność ks. Lemańskiego w okresie suspendowania, nie sposób nie wyzbyć się przekonania, że nie zwalczył w sobie grzechu pychy, braku szacunku wobec ludzi, co w dalszym ciągu owocowało sianiem przezeń podziałów i nienawiści.

Nie dalej jak rok temu ks. Lemański groził księdzu biskupowi Stanisławowi Stefankowi i redaktorowi naczelnemu „Do Rzeczy" Pawłowi Lisickiemu, wzywając do zamknięcia ich w więzieniach, bo pisali i mówili o stosunkach polsko-żydowskich, krytykując „przemysł Holokaustu". Byłą premier Beatę Szydło nazywał „burą suką", wyśmiewał też „Różaniec do Granic" i lekarską „deklarację wiary".

„Tam diabeł mówi »dzień dobry«" – pisałem o Jasienicy, którą zostawił po sobie ks. Lemański. Dzisiaj demon, słysząc o kolejnej szansie dla kontrowersyjnego kapłana, szeroko się uśmiecha. ©℗

eprasa.pl 5b277a8c4d

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wojna na kompleksy

W Polsce demokracja zdycha. Prawdopodobnie jesteśmy pod tym względem gdzieś pomiędzy Turcją a Koreą Północną. Jednak jest też dobra wiadomość: świat już wie! Bojownicy o wolność i demokrację wpadli w ekstazę, gdy Mick Jagger podczas koncertu w Polsce zażartował na temat sędziów i swojego wieku, nawiązując do przechodzenia sędziów w stan spoczynku. „Skoro Jagger się za nami ujmuje – głosili bojownicy – to sprawa właściwie jest już wygrana, a wolny świat nie pozwoli autorytarnemu reżimowi długo trwać".

Mick Jagger podczas koncertu w Polsce zażartował na temat sędziów i swojego wieku

Gdyby spojrzeć z dystansu, fakt, że jakiś zagraniczny piosenkarz – choćby i tej rangi co Jagger – wygłasza ze sceny żarcik na temat polskiej sytuacji, nie powinien nikogo ekscytować. Można by najwyżej spytać, czy Jagger wygłaszał podobne żarciki na temat sytuacji politycznej np. podczas koncertów Stonesów w Chinach, których od 2008 r. było już kilka. Jeśli ta sprawa staje się powodem pensjonarskiego podniecenia, to świadczy to jedynie o wielkich kompleksach części polityków, komentatorów i wyborców.

Tak się złożyło, że w tym samym mniej więcej czasie eurodeputowany PiS prof. Zdzisław Krasnodębski zamieścił na Twitterze link do krótkiej informacji na stronach pierwszego programu niemieckiej telewizji publicznej. Link opatrzył komentarzem: „Polacy zawodzą na całej linii – nie pomogli w zbiorze szparagów, nie zebrali czereśni. Wstyd, po prostu wstyd. Coraz bardziej »nie pasujemy do Europy«".

Tyle że linkowany tekst był czysto informacyjny. Mówił o tym, że niemieckim rolnikom trudno znaleźć Polaków do pracy, bo ci mają w kraju równie dobre albo lepsze możliwości i wolą zostać, zamiast na trzy miesiące rozłączać się z rodzinami. Zero złośliwości, arogancji, nawet żadnego komentarza.

Wpis Krasnodębskiego natychmiast podchwyciły dziesiątki „patriotów" doznających głośno wyrażanej ekstazy w związku z tym, że „Polak już nie musi pracować u bauera". Informacja na portalu Das Erste (Jedynka) urosła w ich oczach do hymnu pochwalnego dla polskiego rządu, do ody na temat polskiego triumfu. Celebrowano ją jak rocznicę bitwy pod Grunwaldem. Aż takie mamy kompleksy?

Czysto emocjonalny spór o polskie wstawanie z kolan to nie jest spór dumnej Polski z Polską uległą, tak jak chcieliby niektórzy. To w istocie spór dwóch fanatycznych szczepów, których gigantyczne kompleksy są swoim lustrzanym odbiciem. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Mick Jagger ratuje polskie sądy

Frekwencja pod Sądem Najwyższym nie dopisuje, zatem Lech Wałęsa wpadł na chytry plan wysłania listu do Micka Jaggera. „Jestem za stary, żeby być sędzią, ale nie jestem za stary, żeby śpiewać" – powiedział muzyk podczas koncertu w Warszawie. „A teraz sobie pomyślcie, która gwiazda światowego formatu odpowiada na apel Kaczyńskiego?" – odparł triumfalnie Borys Budka, który nie wnikał, „co artysta chciał przez to powiedzieć".

Komentarze popłynęły również z prawej strony. „Wielki sukces akcji »obywatelskiego sprzeciwu«. Na prośbę samego Lecha Wałęsy sam Mick Jagger wykonał niejasną aluzję do sędziów, śpiewania i starości. Niebawem sam Elton John na prośbę polskich przyjaciół znacząco chrząknie" – stwierdził Rafał A. Ziemkiewicz. „Na razie tylko Metallica nie chce wziąć w obronę demokracji i zagrać antykaczystowskiego »Władcy marionetek«" – dodał pesymistycznie Wojciech Wybranowski.

Dla odmiany z autentycznym żalem wypowiedziała się opozycyjna scena muzyczna. „W niecały tydzień Pearl Jam i The Rolling Stones zrobili więcej dla polskiej demokracji niż wszystkie polskie gwiazdki i celebryci (o piłkarzach przez grzeczność nie wspomnę)" – Łukasz Kohut. „A to akurat smutna prawda. Taco i reszta woli śpiewać o DMach niż o TK, SN czy prawach kobiet" – Tytus Hołdys. Rymowany kawałek o prof. Gersdorf? Sam się dziwię, dlaczego nikt tego nie spróbował.

Lecha Wałęsę wsypał kolega, Marcin Matczak. „Chciałbym, żeby wszyscy Państwo wiedzieli, że pomysłodawcą i autorem pierwszego projektu listu Prezydenta Wałęsy do the Rolling Stones był adwokat Filip Wejman. Należą Mu się podziękowania!" – ujawnił mecenas. „To Lech Wałęsa nie był autorem swojego listu?" – zapytał Piotr Semka.

Bez dwóch zdań był jednak autorem tych anglojęzycznych (?) podziękowań: „I would like to thank Sir Mick Jagger and the band of The Rolling Stones for he reminded himself for Poland, for our rule of law. True Solidarity will always win" – napisał noblista. A przecież mógł podziękować staropolskim „thank you from the mountain". „Ciekawostka: Mick Jagger jest w Sankt Petersburgu na meczu Francja–Belgia" – zauważył przy okazji Michał Wróblewski. Niestety w Rosji na temat demokracji już się nie wypowiedział. ©℗

eprasa.pl 5b277a8c4d

FOT. PAWEŁ GROMADA

BIZNES JAK SIĘ PATRZY!

Aktorka Agnieszka Sienkiewicz dwa lata temu została mamą. W związku z tym postanowiła zainwestować we własny sklep z artykułami dla niemowląt. Próba zarabiania na macierzyństwie to dość popularny ostatnio trend wśród polskich celebrytek. Większość jednak decyduje się na blogi parentingowe i sponsorowane wpisy na Facebookach oraz Instagramach, bo wiąże się to z mniejszym ryzykiem. Sienkiewicz tymczasem postanowiła iść na całość i otworzyła sklep w Łodzi. Po roku działalności sprawa nie wygląda dobrze. Sklepowi aktorki grozi upadek. Agnieszka chciała założyć przyjazne miejsce dla wszystkich młodych mam – opowiada jednej z gazet znajoma aktorki. – Działała sercem, teraz musi posłuchać rozumu, realnie spojrzeć, że to biznes, który musi zarabiać, inaczej upadnie – dodaje.

Jak czytamy w kolorowych mediach, klienci bardzo doceniają miłą atmosferę, panującą w sklepie, a zwłaszcza darmową kawę i ciasto. Niestety, ich entuzjazm kończy się wraz z wypitą kawą, bo wychodzą bez zakupów. W tej sytuacji Agnieszka powinna założyć kawiarnię. Najlepiej z darmową kawą. Biznes jak się patrzy!

DOKTOR CELEBRYTKA

Małgorzata Rozenek-Majdan, zanim została Perfekcyjną Panią Domu, Lady Rozenek, Iron Majdan i kim tam jeszcze – jednym słowem wziętą celebrytką, marzyła o karierze naukowej. Serio, a przynajmniej tak utrzymuje ona sama. Po ukończeniu studiów prawniczych chciała też obronić doktorat. – Plan był taki, że kiedy obronię doktorat, to albo zacznę się przygotowywać do habilitacji, albo pójdę do pracy w kancelarii i będę nadal się rozwijać naukowo, by ostatecznie zostać wykładowcą – wspominała w wywiadzie. Rozenek dodaje, że pracę doktorską napisała, ale nie zdążyła jej obronić, bo dostała propozycję poprowadzenia „Perfekcyjnej Pani Domu", a potem już poszło. – Przyjdzie taki moment, że ja obronię swój doktorat, który teraz już będę musiała napisać od nowa – mówi w „Super Expressie" Małgorzata. – Zrobię to na pewno, bo po pierwsze obiecałam moim rodzicom, a po drugie, bo przyzwyczaiłam się do myśli, że jestem doktorem prawa. To wymaga dużo czasu i teraz nie widzę na horyzoncie nawet takiej możliwości, żeby się tym zająć, ale na pewno będę chciała – dodaje. Rozmarzyliśmy się. Gdyby tak Lady Rozenek zajęła się tym doktoratem, to nie miałaby czasu na nic innego. Dlatego to niemożliwe. Niestety.

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

CO POWIE GĄSKA?

Jacek Rozenek, pierwszy mąż Małgorzaty Rozenek, teraz Majdan, też znalazł w końcu nową miłość. Jest nią Roxi Gąska – atrakcyjna blondynka, o której można powiedzieć, że jej uroda nie należy do najbardziej naturalnych. Kolorowe media nie bawią się w takie eufemizmy i piszą wprost, że nowa dziewczyna Rozenka przypomina żywą Barbie. Para postanowiła opowiedzieć o swojej miłości w jednym z magazynów. Roxi Gąska pochwaliła się na Instagramie, że niebawem ona i ukochany pojawią się na okładce „Gali". To nie tylko ich pierwszy wspólny wywiad, lecz także pierwszy wywiad pani Roxi Gąski w ogóle! Wy też nie możecie się już doczekać tej intelektualnej uczty?

MĄDROŚĆ SIWEGO WŁOSA

Rafał Maślak, były Mister Polski, a obecnie celebryta, uwielbia kontemplować swoją urodę i uwieczniać ją na licznych zdjęciach, które wrzuca do sieci. Ostatnio jednak Maślak ma ogromny powód do zmartwień. Zaobserwował u siebie pierwsze siwe włosy. – Pojawiają się u mnie siwe włosy i siwa broda. Jest to chyba powiązane z genetyką, bo mój tato też szybko osiwiał – żali się 29-letni celebryta. – Ale wolę być siwy niż łysy – pociesza się. – Narzeczona dogryza mi delikatnymi żartami, ale jakoś jej to nie przeszkadza. Gdy mówię, że planuję się pofarbować, ona odpowiada, że siwe włosy są OK – opowiada. Mówią, że siwizna idzie w parze z życiową mądrością. Ci, którzy tak mówią, nie znają Maślaka. Szczęściarze! ©℗

eprasa.pl 5b277a8c4d

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, czyli do finału dotarła Chorwacja. Drużyna niezróżnicowana, jednorodna etnicznie, której trener robi znak krzyża po meczu. Nie o taki finał mistrzostw świata nam chodziło, nie o taki.

Naszym zdaniem w ogóle z finału powinni zostać wykluczeni biali mężczyźni, ponieważ ich obecność w wydarzeniu takiej rangi jest opresywna i świadczy o zagarnianiu przestrzeni publicznej kosztem etnicznej różnorodności.

My of kors pisząc te słowa, nie znamy wyniku finałowego meczu, wy już wiecie, czy zwyciężyła Europa zaściankowa, ksenofobiczna i biało-czerwona (przypadek???), czy Europa tolerancyjna, otwarta i kolorowa, reprezentowana przez Francję.

Coraz więcej gwiazd nie tyle coś wspomina, ile wymownie milczy na temat demokracji w tym kraju

Wróćmy do tego kraju, iż działy się ważne rzeczy dla naszej demokracji. Otósh koncertujący u nas Mick Jagger oraz Guns N' Roses odważnie wsparli walkę o wolne sądy, nie zważając na ryzyko zatrzymania i internowania w Jarosławiu na Podkarpaciu.

Fashyści tego już nie zatrzymają. Coraz więcej gwiazd bowiem nie tyle coś wspomina, ile wymownie milczy na temat demokracji w tym kraju. Przykłady? Podczas finału mundialu panowało milczenie odnośnie do wolności zgromadzeń w Polsce, a w trakcie setek koncertów, które miały miejsce w ostatnich dniach na świecie, milczeniem kwitowano łamanie demokracji oraz prześladowania opozycji.

Czekamy na kolejne okazje, kiedy osoby publiczne w Europie nie będą obojętne wobec losów tego kraju i swoim milczeniem wykrzyczą: zostawcie demokrację!!!

Poza tym ten kraj żyje poszukiwaniami osobopytona tygrysiego, który zdołał wyrwać się fashystoffsko-ludzkiemu uciskowi i uciekł na wolność, na miejsce życia wybierając okolice Wisły na Mazowszu.

Jesteśmy zdania, iż osobopyton ma prawo do uzyskania obywatelstwa, mieszkania i pracy w korporacji, poniewash jesteśmy to winni jego gatunkowi, którego pozostali przedstawiciele są przetrzymywani w ogrodach zoologicznych i innych miejscach zamknięcia.

W tym kraju jednak nie respektuje się autonomii osoby pytoniej i urządza się na nią regularne polowanie, najlepiej w celu odesłania takiego imigranta tam, skąd przyszedł. Tak długo, jak się nie otworzymy i nie będziemy gotowi na pytona wśród nas, tak długo pozostaniemy zaściankiem i pośmiewiskiem Europy. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 5b277a8c4d

STAN WOJENNY WE WSPOMNIENIACH

NIE POZWÓLMY, ABY WYDARZENIA SPRZED LAT ULEGŁY ZATARCIU. DZIELMY SIĘ RELACJAMI Z TEGO TRUDNEGO CZASU. KAŻDY, KTO PAMIĘTA ROK 1981, NOSI W SOBIE WYJĄTKOWE WSPOMNIENIA. UŁÓŻMY Z NICH JEDYNY W SWOIM RODZAJU OBRAZ TAMTYCH DNI.

PARTNER LOTOS

PATRONAT MEDIALNY DO RZECZY wprost

eprasa.pl 5b277a8c4d

WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU
MUZEUM WSPOMNIEŃ!
PODZIEL SIĘ Z NAMI WSPOMNIENIAMI
ZE STANU WOJENNEGO I WEŹ UDZIAŁ
W KONKURSIE. SZCZEGOŁY NA:
WWW.SUPERHISTORIA.PL

dwaj panowie g

Autor rozkazu? Kaczor-Dyktator. Cel? Osiem sejmików wojewódzkich. Cel uboczny? Skasowanie tym sukcesem szans Peezelu na wejście do Sejmu w roku 2019. Tak w skrócie przedstawia się plan PiS na jesienne wybory samorządowe, przedstawiony nam przez uczynne wiewiórki. Oczywiście oficjalnie usłyszycie, że sukcesem będzie każdy odbity Peło i Peezelowi sejmik. Zbytek skromności.

Ciekawa rzecz. Z pogłębionych badań PiS na temat samorządowych preferencji Polaków wynika, że skazywani na pożarcie kukiści mają całkiem spore szanse na wprowadzenie znaczącej reprezentacji do sejmików wojewódzkich. Szykują się więc tu i ówdzie gorące koalicje kukistowsko-pisowskie, kiedy już bitewny pył opadnie.

Au kukistów mimo tych prognoz smuteczek. Gdyż główny kukista Paweł znów przypomniał sobie, że chce być języczkiem u wagi. To znaczy, że nie chce wchodzić w żadne koalicje, tylko czasem głosować, wspierając PiS, ale tylko wtedy, kiedy PiS spełni jakieś jego życzenie. Smuteczek ogarnął wszystkich, którzy liczyli, że w sejmikach samorządowych, a potem w Sejmie, będzie można po wyborach współpracować z PiS tak normalnie, to znaczy w ramach podziału łupów. Zamiast tego może więc dojść do podziału kukistów.

Ciekawą spiskową teorię usłyszeliśmy na temat nieoczekiwanego wzrostu w sondażach naszych czerwonych braci z SLD. Głosi ona, że przyczyną jest nie przebiegłość Włodzimierza Sweterkowicza-Czarzastego, lecz nadmierna dobrotliwość telewizji Kury-Kurskiego, która w ramach pluralizmu odkurzyła gabinet figur woskowych z Wenderlichem Jerzym na czele. Ta sama teoria wyjaśnia, skąd ostatni spadek notowań Sojuszu. Telewizja Kury szybko bowiem naprawiła swój błąd.

Główny kukista Paweł znów przypomniał sobie, że chce być języczkiem u wagi. To znaczy, że nie chce wchodzić w żadne koalicje, tylko czasem głosować

Apropos telewizji Kury. Źli ludzie opowiadają, że powrót Daniela Tuhajbejowicza Olbrychskiego do TVP (angaż w „Na dobre i na złe") to dopiero początek. Wkrótce mają pojawić się też inni bojownicy o wolność, demokrację i konstytucję. Może pokroju Stuhra, może pokroju Jandy. Chytry plan dobrej zmiany zakłada spacyfikowanie ich honorariami. A jeśli dalej będą pyszczyć, to, cóż, sami udowodnią, że zmiana jest dobra i miłościwa, a oni – małostkowi i niedobrzy.

Wszystko to w ramach skracania frontów i łagodzenia konfliktów zarządzonego przez Kaczora-Dyktatora. Inną decyzją jest definitywne wyrzucenie na dłuższy czas z programu ustawy repolonizującej media. Zostanie tylko uchwalona taka malutka ustaweczka re-PLN-izująca media publiczne. Wciąż bowiem potrzebują one PLN-ów stanowiących, jak wiadomo, legalny środek płatniczy w Polsce.

Apropos skracania frontów. Mało kto wie, że skróceniu mają też ulec fronty wewnątrz Zjednoczonej Prawicy. Dlatego bardzo ciekawie będą wyglądały listy w wyborach do europarlamentu. Znajdzie się na nich wiele osób, które łączy coś więcej niż to, że są dobrze znane PiS-owskiemu elektoratowi. Ujawniamy drugi wspólny mianownik: będą to ci, którzy wedle Kaczora-Dyktatora na obecnym etapie mądrości etapu powinni trzymać się z dala od polityki krajowej.

FOT. ROBERT CARDZIŃSKI

Skoro już o pieniądzach. Ciekawie wyglądają negocjacje między Peło a Nowoczesną Kropką na temat budżetów wyborczych. Z grubsza tak. Peło mówi: „W Warszawie dajemy na kampanię tyle. A wy?". „A my nic" – odpowiada Nowoczesna Kropka. „Za to w Poznaniu damy tyle. A wy?" – kontynuuje Peło. „A my nic" – odpowiada Nowoczesna Kropka. I tak dalej. Nie, oni nie są złośliwi. Oni naprawdę nie mają.

Przy okazji zapytaliśmy pewnego ważnego pana z Peło o to, kiedy wreszcie Rafcio Trzaskowski skompletuje swój warszawski sztab wyborczy,

eprasa.pl 5b277a8c4d

bo chcielibyśmy wiedzieć, po nazwisku, z kogo się nabijać. Usłyszeliśmy w odpowiedzi, że proces trwa i że nikomu się nie spieszy, bo do wyborów jeszcze daleko. „No tak, ale dobrze byłoby już przygotować jakieś pomysły na kampanię" – odparliśmy naiwnie. „Pomysłów to on ma aż za dużo!" – machnął ręką pan z PeŁo i zrobił przy tym minę wielce boleściwą.

Do wyborów z jednej strony daleko, ale z drugiej blisko, więc we wrześniu czeka nas konwencja wyborcza PeŁo. Przypadkowo weszliśmy w posiadanie jej wstępnej receptury tego wypieku. „PiS", „przeciw PiS", „bo PiS", „nigdy PiS", „zatrzymać PiS", „ponieważ PiS", „przez PiS". Do tego szczypta konstytucji i dwie szczypty obrony demokracji. Wszystko to włożyć do żaroodpornego szklanego naczynia (może być ekran TVN24), piec dwie godziny, serwować na zimno przystrojone pomarańczową wstążeczką. Na wypieku napis: „Nie jesteśmy anty-PiS-em".

Tymczasem w PiS. Szok i niedowierzanie po tym, jak Kaczor-Dyktator ogłosił, że nachapani ze spółek Skarbu Państwa nie będą mogli startować z list Zjednoczonej Prawicy w wyborach samorządowych. Mało kto wie jednak, że po tej deklaracji szczególnie smutną i długą minę miał długi Jarosław, znany też jako Gowin. Jego partia, której nazwy nie pamiętają nawet ci, którzy do niej należą, i tak nie miała przecież za wielu kandydatów.

Kaczor-Dyktator wypuścił nad Wisłą wielkiego pytona, żeby zdusił demokrację

Dla zdumionych deklaracją Kaczora-Dyktatora, że w roku 2020 kandydatem dobrej zmiany na prezydenta nadal będzie Andrzej Sebastian, mamy ciekawe skojarzenie. Pamiętacie, co najbardziej na świecie ceni Kaczor-Dyktator? Lojalność. A tak się składa, że kiedy na stole leżała propozycja, by został patronem prezydenckiego bloku ludowo-narodowego w składzie Peezel-Kukiści, Andrzej Sebastian powiedział: „Nie!". W polityce liczy się nie tylko to, co się wydarza. Także to, co się nie wydarza.

Jest jeszcze kilka powodów, dla których sympatia Kaczora-Dyktatora do prezydenta Andrzeja Sebastiana odżyła. Otóż od czasu przeprowadzenia badań na temat tego, co o uwalonej przez Andrzeja Sebastiana ustawie degradacyjnej myślą ludzie spoza grona PiS-owskich żelaźniaków, Nowogrodzka jest bardzo zadowolona, że gorący kartofel został usunięty z agendy. Głupia sprawa, myślą tak nawet niektórzy spośród tych, którzy tę ustawę napisali.

Powód kolejny – prezydent Andrzej Sebastian przyjął na siebie rolę zderzaka w wojnie o Sąd Najwyższy, pozostawiając w cieniu poharatanych PiS-owców i ziobrystów, którzy przecież cały pasztet usmażyli (Andrzej Sebastian go tylko nieco złagodził). Tymczasem w mediach jak Polska długa i szeroka mówi się o konflikcie między „obozem prezydenckim" a Małgorzatą Gersdorf i całą resztą tej niefajnej ferajny. PiS-owcy i ziobryści mogą więc w spokoju knuć nadal. No i knują. Czego dowodem nowy projekt zmian w ustawie o SN.

Z przedostatniej chwili. Kaczor-Dyktator wypuścił nad Wisłą wielkiego pytona, żeby zdusił demokrację. Skąd wiemy, że to Kaczor-Dyktator? Cóż, pyton jest tygrysi, a tygrysy to takie duże koty. Proste.

Z ostatniej chwili. Źli ludzie mówią, że na pokład rządowego samolotu dostała się niepowołana osoba i zajęła miejsce tuż obok pewnej bardzo ważnej osoby. Wzbudziła podejrzenia, bo w odróżnieniu od całej delegacji ubranej w tzw. strój formalny, odziana była raczej turystycznie. Owa osoba podobno pomyliła samoloty. Nie od dziś wiadomo, że Polaka, który naprawdę chce wyjechać na wakacje, nic nie jest w stanie powstrzymać. ©℗

eprasa.pl 5b277a8c4d

Krzysztof Masłoń

Powinniśmy chronić miejsca szczególnie istotne z religijnego czy narodowego punktu widzenia przed przeróżnymi Paradami Miłości

Jasna Góra broni się

Uczestnicy Marszu Równości pod Jasną Górą w niedzielę, 8 lipca, w liczbie 600 (może było ich więcej, zależy, kto liczył) skandowali, że „Częstochowa jest tęczowa", a Miasto Świętej Wieży powinno – ich zdaniem – zmienić nazwę na „Tęczochowa". Z ust kochających inaczej usły szeć można było, mocno się przy tym dziwiąc, że: „Solidarność naszą bronią, homofoby niech się gonią". Jakże to było odkrywcze i dowcipne!

Manifestantów, nie wyłącznie ze środowisk LGBT, ale ich przede wszystkim, próbowali zatrzymać na tej drodze ku równości ich antagoniści w liczbie, znów dane są różne – od kilkudziesięciu nawet do 200 osób, reprezentujących m.in. Fundację Pro-Prawo do Życia, Młodzież Wszechpolską i częstochowski ONR. Oni z kolei przypominali, że „Normalna rodzina to chłopak i dziewczyna", a pod Jasną Górą obowiązuje „Zakaz pedałowania". Trzeba było kilkuset policjantów, by zapewnić marszowi bezpieczeństwo. W tym czasie w tej samej Częstochowie, pod tą samą Jasną Górą, przed cudownym obrazem Czarnej Madonny modliło się ok. 100 tys. uczestników Pielgrzymki Rodziny Radia Maryja. Proporcje są uderzające, a słowa premiera Morawieckiego skierowane do pielgrzymów warte zacytowania: „Jak przed wiekami nasi przeciwnicy robią podkop pod Polską, pod nasze wartości. Podkop pod rodzinę. My za Polskę nie chcemy się wstydzić. Nie przepraszamy. My za Polskę dziękujemy".

Jednak czy mamy też dziękować za homoparady w takim właśnie wyjątkowym jak Częstochowa miejscu? Nawet daleki dziś od „nienowoczesnych" poglądów Roman Giertych nazwał ten Marsz Równości „durną prowokacją". Ponieważ taką ten ostatni był, tyle że nieudaną, niezależnie od tego, co wygadują ci, którzy zawsze wszystko wiedzą lepiej i zawsze to samo.

Uchodzący za filozofa Jan Hartman sukces odtrąbił jeszcze przed Marszem Równości – zapowiadając go, opatrzył uwagą: „A Kościół judzi dalej". Następnie zaś w używanym przez siebie żargonie imitującym język polski wywodził: „Marsz Równości w Częstochowie służy nie tylko obronie praw osób LGBT, lecz także zamanifestowaniu, że katolicyzm nie znajduje się poza zasięgiem krytyki i protestu. Zdałby się nowy Boy w tych czasach i nowa »Opowieść dziadkowa o cudach jasnogórskich«, bo dzieje się niemało. Gdy u jednego z ojczulków znaleziono trupa pod łóżkiem, a fala pomówień o libertyńskim stylu życia braciszków i ojczulków słynnego klasztoru zalała gazety i magle, wielki Błazen użyczył łaskawie swego talentu, wprowadzając Jasną Górę na parnas. W naszych czasach jasnogórski przybytek nie ma już na to szans – musi się zadowolić zwykłym felietonem. Wszak niejedynym może, bo nieraz już pisano o narodowcach maszerujących pod nosem Jasnogórskiej Madonny z pochodniami i falangą. Klasztor bardzo im był przychylny. Nie przeszkadza mu też ordynarne kupczenie tandetą pod

eprasa.pl 5b277a8c4d

jeszcze

FOT. JAREK PRASZKIEWICZ/FORUM

murami, naciągacze i złodziejaszki grasujące wśród pątniczych tłumów, nie mówiąc już o bezprzykładnej bigoterii i zabobonie, które podobno tak niemiłe są od jakiegoś czasu Kościołowi, a które wszelako w takich miejscach jak Jasna Góra chętnie toleruje, nie wzbraniając się nawet przed handlowaniem niskiej jakości dewocjonaliami i takąż prasą dewocyjną".

Ponieważ niepodobna z tego niczego zrozumieć ani potraktować serio, opowiedzmy może o Jasnej Górze inaczej…

DZIEŁO ŚWIĘTEGO ŁUKASZA

Ufundowanie klasztoru Paulinów w tym miejscu dokonane przez księcia opolskiego Władysława datowane jest na rok 1382. Według tradycji zakonnej obraz Matki Bożej został złożony tam dwa lata później. Niewiele lat potem, odkąd fundację Jasnej Góry potwierdził, za namową żony, król Władysław Jagiełło, obraz stał się opiekuńczą relikwią nowej dynastii Jagiellonów, a tym samym całego Królestwa Polskiego. A jasnogórskie sanktuarium – duchową stolicą tegoż królestwa.

Najstarszy zachowany przekaz źródłowy dotyczący historii obrazu pochodzi z pierwszej połowy XV stulecia. Niesie ze sobą legendę, że to dzieło, przedstawiające Najświętszą Dziewicę Maryję z Dzieciątkiem Jezus, namalował św. Łukasz Ewangelista na deskach stołu w jerozolimskim domu Bogurodzicy, gdzie spędziła ona ostatnie lata swego ziemskiego żywota. Malowidło sprowadził ponoć z Jerozolimy do Konstantynopola cesarz Konstantyn, by przekazać je ruskiemu księciu Lwu, który wywiózł obraz na Ruś Halicką. Podczas walk polsko-węgiersko-ruskich ukryty on został na zamku Bełz, gdzie odnalazł go książę Władysław Opolczyk. I z tego zameczku wywiózł Czarną Madonnę na Jasną Górę.

W 2002 r. ks. Jan Kracik w „Tygodniku Powszechnym", jako źródło traktując tajemnicze dość studium innego księdza – Władysława Kosa, zakwestionował dotychczasowe ustalenia, utrzymując, że święty obraz naprawdę powstał w XIV w. w Italii, namalowany przez malarza wzorującego się na ikonie bizantyjskiej. Do Polski przywieźć go miała królowa Jadwiga i to ona przekazała go częstochowskim paulinom, być może za pośrednictwem Władysława Opolczyka, którego wpływy na dworze królewskim, tak wielkie za Ludwika Węgierskiego, przy Jagielle szybko traciły na znaczeniu.

Sprawę przypominam z niezbędną uwagą, że artykuł ks. Kracika, skądinąd bardzo nagłośniony, wykorzystywany był odtąd przy wszystkich okazjach, w których można było w jakiś sposób zdeprecjonować kult Matki Boskiej Jasnogórskiej.

SKALANI ZBRODNIĄ

O ile pochodzenie i czas powstania obrazu są – przynajmniej w części – dyskusyjne, o tyle za pewną historycznie uznaje się profanację wizerunku i jego uszkodzenie w roku 1430. Tak opisywał to wydarzenie Jan Długosz:

„Pod ten czas niektórzy z szlachty Polskiej, wyniszczeni marnotrawstwem i obciążeni długami, mniemając, że klasztor Częstochowski na Jasnej górze, zakonu św. Pawła pierwszego, pustelnika, posiadał wielkie skarby i pieniądze, z tej przyczyny, że do niego z całej Polski i krain sąsiedzkich, jako to Szlązka, Moraw, Prus i Węgier, w święta uroczyste N. Maryi Panny, której obraz cudowny i przedziwnej roboty (sculpturae?) w tem miejscu zachowywano, zbiegał się lud pobożny, a to dla zadziwiających cudów, jakich tu chorzy, za przyczyną Najświętszej Panny i Orędowniczki naszej uzdrawiani, doznawali, zebrawszy z Czech, Moraw i Szlązka kupę łotrzyków, w dzień świąteczny Wielkiejnocy napadli na rzeczony klasztor Paulinów. A nie znalazłszy w nim spodziewanych skarbów, zwiedzeni w nadziei, ściągnęli ręce świętokradzkie do naczyń i sprzętów kościelnych, jako to kielichów, krzyżów i ozdób miejscowych. Sam nawet obraz Najchwalebniejszej Panny odarli z złota i klejnotów, któremi go ludzie pobożni przyozdobili. Nie przestając wreszcie na łupieży, twarz pomienionego obrazu mieczem na wylot przebili, a ołtarz, na którym był zawieszony, pogruchotali, tak iż zdawało się, że to nie Polacy, ale Czesi kacerze dopuścili się czynów tak srogich i bezbożnych. Po dopełnieniu takowego gwałtu, raczej skalani zbrodnią niż ubogaceni z niewielką zdobyczą, pouciekali.

Długi czas mniemano, że ów gwałt popełnili Czescy kacerze, mieszkający

eprasa.pl 5b277a8c4d

w przyległych Polsce miastach i zamkach Szlązkich. I już Władysław król i panowie Polacy poczęli byli myśleć o wydaniu wojny Czechom; ale gdy się sprawa wydała i rzeczy wyjaśniły, karano srodze owych z szlachty Polskiej złoczyńców, a wielu wtrącono do więzienia. Ale i miecz sprawiedliwy kary Bożej pomścił się wkrótce tej zniewagi wyrządzonej N. Bogarodzicy; niemal wszyscy bowiem, którzy się tym czynem świętokradzkim pokalali, w ciągu tegoż samego roku zginęli pod mieczem morderczym. Przywódcami zaś rzeczonej zbrodni byli: Jakób Nadobny z Bogowa herbu Działosza, Jan Kuropatwa z Łańcuchowa herbu Szreniawa, których król Władysław schwytanych przez niejaki czas w wieży zamku Krakowskiego trzymał; tudzież książę Ruski Fryderyk".

Prawda była nieco inna, w wypadku Jana Kuropatwy zwłaszcza. Ten, za młodu dworzanin królowej Zofii Holszańskiej, schwytany po napadzie uwięziony został w baszcie na Wawelu, gdzie jednak nie przebywał długo. Po poręczeniu w maju 1430 r. uwolniono go. Istnieje zapis, że pod karą 1 tys. grzywien miał stawić się przed królem Władysławem Jagiełłą, po powrocie monarchy do Krakowa. Jaką karę w końcu otrzymał – nie wiadomo, za to na pewno w styczniu roku następnego powrócił do swojego dworu w Łańcuchowie.

Gorliwie też pracował nad przywróceniem dobrego (?) imienia. Na początek zerwał z husytyzmem. Walczył na Litwie i Wołyniu ze Świdrygiełłą, bratem królewskim, który sprzymierzył się z Krzyżakami. Później uczestniczył w wojnie trzynastoletniej z zakonem, a nowego króla Kazimierza Jagiellończyka wspierał finansowo. W efekcie znów pojawił się na dworze, a za swoje zasługi uzyskał m.in. starostwo chełmskie, a następnie po zwycięskiej walce z książętami oświęcimskimi, starostwo oświęcimskie i tytuł burgrabiego tamtejszego zamku.

PANI PROMIENNYCH WYSOKOŚCI

Sugestywną wizję zbójecko-rycerskiego najazdu na Jasną Górę przedstawił Andrzej Sapkowski w powieści „Lux perpetua", kończącej trylogię husycką o Reynevanie (Reinmarze) z Bielawy, który przyłączył się do zgrai rabusiów, nie znając celu wyprawy. Wskazany mu on został niemal u bram Jasnej Góry. Pozostaje biernym – acz nie do końca – świadkiem napaści i zabójstw broniących wstępu ojców paulinów. Po zagarnięciu z ołtarza świeczników i monstrancji łupieżcy dostają się do skarbca, ładują skradzione dobra na wozy, podpalają szopę i stajnię oraz szybko opuszczają Częstochowę. Na drodze do Wielunia dokonują podziału zdobyczy i wtedy Ostrogski wykonuje zlecone mu zadanie specjalne:

„Zsiadł, ściągnął z wozu ikonę, rozwinął. Pełka ochnął. Jan Tłuczymost otworzył gębę. Jerzy Skirmunt przeżegnał się machinalnie. Jan Kuropatwa z Łańcuchowa pokręcił głową.

– Jeśli to jest to, co ja myślę – powiedział – to zostawmy to tutaj. Porzućmy. Nie chciałbym, by mnie z tym złapano.

– Z tym, bez tego, co za różnica? – Fedko rzucił ikonę na trawę. – Toż to ino malowidło na desce. Tyle w nim wartości, ile tych cacuszek i ozdóbek. Których nie ostawię. Herrgott! Pomóż no który!

Jerzy Skirmunt demonstracyjnie skrzyżował ramiona na piersi. Jakub Nadobny z Rogowa i Jan Kuropatwa herbu Szreniawa nie drgnęli. Z pomocą Ostrogskiemu pospieszyli tylko Tłuczymost i bracia Kondziołowie.

Madonna Częstochowska bez oporu pozwoliła, by podważono puginałami i zdarto jej koronę ze złotej blachy. Nie uroniła dźwięku ni łzy, gdy zdzierano koronę jej Synowi. Jej ciemne oblicze nie drgnęło, gdy zszarpywano blachę z mankietów szat. Smutne oczy nie zmieniły wyrazu, drobne i wąskie usta nie poruszyły się, gdy wydłubywano perły i drogie kamienie.

Fortecę Maryi zaczęto budować w roku 1621, a ukończono w latach 40. Swój wielki egzamin zdała w 1655 r., podczas szwedzkiego potopu

Trzasnęło łamane drewno, zatrzeszczało darte płótno. Ograbiana ikona pękła pod nożami. Na dwie deski. Większą i mniejszą.

Reynevan stał z rękami zwisającymi bezwładnie i bezsilnie. Krew biła mu na twarz, oczy zachodziły mgłą.

Hodegetria, rozbrzmiewało w jego głowie. Ta, która wskazuje drogę. Wielka Matka, Pantea-Wszechbogini, Regina-Królowa, Genetrix-Rodzicielka, Creatrix-Stwórczyni, Victrix-Triumfatorka.

– Dość – Ostrogski wstał. – To maluśkie niechajcie, nie warte zachodu. Możem w drogę. Ino wprzód wykonam, co mi rozkazano.

Matka przyrody, władczyni żywiołów, królowa i pani promiennych wysokości. Ta, której jedyną boskość o wielu kształtach czci cały świat pod rozlicznymi imionami i w różnorakim obrzędzie.

Kniaź Fedor Ostrogski dobył z pochwy szeroki tasak z prostym krzyżowym jelcem. Podszedł do ograbionej ikony.

Reynevan zastąpił mu drogę.

– Zniszcz coś innego powiedział spokojnie. – Tego nie wolno".

Po to, by się dowiedzieć, co się działo dalej, odsyłam do powieści Sapkowskiego z radą, by motywy napadu, jakich doszukał się autor, traktować niekoniecznie z całym dobrodziejstwem. To jednak fikcja literacka i niewiele ponadto.

Z pewnością za to w trakcie renowacji sprofanowanego podczas napadu wizerunku został on – na polecenie króla Władysława Jagiełły – przyozdobiony złotem, srebrem i klejnotami z królewskiego skarbu. Srebrne i złote blachy zachowały się do dziś, a są dowodem kunsztu XV-wiecznych złotników krakowskich. Znacznie wzrosła też sława cudownego obrazu, Jasnej Góry i Częstochowy, która prawa miejskie otrzymała jeszcze w końcu XIV w. Rozwój ruchu pielgrzymkowego sprawił, że pierwotny gotycki kościół nie był w stanie pomieścić pątników, przystąpiono więc do budowy nowej świątyni o trzech obszernych nawach.

Kolejny napad w roku 1466, tym razem już nie rycerzy-rabusiów (z niemiecka nazwanych później raubritterami), lecz regularnego wojska króla czeskiego, jak również walory architektoniczne jasnogórskiego wzgórza sprawiły, że późniejsi monarchowie polscy, już z następnej dynastii – Wazów – otoczyli sanktuarium murami obronnymi. Fortecę Maryi zaczęto budować w roku 1621, a ukończono w latach 40. Swój wielki egzamin zdała w 1655 r., podczas szwedzkiego potopu.

KLĘCZAŁ W UPOJENIU, W ZACHWYCIE

18 listopada tegoż roku licząca 3 tys. żołnierzy armia gen. Burcharda Müllera stanęła pod murami Jasnej Góry, żądając poddania twierdzy. Do tej pory najazd szwedzki przebiegał, dla agresora, nadzwyczaj gładko. W Częstochowie było inaczej. Oto o. Augustyn Kordecki, przeor Jasnej Góry, postanowił bronić świętego miejsca mimo posiadania bardzo ograniczonych sił (170 żołnierzy, 20 szlachciców, 70 zakonników). Ta garstka obrońców wytrzymała jednak oblężenie pewnych siebie Szwe-

eprasa.pl 5b277a8c4d

dów, pogardliwie nazywających klasztor kurnikiem. Po 40 dniach najeźdźcy musieli odstąpić. Po szczegóły – nieco podkolorysowane – odsyłam do „Potopu" Henryka Sienkiewicza. Sceny walk w obronie Jasnej Góry należą w tej wielkiej powieści do najznakomitszych.

Częstochowski epizod „Potopu", ponad 200-stronicowy, stanowiący odrębną całość, niczym powieść w powieści, zawiera wspaniałą artystycznie scenę indywidualnej i zbiorowej ekstazy modlitewnej w kaplicy cudownego obrazu, do której Kmicic, bohater dzieła, kieruje kroki po przybyciu do klasztoru. Przeżywa tam – pisał prof. Lech Ludorowski – „swą jasnogórską teofanię – najwyższe uniesienie, crescendo swojej religijnej mistyki. Genialnie uchwycony ów wybuch ekstatycznej modlitwy (która tak zafascynowała znakomitego pisarza Antoniego Gołubiewa), potężny poryw uczuć (wyzwalających z naturalnej cielesności) unosi duszę Kmicica w nadprzyrodzonym upojeniu ku niepojętej i nieogarnionej niezmierności – i tą modlitwą modlitw zbliża go w apogeum mistycznego zachwycenia do Boga".

Oto i stosowny cytat z Sienkiewicza:

„Z głównej nawy kościoła dochodził szum zmieszany głosów ludzkich, jak ogromny szum morza, a tu panowała cisza głęboka, przerywana tylko głosem zakonnika śpiewającego wotywę.

Obraz jeszcze był przysłonięty, więc oczekiwanie tłumiło dech w piersiach. Widać tylko było oczy wpatrzone w jedną stronę, nieruchome twarze, jakoby już z ziemskim życiem rozbratane, ręce złożone przed ustami, jak u aniołów na obrazach. Śpiewowi zakonnika wtórowały organy wydając tony łagodne, a słodkie, płynące jakoby z fletni zaziemskich. Chwilami zdawały się one sączyć jak woda w źródle, to znów padały ciche, a gęste, jak rzęsisty deszcz majowy.

Wtem huknął grzmot trąb i kotłów – dreszcz przebiegł serca.

Zasłona obrazu rozsunęła się w dwie strony i potok brylantowego światła lunął z góry na pobożnych.

Jęki, płacz i krzyki rozległy się w kaplicy.

– Salve Regina! – zawrzasła szlachta – monstra Te esse matrem! – a chłopi wołali: – Panienko Najświętsza! Panno Złota! Królowo Anielska! ratuj, wspomóż, pociesz, zmiłuj się nad nami!

I długo brzmiały te okrzyki wraz ze szlochaniem niewiast, ze skargami nieszczęśliwych, z prośbami o cud chorych lub kalek.

Z Kmicica dusza nieomal wyszła; czuł tylko, że ma przed sobą niezmierność, której nie pojmie i nie ogarnie, a wobec której wszystko niknie. Czymże były zwątpienia wobec tej ufności, której cała istność nie mogła pomieścić; czym niedola wobec tej pociechy; czym potęga szwedzka wobec takiej obrony; czym ludzka złość wobec takiego patronatu?

Tu myśli w nim ustały i zmieniły się w czucia same; zapomniał się, zapamiętał, przestał rozeznawać, kim jest, gdzie jest… Zdawało mu się, że umarł, że dusza jego leci z głosami organów, miesza się z dymami kadzielnic; ręce, przywykłe do miecza i rozlewu krwi, wyciągnął do góry, klęczał w upojeniu, w zachwycie.

Tymczasem ofiara kończyła się. Pan Andrzej sam nie wiedział, jakim sposobem znalazł się wreszcie znowu w głównej nawie kościelnej. Ksiądz prawił naukę z kazalnicy, ale Kmicic długo jeszcze nic nie słyszał, nic nie rozumiał, jak człowiek zbudzony ze snu nie od razu miarkuje, gdzie kończy się sen, a rozpoczyna jawa".

CHOĆBY TU PRZYSZŁY POGANÓW TYSIĄCE

Częstochowskie zwycięstwo, nieoczekiwane, a tak bardzo potrzebne, uznano za karę spuszczoną przez Boga na heretyków za obrazę przez nich uczuć religijnych narodu polskiego, zaś szczególne zasługi przypisano nie tyle może dzielności obrońców i wytrzymałości murów, ile wstawiennictwu Matki Bożej. To ona bowiem osłoniła wybrane przez siebie miejsce.

Pozwolę sobie jeszcze w tym miejscu zacytować pomieszczoną przez Henryka Sienkiewicza w „Potopie" dziadowską pieśń śpiewaną na Jasnej Górze przez żebraczkę Konstancję:

Próżno przegrażasz mi, husycie srogi,
Próżno diabelskie wzywasz w pomoc rogi,
Na próżno palisz i krwie nie żałujesz,
Mnie nie zwojujesz!
Choćby tu przyszły poganów tysiące,
Choćby na smokach wojska latające,
Nic nie wskórają miecz, ogień ni męże,
Bo ja zwyciężę!

Skuteczna obrona Częstochowy sprawiła poderwanie się narodu do walki, a w konsekwencji wyparcie szwedzkiego najeźdźcy i powrót ze Śląska króla Jana Kazimierza, który 1 kwietnia 1656 r. w uroczystym ślubowaniu w katedrze lwowskiej oddał kraj we władanie Matce Bożej, obierając ją za patronkę i królową polski. Odtąd Jasna Góra stała się symbolem naszej wolności narodowej i religijnej.

Szwedzi będą jeszcze wielokrotnie usiłować zdobyć Częstochowę, kilkakrotnie jeszcze na początku XVIII w. Bez skutku. Gdy zapanował spokój, paulini z Jasnej Góry, po zasięgnięciu opinii nuncjusza papieskiego, zapytali Ojca Świętego o możliwość koronacji cudownego obrazu. Klemens XI wyraził zgodę i koronacja odbyła się 8 września 1717 r. Po 55 latach po raz pierwszy do niezwyciężonej dotąd Jasnej Góry wkroczyli wrogowie. Tym, który rozkazał oddać twierdzę Rosjanom, był ostatni król Polski – Stanisław August Poniatowski. Stało się tak po trzyletniej obronie Częstochowy przez konfederatów barskich pod przywództwem Kazimierza Pułaskiego. Był to ostatni akt oporu konfederatów. Król zagwarantował jedynie łagodne warunki kapitulacji, w istocie sprzyjając wojskom carycy Katarzyny II i interesom rosyjskim. Wkrótce też nastąpił I rozbiór Rzeczypospolitej.

Jako twierdza militarna Jasna Góra zapisała się w kronikach po raz ostatni w okresie napoleońskim, kiedy to od 1806 do 1813 r. z powodzeniem odpierano tam ataki Austriaków. Po upadku Napoleona ponownie zajęli Częstochowę Rosjanie, a car Aleksander I rozkazał zburzyć mury forteczne, w zmienionym kształcie odbudowane w roku 1843 na polecenie Mikołaja I, który chciał tym gestem zaskarbić sobie przychylność Polaków i Kościoła katolickiego, co – naturalnie – nie nastąpiło. W okresie powstania styczniowego rozpowszechniany projekt przyszłego godła narodowego wolnej Polski w centralnym miejscu uwzględniał Jasną Gorę właśnie, a po upadku powstania wielu paulinów oskarżono o działalność antyrosyjską i wywieziono na Sybir.

W 1909 r., w nocy z 22 na 23 września, skradziono perłową suknię jasnogórskiego obrazu i dwie złote korony papieskie. To była niesłychanie głośna sprawa. Sprawcą kradzieży był paulin, o. Damazy Macoch, który z dwoma wspólnikami okradał skarbiec jasnogórski, nie wahając się nawet dokonać czynu bluźnierczego. Macoch miał kochankę, którą wydał za swojego kuzyna i której nawet wyprawił wesele. Potem jednak zabił owego Wacława Macocha, ciała się pozbył, ale w wyniku śledztwa prowadzonego przez komisarza Jasieńskiego ten, najprawdopodobniej, nie tylko zakonnik, lecz także agent ochrany został aresztowany wraz z osobami wspomagającymi go i pomagającymi mu ukryć jego zbrodnie i występki. Został skazany na 12 lat

eprasa.pl 5b277a8c4d

Kontrmanifestacja przeciw I Marszowi Równości w Częstochowie (8 lipca 2018 r.) FOT. KAROL PORWICH/EAST NEWS

ciężkiego więzienia. Zmarł na gruźlicę w trakcie odbywania kary. Na wieść o dokonanym akcie barbarzyństwa papież Pius X ofiarował nowe korony i 22 maja 1910 r. odbyła się ponowna koronacja cudownego obrazu, równie uroczysta jak poprzednia. Trudny do zrozumienia był natomiast apel skierowany do pielgrzymów o zbiórkę na „przebłaganie Boga za zbrodnie ojca Macocha". Nic więc dziwnego, że Tadeusz Boy-Żeleński w swojej satyrycznej „Opowieści dziadka o cudach jasnogórskich" pisał:

Iżby zapomniał Bóg o swy boleści,
Trza mszów zakupić dziennie ze czterdzieści;
Niech więc na tacke, co ta chtóry może,
Rzuci w klasztorze...

BO U CHRYSTUSA MY NA ORDYNANSACH

I wojna światowa ominęła Jasną Górę, która już w wolnej Polsce przeżyła wiele ważnych momentów. Nieprzebrane tłumy przybyły np. do Częstochowy, by wymodlić zwycięstwo w boju z bolszewikami z 15 sierpnia 1920 r., przypisane później wstawiennictwu Matki Bożej i nazwane Cudem nad Wisłą.

W 1932 r. 750 tys. pielgrzymów świętowało na Jasnej Górze 550-lecie sprowadzenia cudownego obrazu. Cztery lata później odbyło się uroczyste ślubowanie polskich studentów, wyrażających pragnienie budowania wraz z Maryją nowej Polski.

We wrześniu 1939 r. część klasztoru zajęły wojska niemieckie i pozostały tam do 18 stycznia 1945 r. Hitlerowcy zabronili pielgrzymowania na Jasną Górę, zakaz nie był jednak do końca przestrzegany, a paulini udzielali pomocy potrzebującym, w tym także – co należy podkreślić – Żydom.

Cennych zbiorów Jasnej Góry nie skradli uciekający stamtąd w popłochu Niemcy ani sowieccy „wyzwoliciele". A we wrześniu 1946 r. prymas August Hlond w obecności dwumilionowej rzeszy wiernych poświęcił Polskę Niepokalanemu Sercu Maryi. Jego następca, prymas Stefan Wyszyński, na odosobnieniu w Komańczy zredagował tekst nowych Ślubów Narodu, które zostały złożone na Jasnej Górze w 300. Rocznicę Ślubów króla Jana Kazimierza. W intencji uwolnienia księdza prymasa modliło się wówczas w Częstochowie milion pielgrzymów. Tak też się stało, dwa miesiące potem, 26 października 1956 r.

Jasna Góra, katedra w Gnieźnie, Wawel... Potrzebne jest umocowanie ustawowe, które pozwoliłoby gonić stamtąd homolubów jak najdalej

Wyjątkowy charakter miały tu obchody Tysiąclecia Chrztu Polski w 1966 r., gdy komunistyczne władze nie zezwoliły na przyjazd do Polski papieża Pawła VI. Milicja wielokrotnie uniemożliwiała pielgrzymowanie po kraju kopii cudownego obrazu, prowokowała napięcia społeczne, ale i konsolidowała naród wokół krzyża w stopniu dziś, w wolnym kraju, niewyobrażalnym.

I dopiero 4 czerwca 1979 r. przybył na Jasną Górę pierwszy w historii papież – Jan Paweł II. W ciągu trzech dni spotkało się z nim wtedy w tym sanktuarium 3,5 mln ludzi. A Jan Paweł II w pierwszych słowach powiedział wtedy: „Spełnia się wola Maryi. Jestem tutaj i przypominam starą pieśń konfederatów barskich: »Bo u Chrystusa my na ordynansach, słudzy Maryi«". Ten papież Polak pielgrzymować będzie na Jasną Górę sześć razy. W 2006 r. odprawi tam mszę Benedykt XVI, a w 2016 r. Franciszek.

„Tyle razy przybywaliśmy tutaj! – mówił w 1979 r. na Jasnej Górze Jan Paweł II. – Stawaliśmy na tym świętym miejscu, przykładaliśmy niejako czujne pasterskie ucho, aby usłyszeć, jak biją serce Kościoła i serce ojczyzny w Sercu Matki [...]. Bije zaś ono, jak wiemy, wszystkimi tonami dziejów, wszystkimi odgłosami życia [...]. Jeśli jednakże chcemy dowiedzieć się, jak płyną te dzieje w sercach Polaków, trzeba przyjść tutaj. Trzeba przyłożyć ucho do tego miejsca. Trzeba usłyszeć echo całego życia narodu w sercu jego Matki i Królowej".

Zdawałoby się, że po tych słowach Jasna Góra będzie miejscem po wielokroć uświęconym. Nie mówiąc o cudownym obrazie. A jednak niedawno, bo w grudniu 2012 r., pewien mężczyzna „pobudzony religijnie", jak zgrabnie nazwała go „Gazeta Wyborcza", obrzucił Czarną Madonnę żarówkami wypełnionymi czarną farbą, na szczęście nie powodując większych szkód. Sprawca profanacji, powodowany ponoć chęcią uświadomienia katolikom, w jakich błędach żyją, czcząc wizerunki i otaczając czcią obrazy i figury, sam – zdaje się – zielonoświątkowiec wylądował na dłużej w zakładzie psychiatrycznym. Gdzie trafią uczestnicy Marszu Równości?

Dzisiaj trzeba jednego. Skoro podpisaliśmy swego czasu traktat lizboński z jego artykułem o orientacji seksualnej, to przeróżnych Parad Miłości (?), z całym ich obrzydliwym sztafażem nie zabronimy. Możemy jednak chronić miejsca szczególnie istotne z religijnego czy narodowego punktu widzenia. Takie jak Jasna Góra, katedra w Gnieźnie, Wawel. Potrzebne jest umocowanie ustawowe, które pozwoliłoby gonić stamtąd homolubów jak najdalej. Nie miejmy bowiem złudzeń. Następnym razem Marsz Równości w Częstochowie będzie przez nich znacznie lepiej przygotowany, zgromadzi więcej uczestników, a zakończyć się może fatalnie. Także dla tych rzekomych miłośników tolerancji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b277a8c4d

NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 16 LIPCA 2018

DZIEWIĄTY ODCINEK SERII

Zerwany sojusz. Dlaczego zaczęliśmy walczyć z Krzyżakami?

Wojny z Zakonem przed Bitwą pod Grunwaldem

ZWYCIEZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIEZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH „ZWYCIĘZCY"

PGE Polska Grupa Energetyczna

eprasa.pl 5b277a8c4d

Z Michałem Dworczykiem, szefem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów
rozmawia Maciej Pieczyński

Pomimo sporów odzyskujemy podmiotowość

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

MACIEJ PIECZYŃSKI: Nie ma pan wrażenia, że PiS zachowuje się jak bohater dowcipu, który żeby poradzić sobie z hałasem i bałaganem w domu, kupił kozę, a gdy ta narobiła jeszcze więcej hałasu i bałaganu, sprzedał ją, i dopiero wtedy poczuł ulgę?

MICHAŁ DWORCZYK: Powiedziałbym, że raczej zajmujemy się wyprowadzaniem z domu kóz, które zostawiły nam liczne rządy III RP. Wiele problemów, obok których poprzednie rządy przechodziły, starając się ich nie zauważyć, ujrzało światło dzienne, ponieważ postanowiliśmy się im przeciwstawić, staramy się stawić im czoła. Takim przykładem są wielomiliardowe transfery finansowe w ramach polityki prorodzinnej, czy szerzej, polityki społecznej. Dzięki uszczelnieniu systemu podatkowego przez Mateusza Morawieckiego spełniliśmy wyborcze zobowiązania w postaci programu „500+", darmowych leków dla seniorów czy obniżenia wieku emerytalnego. I mimo tych ogromnych inwestycji w polskie rodziny kondycja budżetu jest zdecydowanie lepsza niż za naszych poprzedników. Oczywiście popełniamy nieraz błędy, ale stare powiedzenie mówi, że nie myli się tylko ten, kto nic nie robi.

Czy takim błędem z perspektywy czasu nie była nowelizacja ustawy o IPN?

Uchwalenie jej w przeddzień rocznicy wyzwolenia Auschwitz było z pewnością bardzo niefortunne. Uważam jednak, że sama ustawa swoją rolę odegrała. Wywołała ostrą, ale potrzebną dyskusję na temat postrzegania roli Polaków w II wojnie światowej. Konfrontacja z nieprzychylnymi nam opiniami była konieczna, żeby opowiedzieć światu prawdę. Sprowadzanie skutków ustawy wyłącznie do negatywnych konsekwencji jest nieuczciwe albo – w najlepszym przypadku – nieprecyzyjne. Przyznaję też, że byliśmy zaskoczeni, jak głęboko ta antypolska narracja była wdrukowana w opinię międzynarodową. To pokazuje też, do czego prowadzi sytuacja, w której jeszcze do niedawna nasz kraj był „promowany" takimi dziełami jak film „Pokłosie" czy książki pana Grossa.

W światowej opinii publicznej nie utrwalił się jednak przekaz o treści „Polska bohatersko walczy o prawdę". Odwrotnie. Słychać raczej, jak to „Polska walczy z prawdą historyczną". A i tak trzeba było się z tej walki wycofać.

Przecież nie wycofaliśmy się ze styczniowej nowelizacji ustawy o IPN – odstąpiliśmy jedynie od przepisów karnych, które odwracały uwagę od celu, jaki przyświecał tym pierwotnym zmianom. Tym celem jest obrona dobrego imienia Polski i prawda historyczna. Po przeanalizowaniu całego kontekstu społecznego, politycznego i międzynarodowego uznaliśmy, że do obrony wizerunku Polski w tej ustawie wystarczą przepisy o charakterze cywilnoprawnym. Przełomowym historycznie wydarzeniem było ogłoszenie wspólnej deklaracji premierów Polski i Izraela, w której podkreślana jest pozytywna rola Polskiego Państwa Podziemnego, antypolonizm zaś został potępiony na równi z antysemityzmem. Podkreślona została rola Polskiego Państwa Podziemnego i zaangażowanie Polaków w ratowanie Żydów. Ten dokument będzie świetnym argumentem w walce o dobre imię Polski. Cytując premiera Morawieckiego: „Wyszliśmy z tej walki poturbowani, ale z tarczą".

eprasa.pl 5b277a8c4d

Jednak rezygnacja z przepisów karnych także przez część zwolenników PiS została uznana za rejteradę. Wcześniej rząd mówił o „wstawaniu z kolan", a teraz nagle okazało się, że trzeba ustąpić.

Traktuję to nie jako ustępstwo, tylko obranie bardziej skutecznej, efektywnej formy działania. Nie wystarczy mieć rację. Dojrzałość polityczna polega na tym, żeby formy działania dostosowywać do realiów. Nie zależy nam wyłącznie na gestach, chcemy osiągać konkretne rezultaty.

„Kraj, który szczyci się tym, że uchwalił prawo, które ich zdaniem przywróci narodowi honor. Pół roku później anulują je z podkulonym ogonem". Tak o Polsce powiedział Jakow Nagel, bliski współpracownik premiera Netanjahu.

Tego rodzaju komentarze oczywiście są obraźliwe i niedopuszczalne. Jednak nie dziwię się nerwowym reakcjom współpracowników premiera Netanjahu, który za swoje porozumienie z Polską został frontalnie zaatakowany przez wszystkich przeciwników, a nawet przez własnych koalicjantów, którzy na antypolonizmie chcą zbić kapitał polityczny przed zbliżającymi się wyborami. Tym większym sukcesem okazuje się więc potępienie antypolonizmu właśnie w dokumencie podpisanym przez premiera Izraela.

Deklarację szefów rządów krytykuje też instytut Yad Vashem. Z kolei premier Izraela ma sporo problemów we własnym kraju. Może stanąć przed sądem za korupcję. Netanjahu kiedyś więc odejdzie, Yad Vashem zostanie. Może warto z nimi poszukać porozumienia?

Po pierwsze, nie deprecjonowałbym premiera Netanjahu. To jeden z najbardziej wpływowych polityków w dziejach Izraela. Już niejeden wieszczył mu koniec kariery politycznej. Tymczasem Beniamin Netanjahu cały czas ma się dobrze i wszystko wskazuje na to, że w najbliższych wyborach jego formacja polityczna znów osiągnie sukces. Po drugie, to chyba normalne, że rząd rozmawia z rządem, premier z premierem. Oczywiście zależy nam na budowaniu relacji z różnymi podmiotami, ale właściwym partnerem dla Yad Vashem jest IPN. Po trzecie, wierzę w rozsądek polityków izraelskich, wierzę, że prawda i roztropność wezmą górę nad nieprzemyślanymi i krótkowzrocznymi antypolskimi atakami.

Minister edukacji Naftali Bennett zapowiedział wprowadzenie lekcji z polskiego antysemityzmu...

W interesie Izraela są dobre relacje z Polską. Jesteśmy jedynym dużym krajem UE, w którym nie ma nastrojów antyizraelskich. Nie mówię już o antysemityzmie, bo to nie w Polsce synagogi otaczane są drutem kolczastym w obawie przed atakami. To nie w Polsce bestsellerem czytelniczym jest „Mein Kampf". Wreszcie to nie w Polsce odbywają się propalestyńskie demonstracje.

Izrael zdaje się jednak tego wszystkiego nie doceniać.

Wierzę jednak, że mądrość polityczna i prawda historyczna w Izraelu zwyciężą.

A jednak nawet wspólna deklaracja wzbudza kontrowersje. Oświadczenie premierów zostało opublikowane w światowych mediach. Według izraelskiego dziennikarza Baraka Ravida polski rząd nie koordynował tej kampanii informacyjnej z Izraelem, tym samym „zaprzeczając duchowi porozumień pomiędzy stronami". Czyżby oświadczenie miało trafić do szuflady?

Oświadczenie zostało odczytane w polskiej oraz izraelskiej telewizji publicznej. Sugeruje pan, że w Tel Awiwie liczyli na to, że nikt tego nie obejrzy?

To oczywiste, że polski rząd nie konsultował tej kampanii z rządem Izraela. Powód jest prosty: to nie jest kampania polskiego czy izraelskiego rządu, tylko Fundacji PKO Banku Polskiego, której jednym ze statutowych celów jest dbałość o pozytywny wizerunek Polski na świecie.

Zapewniał pan publicznie, że polski rząd nie prowadził żadnych zagranicznych konsultacji w sprawie zmian w ustawie o IPN.

Bo nie prowadził. Negocjowaliśmy ze stroną izraelską jedynie samą deklarację premierów.

Podobno uczestniczył pan w tych negocjacjach, które w pełnej tajemnicy odbywały się w Wiedniu i pod Tel Awiwem. Trudno było przekonać izraelską stronę do potępienia antypolonizmu?

Wiele osób uczestniczyło w realizacji tego projektu, ale jedno jest pewne – zasadnicze ustalenia oraz pełną koordynację wziął na siebie premier Morawiecki. I to dzięki niemu mamy dziś historyczne polsko-izraelskie porozumienie. W Wiedniu nie byłem od lat... ale jako polityk i jako urzędnik – dziś jestem dumny, że państwo polskie w tej sprawie wykazało się profesjonalizmem i skutecznością. Po pierwsze, udało się uniknąć czegoś, co jest poważną dolegliwością polskiego życia publicznego, czyli przecieków do mediów, a dyplomacja lubi ciszę. Po drugie, udało się cały proces legislacyjny przeprowadzić szybko, co było wyrazem bardzo dobrej współpracy rządu, Sejmu, Senatu i prezydenta oraz dowodem na naszą skuteczność. Udowodniliśmy, że dzisiejsze państwo polskie nie jest tylko teoretyczne, że potrafi planować oraz działać niezwykle sprawnie.

Nieruszona pozostała część ukraińska ustawy o IPN. Nasuwać się może pytanie: Czyżby Kijów nie naciskał tak mocno jak Tel Awiw?

To są sprawy nieporównywalne. Doskonale pan wie, że „część ukraińska" zakłada po prostu dopisanie w ustawie do katalogu zbrodniczych ideologii, których propagowanie jest zabronione – obok komunizmu i nazizmu – również integralnego nacjonalizmu ukraińskiego.

Był pan współautorem uchwały o ludobójstwie na Wołyniu. Miała być ona narzędziem walki o prawdę. Tymczasem na Ukraińców to nijak nie podziałało. Z okazji rocznicy „krwawej niedzieli" Andrzej Duda składał wieniec samotnie, w łanach zboża na Wołyniu, a tego samego dnia fetowany przez mniejszość ukraińską w Polsce Petro Poroszenko czcił ukraińskie ofiary w Sahryniu, budując fałszywą symetrię win w relacjach między narodami.

Elementarna uczciwość nakazuje, by mówić o ludobójstwie prawdę, której nie można składać w ofierze na ołtarzu budowy dobrych relacji polsko-ukraińskich. Ta prawda zderzyła się z polityką historyczną Kijowa. Ustawa o IPN nie zmieni może podejścia Ukraińców, ale długofalowo pomoże, budując wzajemne relacje z zachowaniem elementarnej uczciwości wobec historii. Nie możemy zrezygnować z mówienia prawdy o Wołyniu, nawet w imię strategicznych interesów, które mamy wspólne.

Niedawno na forum Parlamentu Europejskiego Mateusz Morawiecki opowiadał o polskiej wizji UE. A i tak po swoim przemówieniu musiał odpowiadać na pytania o praworządność. Jako „prozachodni technokrata" z międzynarodowym doświadczeniem miał ułatwić nam kontakt z Brukselą. Nie widać efektów.

eprasa.pl 5b277a8c4d

Ta teza nie ma pokrycia w rzeczywistości. To, że atakują nas mainstreamowe media i politycy, na czele z Komisją Europejską, nie oznacza, że nasz głos nie jest słyszalny. Najlepszym dowodem na to, jak istotny jest głos Polski w Unii Europejskiej, jest sprawa imigracji. To właśnie stanowisko, konsekwentnie prezentowane przez PiS od 2015 r., zostało finalnie zaakceptowane kilkanaście dni temu podczas szczytu Unii Europejskiej. Nie będzie przymusowej relokacji uchodźców. Pan nadal mówi, że nie widać efektów?

Nie widać, żebyśmy za ten sukces byli szczególnie chwaleni na Zachodzie.

Gdyby celem naszej polityki było tylko zbieranie pochwał na Zachodzie i poklepywanie po plecach, to po prostu spełnialibyśmy oczekiwania naszych partnerów bez oglądania się na własny interes. Nie oszukujmy się, czasami płacimy wizerunkową cenę za to, że dążymy do realizacji ważnych celów z punktu widzenia państwa polskiego.

Wizerunek też jest ważny. Poza tym nasza polityka migracyjna nie sprawiła, że instytucje unijne przestały nas pouczać i wszczynać kolejne procedury przeciwko nam.

Najważniejsze jest bezpieczeństwo Polski i UE, a w tej sprawie nawet nasi oponenci muszą przyznać, że mieliśmy rację. Liczy się konsekwencja, a tej nam nie można odmówić. Jeśli zaś chodzi o działania Komisji Europejskiej, to wynikają one z pobudek ideologicznych. Mateusz Morawiecki odbył dziesiątki spotkań i rozmów z politykami unijnymi, wydaliśmy Białą Księgę, słowem: zrobiliśmy wszystko, by naszym oponentom wytłumaczyć istotę reformy sądownictwa. Wiadomo jednak, że pewnej części z nich nie da się przekonać, gdyż kieruje nimi ideologiczne uprzedzenie wobec Polski. Ważne, że udało się część unijnych krajów przekonać do naszych racji. To wielka zasługa premiera Morawieckiego.

Trybunałem Sprawiedliwości UE też by się pan nie przejmował?

Nie można wpadać w histerię. W Trybunale Sprawiedliwości jest rozpatrywanych obecnie blisko 1300 spraw. Jeżeli sprawa sądów w Polsce będzie 1301 sprawą, to oczywiście nie jest to przyjemne, ale świat się nie skończy. Jesteśmy przygotowani do obrony naszego stanowiska na każdym forum.

„Gazeta Wyborcza" prognozuje, że w sprawie Sądu Najwyższego instytucje unijne będą bardziej nieprzejednane niż w przypadku TK, ponieważ sprawa jest bardziej medialna – wystarczy postawić akcent na konstytucyjnym zapisie o sześcioletniej kadencji prezes i zwrócić uwagę na to, że chodzi o kobietę… Czy nie obawia się pan, że z reformy SN trzeba będzie ustąpić, jak to miało miejsce z ustawą o IPN?

Rząd już wielokrotnie udowodnił swoją chęć osiągnięcia kompromisu. To właśnie z drugiej strony nie widać chęci do szczerego dialogu. Trudno oprzeć się wrażeniu, że KE straciła szansę na zawarcie kompromisu. Wyciągnięta przez Polskę ręka zawisła w powietrzu. Co do pani prof. Gersdorf to jakoś wcześniej nie kwestionowała nowej ustawy o SN. Zgodnie z zawartymi w niej przepisami występowała do prezydenta o możliwość dodatkowego zatrudnienia na jednej z warszawskich uczelni, na co zresztą otrzymała zgodę. A teraz nagle okazuje się, że ustawa jest jej zdaniem niekonstytucyjna… Nie dostrzega pan tu niekonsekwencji? W Polsce obowiązuje domniemanie zgodności z konstytucją stanowionego prawa. Jeśli pani prof. Gersdorf miała wątpliwości, mogła ustawę skierować do Trybunału Konstytucyjnego.

Dowodem na to, jak istotny jest głos Polski w Unii, jest sprawa imigracji. To właśnie stanowisko PiS zostało finalnie zaakceptowane podczas szczytu UE. Nie będzie przymusowej relokacji uchodźców

Który jednak uważany jest przez nią – jak i przez opozycję – za „pisowski"…

Problem osób, które używają takich argumentów, polega na tym, że nie potrafią zaakceptować zwycięstwa PiS w demokratycznych wyborach w 2015 r. Żyjemy w państwie demokratycznym, nie unikniemy więc protestów, absurdalnych wypowiedzi przedstawicieli opozycji i bzdur wypisywanych przez wrogich nam publicystów. Niedawno przewodniczący SLD straszył mnie, że moja rodzina będzie głodowała, kiedy ja będę siedział w więzieniu. To wypowiedź z pozoru absurdalna, jednak polityków wypada traktować poważnie. A jeśli tak – to tego rodzaju groźby brzmią niepokojąco. Tym bardziej że akurat formacja polityczna, z której wywodzi się pan Czarzasty, ma bogate doświadczenie w wydawaniu zaocznych wyroków na inaczej myślących. Wypada się więc cieszyć, że groził mi „tylko" więzieniem. (śmiech)

A czy zgodzi się pan z częścią partyjnych kolegów, że PO i Nowoczesna, prosząc UE o wsparcie, wpisują się z kolei w tradycję targowicy?

Powinniśmy tonować nastroje, gdyż poziom emocji w polityce robi się zdecydowanie zbyt wysoki. Prawdą jednak jest, że jedynym pomysłem wielu polityków opozycji na zneutralizowanie PiS jest wsparcie zewnętrzne w formie chociażby blokady funduszy unijnych, o czym otwarcie mówił niedawno poseł Trzaskowski. Nie mogę wyjść ze zdumienia, że tacy ludzie, jak posłowie Schetyna, Lewandowski czy Szłapka, próbują szkodzić własnemu krajowi za granicą, obłudnie przy tym powołując się na jego dobro.

A może Polska pod rządami PiS to trochę jak państwo heretyckie w średniowiecznej Europie? Niby chcą z nami robić interesy, a jednak ideologicznie, nawet wbrew logice, patrzą jak na trędowatych…

Większość krajów UE, rządzonych przez elity liberalne, ma problem z Polską. Ale oprócz ideologii ma to związek z gospodarką. W końcu chociażby np. uszczelnienie VAT naruszyło wiele interesów, bo mafie VAT-owskie mają bardzo często charakter międzynarodowy. Warto też zauważyć, że Polska ma problem z elitami zachodnimi, ale nie zachodnimi społeczeństwami. Kilka miesięcy temu mieliśmy ciekawy wynik badań przeprowadzonych wśród zagranicznych turystów odwiedzających Polskę. 95 proc. z nich zakochało się w polskiej gościnności, polskich zabytkach, polskiej kulturze. I większość tych turystów chce do Polski wrócić za rok. Mamy też coraz więcej sojuszników pośród innych państw. Wspierają nas kraje bałtyckie, Grupa Wyszehradzka, rozwija się powoli projekt Trójmorza, wsparty przez USA, nasze bezpieczeństwo wzmacniają amerykańscy żołnierze, o których stałej bazie nad Wisłą mówi się coraz poważniej. Słowem, pomimo wysokiej temperatury międzynarodowych sporów, odzyskujemy podmiotowość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b277a8c4d

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2018

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

VI EDYCJA

NIEZWYKŁEJ NAGRODY

Tytuł STRAŻNIK PAMIĘCI przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Zgłoszenia można dokonać do 30.09.2018 r. drogą mailową: straznikpamieci@dorzeczy.pl lub pocztą: Redakcja "Do Rzeczy", Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, z dop. Strażnik Pamięci

PARTNER STRATEGICZNY: ORLEN

SPONSOR: PGNiG

PATRONAT HONOROWY: SEJM, niepodległa, INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

WSPÓŁORGANIZATOR

eprasa.pl 5b277a8c4d

Piotr Semka

Ugoda Morawiecki-Netanjahu przetrwała pierwszą falę krytyki w Izraelu. Koalicja izraelskiej lewicowej partii Meretz i skrajnej prawicy okazała się za słaba, by zmusić premiera Izraela do wycofania się z porozumienia

Kruche

Także ostre oświadczenie instytutu Yad Vashem, krytyka Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie i prasowe ataki dzienników „Maariv", „Yedioth Ahronoth" „nie zmieniły stanowiska szefa rządu w sprawie wspólnego oświadczenia Warszawy i Jerozolimy. 11 lipca w Knesecie odbyła się debata wokół wniosku Tamar Zandberg, liderki lewicowej partii Meretz, która zażądała specjalnej uchwały Knesetu krytykującej deklarację polsko-izraelską.

Tamar Zandberg atakowała porozumienie, wskazując, że Netanjahu stał się „adwokatem wschodnioeuropejskich prawicowych rządów prowadzących ekstremistyczną politykę". „To wyprzedawanie naszej historii nie jest bez związku z aktualną polityką. Izrael podaje dłoń wschodnioeuropejskim demokracjom, które bardzo oddaliły się od idei liberalnych, bazując na antysemityzmie i nienawiści wobec cudzoziemców" – grzmiała liderka partii Meretz.

Ataki na porozumienie odpierał w Knesecie wiceszef kancelarii Netanjahu, Micha'el Oren. „Celem rozmów ze stroną polską było wycofanie się z przepisów przewidujących kary więzienia za badania i swobodną dyskusję nad Holokaustem. Ten cel został osiągnięty".

Wniosek Tamar Zandberg został przegłosowany pozytywnie, ale nie będzie rozpatrywany przed wakacjami. Komisja oświaty zajmie się nim najwcześniej w październiku. Jak skomentował to dziennik „The Jerusalem Post": „Dalsza dyskusja nad wnioskiem ma się odbyć, gdy cała sprawa może być już dawno zapomniana". To porażka przeciwników niedawnego porozumienia Polski z Izraelem.

Dzień wcześniej publicysta Konstanty Gebert, wiążąc z nią – jak się zdaje – spore nadzieje, poświęcił debacie felieton na portalu „Gazety Wyborczej". „Morawiecki-Netanjahu. Szalbierzy dwóch. Ale w Polsce partia kieruje, Sejm głosuje. A w Izraelu nie ma żadnej dyscypliny". Dyscypliny istotnie nie było, ale ludzie Netanjahu zręcznie skierowali sprawę do „zamrażarki".

Czy to koniec próby cofnięcia ugody z Polską? To zależy, jak bardzo zdeterminowani będą przeciwnicy porozumienia. Na razie Netanjahu ostudził emocje.

„BIBI" POD OSTRZAŁEM

Już teraz można jednak postawić parę wniosków na temat sporu o deklarację.

Po pierwsze – kłopotem dla strony polskiej w tej sprawie była i jest słaba pozycja polityczna premiera Beniamina Netanjahu. „Bibi" od początku roku walczy o polityczne przetrwanie i musi zmagać się ze śledztwem w kwestii korupcji. Izraelska scena polityczna miewa dość operetkowy charakter, a rządy z powodu rozdrobnienia Knesetu są dość słabe i zależne od histerycznych gestów nawet drobnych koalicjantów. W wypadku sporu o porozumienie z Polską rolę primadonny odegrał minister oświaty Naftali Bennett ze skrajnej, prawicowej partii Żydowski Dom. Bennett ostro się sprzeciwiał. „Jako minister edukacji odrzucam je całkowicie" – napisał na Twitterze. Niektóre media w Polsce spekulowały nawet, czy Bennett nie wyjdzie z rządu i nie wywróci całego gabinetu Netanjahu. Jednak hałaśliwy minister nie odważył się na taki krok. Jego polecenie – głośno komentowane w naszych mediach – by w szkołach i w czasie wycieczek do Polski opowiadać o polskim antysemityzmie, było więc raczej ratowaniem twarzy.

Wobec słabości partyjnej kołomyjki elementem powagi w polityce Izraela jest stanowisko służb specjalnych, głównego czynnika bezpieczeństwa w kraju otoczonym ze wszystkich stron przez realnych lub potencjalnych wrogów.

Jak można wnioskować z subtelnych napomknięć polityków PiS prowadzących negocjacje ze stroną izraelską – służby specjalne poparły ugodę z Polską i dbały, by polityczne spory w gabinecie Netanjahu nie zniweczyły tego osiągnięcia.

Nie oznacza to, że izraelski premier nie musiał mocno bronić swej decyzji. Złagodzeniu krytyki służyła mało dla nas przyjemna wypowiedź Jakowa Nagela, zaufanego negocjatora premiera, który w rozmowie z „The Times of Israel" mówił o Polsce tak: „To kraj, który szczyci się tym, że uchwalili prawo, które ich zdaniem przywróci narodowi honor. Pół roku później anulują je z podkulonym ogonem". I dalej: „To wielkie osiągnięcie dla państwa Izrael. Krytyka doprowadza mnie do szaleństwa. Osiągnęliśmy niesamowity sukces. Mieliśmy prawo, o którym wszyscy mówili, że jest straszne. Pozbyliśmy się tego, nie dając im nic w zamian. Nie ma nic złego w tym stwierdzeniu" – dodał.

W Polsce, szczególnie po prawej stronie, cytowano ten arogancki tekst jako dowód polskiej klęski. Jeśli jednak spojrzeć na to w kontekście walki Netanjahu o przeżycie, szczególnie wobec ostrych ataków rywala z opozycji Ja'ira Lapida – ten gest jawi się w bardziej właściwych proporcjach.

Na pewno mocno na ugodę naciskał Waszyngton. Izrael i Polska – choć w różnym stopniu – mają znaczenie dla polityki bezpieczeństwa USA.

To może też tłumaczyć wiele nerwowych reakcji. Izrael jest przyzwyczajony raczej do narzucania swego stanowiska Ameryce niż do przyjmowania presji w drugą stronę. Teraz, jak się zdaje, wektor siły został skierowany z Waszyngtonu do Jerozolimy.

Po drugie – opór wobec porozumienia pokazał, jak silna jest w Izraelu niechęć

eprasa.pl 5b277a8c4d

Tamar Zandberg, liderka partii Meretz, zażądała specjalnej uchwały Knesetu krytykującej deklarację polsko-izraelską FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

porozumienie

odejścia od wizji historii, w której Polska jest przedstawiana jako wspólnik Niemców w Holokauście. W oświadczeniu Yad Vashem krytykującym deklarację Morawiecki-Netanjahu czytamy: „Istniejące dokumenty i dziesięciolecia badań historycznych dają całkowicie odmienny obraz: polski rząd na uchodźstwie z siedzibą w Londynie oraz Delegatura (rządu na kraj) nie działały stanowczo w imieniu polskich obywateli pochodzenia żydowskiego w żadnym momencie trwania wojny. Duża część polskiego ruchu oporu występującego w licznych nurtach nie tylko nie zdołała Żydom pomóc, lecz także nierzadko aktywnie uczestniczyła w ich prześladowaniu". Takie słowa dowodzą tego, jak bardzo zideologizowana i daleka od obiektywizmu jest dziś ta instytucja.

Na tym tle deklaracja Diny Porat, głównej badaczki instytutu: „Można żyć ze wspólną deklaracją z Polską" – to pewien powód do ostrożnego optymizmu. Mniej dziwią agresywne ataki na deklarację ze strony np. Jana Grabowskiego, autora tezy o 200 tys. żydowskich ofiarach Polaków w czasie okupacji. Tacy badacze jak Grabowski zrobili karierę na przejaskrawianiu polskich przewin w czasie ostatniej wojny i żaden dialog polsko-izraelski na polu historii nie tylko nie jest im potrzebny, lecz także wręcz traktowany jest jako zagrożenie dla ich pozycji. Osobna grupa w krytyce porozumienia na linii Warszawa-Jerozolima to ataki totalnej opozycji w Polsce. Jak się okazało, atakowanie PiS w tej sprawie uprawomocniło używanie języka ocierającego się o retorykę podległości Polski wobec Izraela i wszechmocnych wpływów Mosadu, czyli izraelskich służb specjalnych.

Sławomir Neumann z PO w „Śniadaniu w Polsat News" mówił: „Być może służby specjalne Izraela piszą ustawę, a premier Mateusz Morawiecki mówi, że to jego ustawa i jego sukces". I dalej: „Czy PiS ulega presji innych państw? Czy Poręba i Legutko byli w Izraelu i widzieli się z kimś z Mosadu? Kto napisał ustawę o IPN i dlaczego została przyjęta pod taką presją? Pod czyim wpływem działał PiS?" – mówił polityk Platformy Obywatelskiej. Podobny styl przyjął związany ostatnio z PO Ludwik Dorn w swoim felietonie na łamach „Polityki". Dorn wskazuje, że w światowych grach dyplomatycznych i wobec siły „bardzo wpływowego lobby żydowskiego w USA" naszemu krajowi potrzebny był „certyfikat koszerności" ze strony Izraela, a tego, jak pisze Dorn, „nikt w polityce nie wydaje za darmo".

Były marszałek Sejmu dodaje: „Nie wiem, jak się wypłacimy. Czy za rok, idąc za prezydentem Trumpem jak za panią matką, przeniesiemy ambasadę z Tel Awiwu do Jerozolimy, czy też opowiemy się w kwestii ceł unijnych na towary izraelskie wytworzone na terenach palestyńskich. Jakoś jednak będziemy musieli zapłacić, i to sporo".

Gdy zapytałem polityków PiS o to, czy ugoda historyczna pociągnęła za sobą jakieś deklaracje w sprawie ewentualnego przeniesienia polskiej ambasady do Jerozolimy – stanowczo zaprzeczyli.

Jeden z nich mówi: „Dla nas najważniejsze jest teraz przekonanie się, czy strona izraelska jest gotowa, by doprowadzić do powrotu naszych relacji do dawnego stanu. Netanjahu idąc z nami na kompromis, wiedział, że zapłaci za to polityczną cenę na krajowym podwórku. I my to doceniamy. Jeśli ta stabilizacja relacji potrwa dłużej i się ustatkuje, to jesteśmy gotowi do rozmaitych gestów. Ale to kwestia przyszłości, a nie dnia dzisiejszego. Ale dziś nikt nie jest w polskim rządzie gotowy iść znów na daleko idące gesty w sytuacji, gdy w izraelskiej polityce wciąż panuje przekonanie, że na antypolonizmie można łatwo zyskać".

KLUCZ DO WIĘKSZYCH RZECZY?

Spotkanie Donalda Trumpa z Andrzejem Dudą i wspólne zdjęcie na szczycie w Brukseli to wskazówka, że konflikt z Izraelem przestał blokować kontakty na najwyższym szczeblu. Usunięcie z ustawy o IPN zapisu o odpowiedzialności karnej za wypowiedzi o odpowiedzialności całego narodu polskiego za Holokaust – uspokoiło z kolei tych polityków i kongresmanów amerykańskich, którzy odrzucali ustawę z racji obaw o wolność słowa – czynnik niezwykle serio traktowany w amerykańskiej kulturze politycznej.

W tym sensie ugoda Morawiecki-Netanjahu otwiera drogę do rozmów Polski z USA na temat stałych baz wojsk amerykańskich w Polsce. Jeśli do tego dojdzie – dopiero wtedy będziemy mogli w pełni ocenić sens ustępstwa wobec Izraela. Na razie ugoda polsko-izraelska to krucha roślinka. I nielubiana przez potężnych wrogów.

PiS uczy się w przyspieszonym tempie tego, co w polityce jest taktyką, a co otwiera drogę do długoplanowej strategii i osiągania znacznie ważniejszych celów. Doświadczenie izraelskie było w tej mierze bolesne, ale bardzo pouczające.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b277a8c4d

Nadzwyczajnie grzeszna kasta

Wojciech Wybranowski

Kontrowersyjne wyroki w politycznych sprawach, zamiatane pod dywan afery, pobłażliwość wobec własnego środowiska, wreszcie niezbyt jasna przeszłość niektórych członków składu. Sąd Najwyższy miał być ostatnim transparentnym bastionem sprawiedliwości, jednak z jego aktywnością wiążą się liczne wątpliwości

FOT. KRZYSZTOF WOJCIEWSKI/FORUM

Pierwszy tydzień lipca, trwa demonstracja sympatyków opozycji przeciwko kolejnym zmianom w Sądzie Najwyższym i przeniesieniu w stan spoczynku dotychczasowej pierwszej prezes SN prof. Małgorzaty Gersdorf oraz pozostałych sędziów SN, którzy przekroczyli 65. rok życia i zgodnie ze znowelizowaną ustawą o Sądzie Najwyższym muszą opuścić zajmowane stanowiska. Wśród demonstrujących pod budynkiem SN jest m.in. sędzia Henryk Pietrzkowski, do wejścia w życie noweli pełniący funkcję przewodniczącego Wydziału III w Izbie Cywilnej SN. Pietrzkowski skończył już 67 lat i właśnie przestaje być czynnym sędzią. – Mamy do czynienia z niedopuszczalną sytuacją, łamana jest konstytucja – oburza się sędzia Pietrzkowski w rozmowie z dziennikarką TVN24.

Były (od wejścia w życie nowych przepisów) sędzia Sądu Najwyższego jest bohaterem jednej z najgłośniejszych w ostatnich latach afer, która zachwiała wizerunkiem SN i stała się kolejnym powodem, przez który spora część opinii publicznej zaczęła mówić o konieczności wprowadzenia zmian w tej instytucji. W 2014 r. telewizja Republika ujawniła nagranie zarejestrowane kilka lat wcześniej przez funkcjonariuszy CBA. Sprawa dotyczy głośnej afery korupcyjnej: gdy wrocławski biznesmen Józef M. przegrał proces o 17 mln zł, usłyszał od prawnika Ryszarda K. propozycję załatwienia sprawy dzięki kontaktom w Sądzie Najwyższym. Pomóc mu miał w tym jeden z sędziów Naczelnego Sądu Apelacyjnego.

W ujawnionym przez stację zapisie rozmowy sędzia Bogusław Moraczewski z NSA prosi właśnie sędziego Pietrzkowskiego z SN o konsultacje w sprawie skargi kasacyjnej dotyczącej tego przedsiębiorcy. Pietrzkowski doradza, jak kasacja powinna zostać przygotowana, by inny z sędziów SN – Jan Górowski – przyjął ją do rozpoznania. W ujawnionych materiałach jest też SMS sędziego Pietrzkowskiego: „Przedsąd [sprawdzanie przez SN skargi kasacyjnej pod względem formalnym zanim zostanie ona przyjęta do rozpatrzenia – przyp. red.] 19 bm. S. [sędzia – przyp. red.] Jan poprosiłem o życzliwość". Pomoc okazuje się być bezcenna: skarga kasacyjna zostaje przyjęta do rozpoznania. Odrzucono ją dopiero wtedy, gdy zaangażowane w sprawę osoby zorientowały się, że mogą być rozpracowywane przez CBA.

Prokuratorskie śledztwo w tej sprawie, dwukrotnie umarzane, zostało przez prokuraturę ponownie podjęte w sierpniu 2016 r. Jest to jednak tylko jedna z wielu spraw, które budzą wątpliwości i krytykę funkcjonowania Sądu Najwyższego.

IWULSKI BRONI KWAŚNIEWSKIEGO

Już w latach 90. duże zastrzeżenia opinii publicznej wywołał werdykt Sądu Najwyższego, który badając ważność wyborów Aleksandra Kwaśniewskiego na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, uznał, że fakt, iż wprowadził on opinię publiczną w błąd co do posiadanego wykształcenia, nie miał wpływu na wynik wyborów. Przypomnijmy: jeszcze w trakcie kampanii wyborczej Kwaśniewski przekonywał, że ma wykształcenie wyższe, taka informacja ukazała się też w obwieszczeniu PKW. Tymczasem były prezydent nie skończył studiów na Uniwersytecie Gdańskim, gdyż 5 października 1978 r. został skreślony z listy studentów z powodu niezaliczenia piątego roku handlu zagranicznego na Wydziale Ekonomii Transportu i może legitymować się wykształceniem średnim.

Po ujawnieniu tej informacji do sądów wpłynęły setki skarg od wyborców. Sędziowie Sądu Najwyższego pochylali się nad nimi w kilku przypadkach. W badaniu jednej z nich w roli sędziego sprawozdawcy uczestniczył (III SW 38/95 – 4 grudnia 1995 r.) – sędzia Józef Iwulski, pełniący obecnie obowiązki I prezesa Sądu Najwyższego.

Obok niego w składzie znaleźli się: Stefania Szymańska i Janusz Łętowski. „Do Rzeczy" dotarło do dokumentów z tego postępowania. Wynika z nich, że sędziowie SN dokonali prawdziwej ekwilibrystyki, by skargę oddalić. Czytamy w nich m.in.: „Zasadniczo pojęcie wykształcenia było odnoszone do posiadania odpowiednich kwalifikacji zawodowych, kompetencji [...]. Z tego punktu widzenia Aleksander Kwaśniewski byłby traktowany jak osoba wykształcona i preferowany przez wyborców, choćby podał prawdziwą informację, że ma wykształcenie niepełne wyższe".

Pięć dni później – 9 grudnia 1995 r. – Sąd Najwyższy stosunkiem głosów 12 do 5 podjął uchwałę o ważności wyboru Aleksandra Kwaśniewskiego na prezydenta. Wśród 12 sędziów, którzy uznali, że kłamstwo wyborcze Kwaśniewskiego nie miało wpływu na wynik głosowania, znalazł się sędzia Józef Iwulski.

AGENCI NIE TACY ŹLI

Nie mniej kontrowersji wzbudziła decyzja Sądu Najwyższego w sprawie lustracyjnej Józefa Oleksego. Zaczęła się od wniosku ówczesnego rzecznika interesu publicznego Bogusława Nizieńskiego, który po analizie dokumentów zgromadzonych w archiwach PRL-owskich służb uznał, że Oleksy skłamał w oświadczeniu lustracyjnym, zatajając fakt, iż w latach 1970–1978 był współpracownikiem Agenturalnego Wywiadu Operacyjnego. Sam Oleksy przekonywał wówczas, że z wywiadem nie współpracował, a został jedynie przeszkolony. Sądy w dwóch instancjach przychyliły się do wniosku prof. Nizieńskiego, uznając Oleksego za kłamcę lustracyjnego. Były premier złożył jednak kasację do Sądu Najwyższego, a ten 31 stycznia 2007 r. uznał, że co prawda Oleksy z AWO współpracował i zataił informację o tym, ale nie może ponieść odpowiedzialności prawnej. – Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy Józef Oleksy miał pełną świadomość co do faktu, że jego współpraca z AWO powinna być w oświadczeniu lustracyjnym ujawniona czy też nie – przekonywał wówczas sędzia SN Piotr Hofmański.

Decyzja SN pozwoliła Oleksemu na powrót do polityki. Utrzymanie wyroku uznającego go za kłamcę lustracyjnego oznaczałoby, że były premier przez 10 lat nie mógłby pełnić funkcji publicznych.

Ten sam sędzia Piotr Hofmański zasiadał w składzie SN, który uchylił decyzję sądu lustracyjnego uznającego Mariana Jurczyka, jednego z liderów podziemnej Solidarności i prezydenta Szczecina, za kłamcę lustracyjnego. Zdaniem SN fakt, że Jurczyk zataił w oświadczeniu lustracyjnym podpisanie zobowiązania do współpracy z SB nie ma znaczenia, bo przekazywane informacje nie miały dla bezpieki wartości. I tu też nie zabrakło ekwilibrystyki. Sąd uznał np. za nieistotne wypłacenie przez SB Jurczykowi pieniędzy: „Kwota 1000 zł nie była w istocie wynagrodzeniem za przekazane informacje czy zapłatą za jego lojalność, lecz miała na celu umotywowanie go do dokładniejszego wykonywania zadań w stosunku do Szymańskiego i Szerkusa (oficerów prowadzących); z perspektywy M. Jurczyka pobranie kwoty stanowiło zaś jedynie uzewnętrznienie pozoru współpracowania" – pisał sędzia Hofmański.

Podobnie życzliwy Sąd Najwyższy okazał się wobec Tomasza Turowskiego, wieloletniego pracownika komunistycznych służb specjalnych PRL funkcjonującego m.in. w Watykanie i Paryżu, a po 1989 r. oficera i współpracownika Agencji Wywiadu. W 2009 r. Turowski, pełniący wówczas funkcję dyplomaty, w oświadczeniu lustracyjnym zataił fakt współpracy z komunistycznymi służbami, więc IPN wniósł do sądu o uznanie go za kłamcę lustracyjnego, co ten uczynił rok później. W 2013 r. Sąd Najwyższy w składzie: Piotr Hofmański, Michał Laskowski oraz Bogdan Rychlicki uznał, że… Turowski miał prawo zataić swoje związki ze służbami, również komunistycznymi.

Co ciekawe, Sąd Najwyższy nie rozpatrzył np. kasacji Krzysztofa Wyszkowskiego, założyciela Wolnych Związków Zawodowych, od wyroku sądu, który nakazywał mu przeproszenie Lecha Wałęsy za nazwanie go współpracownikiem SB.

Sędzia Piotr Hofmański w 2014 r. został wybrany na stanowisko sędziego Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze. Sędzia Bogdan Rychlicki w kwietniu tego roku przeszedł w stan spoczynku. Sędzia Laskowski pełni funkcję rzecznika SN.

MNÓSTWO BULWERSUJĄCYCH SPRAW

Wyroków, orzeczeń, decyzji sędziów Sądu Najwyższego, które budzą wzburzenie i wątpliwości przynajmniej części opinii publicznej, nie brakuje. Takich jak np. decyzja SN w sprawie byłej posłanki PO Beaty Sawickiej i burmistrza Helu Mirosława Wądołowskiego, oskarżonych w głośnej aferze korupcyjnej. Sawicka została w 2007 r. zatrzymana przez CBA podczas „kontrolowanego przyjęcia łapówki". W 2012 r. sąd rejonowy uznał Sawicką za winną i skazał ją na trzy lata pozbawienia wolności. Była posłanka odwołała się od wyroku, a rok później Sąd Apelacyjny uniewinnił ją, kuriozalnie uznając, że działania CBA były nielegalne. Prokuratura złożyła wniosek kasacyjny, ale w 2014 r. Sąd Najwyższy podtrzymał wyrok uniewinniający posłankę. – Podczas „prowokacji policyjnej" postawa

eprasa.pl 5b277a8c4d

Sławomir Cenckiewicz ujawnił na Twitterze fragmenty teczki sędziego Józefa Iwulskiego dotyczące jego związku z WSW FOT. WBH

agentów musi być pasywna i nie może wywierać „istotnego wpływu na osobę prowokowaną" – uzasadniał sędzia SN Andrzej Stępka.

Nierzadko bywało też, że sędziowie SN uchylali lub zmniejszali wyroki w głośnych sprawach dotyczących innych sędziów. Na przykład w lutym tego roku SN zajął się sprawą sędziego Mirosława Topyły, byłego wiceprezesa Sądu Rejonowego w Żyrardowie, który przywłaszczył sobie 50 zł pozostawione przez starszą kobietę na ladzie stacji paliw. Sąd dyscyplinarny pierwszej instancji ukarał Topyłę usunięciem ze stanu sędziowskiego, uznając, że sędzia, który zawłaszcza cudze pieniądze, traci na zawsze moralne prawo osądzania cudzych uczynków. Sąd Najwyższy uchylił jednak wyrok w całości. Dlaczego? Sędziowie SN uznali, że sędzia był po prostu roztargniony.

Podobnie pobłażliwy był SN wobec sędziego Pawła M., który w 2016 r. w jednym ze sklepów ukradł fragment wiertarki. Sąd I instancji postanowił o wydaleniu go z zawodu, ale Sąd Najwyższy w marcu tego roku zmienił wyrok na karę dwuletniego obniżenia wynagrodzenia o 20 proc.

Chociaż opinia publiczna oczekuje od sędziów wyjątkowej uczciwości i rzetelności, to z orzeczeń Sądu Najwyższego wynika, że... niekoniecznie powinno się tego od sędziów wymagać. Badając sprawę sędziego Tomasza L. z Zielonej Góry, który przekroczył prędkość, a następnie kłamał, twierdząc, że to nie on prowadził pojazd, by ostatecznie zasłonić się immunitetem, Sąd Najwyższy uznał, że… we własnej sprawie sędzia może mijać się z prawdą. SN uchylił też wyrok sądu dyscyplinarnego, który ukarał Tomasza L. upomnieniem za mataczenie.

– Sąd Najwyższy uznał, że nie było to mataczenie i nie uchybiało godności urzędu, a mieściło się w minimalnych dopuszczalnych granicach realizacji prawa do obrony – przekonywał sędzia Michał Laskowski, rzecznik SN, w rozmowie z „Faktem".

PRL-OWSKIE RODOWODY

W ostatnich dniach głośno jest o PRL-owskiej przeszłości części Sądu Najwyższego i rozprawach, w których orzekali w stanie wojennym, wydając wyroki skazujące wobec opozycjonistów. Na celowniku mediów znalazł się m.in. pełniący obowiązki prezesa sądu Józef Iwulski. – W stanie wojennym w pierwszej instancji ws. politycznych orzekałem w jednej sprawie, w której orzeczono kary więzienia; złożyłem zdanie odrębne za uniewinnieniem wszystkich oskarżonych – przekonywał Iwulski.

Wiadomo, że sędzia Iwulski co najmniej nie mówi całej prawdy. Zataił przed opinią publiczną informację o swoich związkach z WSW – komunistyczną Wojskową Służbą Wewnętrzną. Materiały na ten temat ujawnił na Twitterze historyk Sławomir Cenckiewicz. W archiwach IPN rzeczywiście można znaleźć akta sprawy ze stanu wojennego, w której Wojskowy Sąd Garnizonowy w Krakowie pod przewodnictwem Iwulskiego uniewinnił Jacka B., oskarżonego o rozpowszechnianie pism i ulotek sygnowanych przez podziemną Solidarność. Jednak są też materiały dotyczące także innego krakowskiego procesu, w którym również składowi sędziowskiemu przewodniczył ppor. Józef Iwulski. W tym procesie oskarżono dwóch mężczyzn o działalność w nielegalnej wówczas Solidarności. Zapadły wyroki skazujące opozycjonistów na kary więzienia (wykonanie kary warunkowo zawieszono). O tym procesie Iwulski już dziennikarzom nie wspomina.

W czwartek Krajowa Rada Sądownictwa wydała negatywną opinię co do możliwości dalszego orzekania Józefa Iwulskiego w SN.

To niejedyny sędzia SN, którego przeszłość z czasów PRL budzi spore zastrzeżenia. Sędzia Adam Siuchniński uczestniczył w czterech procesach stanu wojennego dotyczących opozycjonistów, w każdym z nich zapadły wyroki skazujące. W styczniu w rozmowie z „Rzeczpospolitą" Siuchniński mówił, że „istotne jest nie to, że ktoś orzekał, ale jak orzekał w stanie wojennym", i tłumaczył się, że zasiadał „wyłącznie w składach kolegialnych".

Czy to wystarczy, by – jak robi to część publicystów i polityków – szermować oskarżeniami o komunistyczne rodowody sędziów SN? Z pewnością nie. W składzie SN jest wszak m.in. sędzia Stanisław Zabłocki, który w 1990 r. występował w roli obrońcy w procesie rehabilitacyjnym rtm. Witolda Pileckiego. Na pewno jednak jest sporo wątpliwości co do tego, czy Sąd Najwyższy, jak twierdził prof. Adam Strzembosz, rzeczywiście sam się oczyścił.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b277a8c4d

Z sędzią Wiesławem Johannem, członkiem Krajowej Rady Sądownictwa z nominacji prezydenta RP
rozmawia Łukasz Warzecha

Chciałbym ten system zobaczyć w działaniu

FOT. KACPER PEMPEL/REPORTER

eprasa.pl 5b277a8c4d

ŁUKASZ WARZECHA: Czy Sąd Najwyższy ma dzisiaj I prezesa?

WIESŁAW JOHANN: Nie, jest tylko osoba wskazana przez pana prezydenta, która kieruje Sądem Najwyższym.

Dlaczego pan prezydent, powierzając zastępstwo sędziemu Iwulskiemu, powołał się na art. 14 ustawy, który mówi o czasowym zastępowaniu I prezesa, a nie na art. 111, zawarty w przepisach przejściowych, mówiący o sytuacji po przejściu I prezesa w stan spoczynku?

Pan prezydent wspominał również o art. 111 ustęp 4. Procedura jest jasna i prosta. Pan prezydent uznał, że 4 lipca pani prof. Gersdorf przestała być I prezesem. Wyznaczyła na swoje miejsce sędziego Iwulskiego, który złożył jednozdaniowe oświadczenie, że pragnie pozostać w Sądzie Najwyższym do 2020 r. Pan prezydent przekazał to oświadczenie Krajowej Radzie Sądownictwa i jednocześnie powierzył panu sędziemu obowiązek kierowania SN.

Tyle że pan sędzia Iwulski do swojego oświadczenia nie dołączył badań lekarskich, których wymaga ustawa o SN.

Nie widzę tu problemu. Oświadczenie dotarło do KRS, rozpoczęła się odpowiednia procedura…

Czyli oświadczenie spełniało wymogi formalne?

Nie wszystkie. Oświadczenie zostało potraktowane jako wniosek, moim zdaniem słusznie, trafiło do KRS i z powodu braku zaświadczenia lekarskiego wezwaliśmy pana sędziego do uzupełnienia dokumentów. Podobna sytuacja miała miejsce jakiś czas temu w przypadku asesorów, gdzie również brakowało części dokumentów. KRS wezwała do uzupełnienia, asesorzy dokumentację uzupełnili i sprawa była załatwiona. Podobnie może być tutaj. Natomiast jaką decyzję ostatecznie rada podejmie w sprawie wniosku sędziego Iwulskiego – tego nie wiem.

A gdyby pan sędzia Iwulski nie uzupełnił dokumentów?

Wtedy sytuacja jest jasna: jego wniosek trafiłby do prezydenta z opinią, że nie spełnia warunków określonych w art. 37 ustawy o Sądzie Najwyższym.

Mam wrażenie, że prezydent był niekonsekwentny w jeszcze jednej kwestii. Najpierw linia była taka, że nie musi kierować do sędziów, którzy nie złożyli wymaganych ustawą oświadczeń, żadnych pism informujących, że przechodzą w stan spoczynku i przestają tym samym pełnić funkcje w SN, ponieważ dzieje się to z samej mocy prawa. Jednak po kilku dniach takie właśnie pisma pan prezydent do tych sędziów skierował. Co się w ciągu tych paru dni zmieniło?

Nic się nie zmieniło. To po prostu pewien gest ze strony pana prezydenta. Zwykła informacja, skierowana do tych sędziów. Jedno powinno być jasne: dopóki ustawy o SN nie zakwestionowałby Trybunał Konstytucyjny, dopóty jest to obowiązujące prawo i w razie niezłożenia przez sędziego SN odpowiedniego wniosku oraz zaakceptowania go przez prezydenta jest jasne, że wraz z ukończeniem przez sędziego 65 lat jego praca w Sądzie Najwyższym się kończy. Owszem, można uznać, że to surowe prawo. Sam zastanawiam się, czy granica 65 lat jest odpowiednia dla funkcji sędziego SN, ale przecież istnieje możliwość przedłużenia pracy tam o trzy lata.

Mówi pan bardzo stanowczo o tym, że ustawa obowiązuje, a jednak jest wielu prawników, którzy mają poważne wątpliwości co do możliwości zmiany ustawą wieku przejścia sędziów w stan spoczynku w czasie ich kadencji.

Jeśli ktoś ma wątpliwości, to powinien zapoznać się z orzeczeniem K 3/98 Trybunału Konstytucyjnego, podpisanym zresztą również przeze mnie, wydanym 20 lat temu. To orzeczenie nie zostało przyjęte jednogłośnie, sędziowie Marian Zdyb i Ferdynand Rymarz złożyli w tej sprawie zdania odrębne. W uzasadnieniu mowa jest o tym, że ustawodawca może ustanowić dodatkowe granice, po których osiągnięciu możliwe jest przesunięcie sędziego w stan spoczynku, nawet jeżeli nie wyraża on na to zgody. I dalej: „W świetle art. 180 ust. 4 konstytucji konieczne jest tylko, by także te granice oparte były o osiągnięcie określonego wieku przez sędziego, a w świetle ogólnych konstytucyjnych zasad ustroju sądownictwa konieczne jest, by regulacja taka była ustanowiona w sposób respektujący zasadę niezawisłości sędziowskiej i aby służyła ona realizacji konstytucyjnie legitymowanych celów".

Artykuł 183 konstytucji mówi wprost o sześcioletniej kadencji I prezesa SN. Artykuł 180 odsyła w kwestii wieku emerytalnego sędziów do ustawy. Dlaczego pana zdaniem artykuł 180 jest tu ważniejszy niż 183?

Każdy ma prawo do swojej interpretacji ustawy zasadniczej. W Trybunale Konstytucyjnym nie byliśmy przecież zawsze zgodni co do rozumienia przepisów konstytucji. Jednak w tym przypadku nie widzę powodu do kontrowersji. Artykuł 180 dał parlamentowi prawo do określenia wieku emerytalnego sędziów i parlament z tego skorzystał, uchwalając wiek przejścia w stan spoczynku na 65 lat. Przejście w stan spoczynku oznacza, że dana osoba żadnej funkcji nie może już sprawować. Najpierw jest się sędzią, potem sprawuje się funkcję. Kryterium podstawowe to bycie czynnym sędzią.

Zgoda, ale gdy pani prof. Gersdorf była powoływana na I prezesa, granicą przejścia w stan spoczynku było 70 lat. Przewidywano, że będzie mogła kierować SN przez całą kadencję.

Funkcjonujemy w określonym stanie prawnym. Stosujemy prawo, które jest dzisiaj. Nie można odrywać ustawy o SN od założeń reformy całego wymiaru sprawiedliwości. Ustawodawca – czyli po prostu partia rządząca, bo to ona buduje system według swojego pomysłu na państwo – zadecydował, że tak chce. Chciałbym ten system zobaczyć w działaniu. Nie jestem gorącym zwolennikiem tej zmiany, nie wołam: „Hurra!" – chciałbym się jednak temu przyjrzeć w praktyce.

Miał pan zastrzeżenia do części rozwiązań?

Miałem zastrzeżenia do ustawy o KRS, mówiłem o nich panu prezydentowi. Pojęcie kadencyjności – co być może pana zaskoczy – jest dla mnie święte. Po to konstytucja wyznacza kadencję, żeby ją przeprowadzić do końca. Kadencyjność jest wartością konstytucyjną. Jednak mimo to niektórym członkom KRS skrócono kadencje.

Czy w takim razie skrócenie kadencji I prezesa było naprawdę konieczne? Czy to był nieodzowny element zmian?

Z czysto formalnego punktu widzenia – tak. Jeśli wprowadzamy próg 65 lat, to musi to objąć wszystkich sędziów SN. Czy można to było zrobić inaczej? Tak wymyślili sobie twórcy reformy. Patrzę na to z pewnym dystansem, czekam na efekty.

Efekt może być taki, że będą trudności z uzupełnieniem składu SN.

Może być tak, a może być też tak, że zgłosi się bardzo dużo ludzi. Jestem zmartwiony tym, co się dzieje wokół Sądu Najwyższego. Nie do końca odpowiada mi także to, że minister sprawiedliwości jest jednocześnie prokuratorem generalnym. Prokuratura nie jest organem konstytucyjnym, a tu władza wykonawcza trochę depcze po piętach wymiarowi sprawie-

eprasa.pl 5b277a8c4d

dliwości. Z drugiej strony obserwuję, co robią niektórzy sędziowie podejmujący uchwały w sprawie obecnej sytuacji, tak jak w Warszawie lub Krakowie, i jest to wpisywanie się w grę polityczną, a ja bym przed tym sędziów przestrzegał. Działania korporacji sędziowskiej, poprzez stowarzyszenia Iustitia czy Temis, nie prowadzą do załagodzenia sytuacji.

Niedawno w rozmowie z Onetem mówił pan o prof. Gersdorf: „Ja traktuję panią profesor jako znakomitego prawnika i osobę o dużym temperamencie. Mogliśmy się czasami różnić poglądami, ale merytorycznie świetnie się z nią rozmawia i myślę, że jej pozostanie w Sądzie Najwyższym byłoby jak najbardziej wskazane". Nie zmienił pan tej opinii w ostatnich dniach?

Nie wycofuję tego. Uważam panią profesor za bardzo dobrego prawnika i przesympatyczną osobę. Rozmawialiśmy wielokrotnie, choć oczywiście mieliśmy różne poglądy, natomiast bardzo bym się cieszył, gdyby pani sędzia nadal zasiadała w Sądzie Najwyższym. Musiałaby jednak spełnić warunki zawarte w ustawie.

Każde pole do konfliktu w politycznej rozgrywce jest dziś dobre, czy to KRS, czy Sąd Najwyższy, czy Trybunał Konstytucyjny

Ktoś mógłby powiedzieć, że jako przedstawiciel prezydenta w KRS mówi pan to, czego się od pana w tej sytuacji oczekuje.

Jestem w tej komfortowej sytuacji, że nie mam nad sobą dyrektora czy prezesa. Zostałem wyznaczony do KRS przez pana prezydenta, ale kiedy pan prezydent zwrócił się do mnie z tą propozycją, powiedział bardzo wyraźnie, że mam pełną autonomię i mam reprezentować swoje poglądy. I tak robię.

To rzadkość nawet wśród prawników. Oni też poróżnili się według plemiennego podziału.

Powiem panu więcej: bardzo dobrze pracowało mi się z poprzednią KRS. Oczywiście różniliśmy się w ocenach poszczególnych problemów, ale to byli ludzie przygotowani do pełnienia swojej funkcji. Owszem, miałem zastrzeżenia do postawy pana sędziego Żurka, rzecznika rady, bo będąc rzecznikiem KRS, powinien prezentować jej stanowisko, a nie swoje. Nie podobało mi się także, że rada zaczęła funkcjonować w życiu politycznym. Jednak ta sama KRS, gdy zastanawialiśmy się nad regułami etyki zawodowej sędziów, uwzględniła mój wniosek o przypomnienie sędziom, że są apolityczni i w życiu politycznym nie powinni uczestniczyć. I to zostało zapisane.

Wśród zwolenników stanowiska pani prof. Gersdorf pojawia się argumentacja, że kierowanie ustawy o SN do TK byłoby bez sensu, ponieważ Trybunał Konstytucyjny jest w pełni dyspozycyjny wobec władzy. Czy pan nie ma podobnych wątpliwości, widząc panią sędzię Przyłębską wśród polityków PiS podczas wręczenia nagrody Człowieka Wolności?

Przyznanie tytułu Człowieka Wolności jest zabiegiem czysto publicystycznym. Tygodnik „Sieci" ma do tego prawo, takie rzeczy się robi. Ludźmi roku zostają aktorzy, sportowcy, politycy. Natomiast sytuacji w TK nie będę komentował z prostego powodu: jestem sędzią Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku i byłoby to nielojalne z mojej strony. Podzielę się natomiast osobistą refleksją: to chyba właśnie w Trybunale Konstytucyjnym najbardziej nauczyłem się prawa. Miałem to szczęście, że w czasie mojej kadencji zasiadało tam 12 profesorów: m.in. profesorowie Marek Safjan, Biruta Petrykowska, Zdzisław Czeszejko-Sochacki, Marian Zdyb, Lech Garlicki, Teresa Dębowska, Krzysztof Kolasiński i inni. Ja się od nich uczyłem. Wchodząc na salę narad, czułem się czasem jak student. Przygotowywałem się do każdego spotkania, bo wiedziałem, że moi koledzy będą z uwagą przysłuchiwać się, co mówi człowiek, który znalazł się w TK trochę z rekomendacji politycznej – Akcji Wyborczej „Solidarność". Jednak głosowali na mnie również posłowie z SLD, np. Ryszard Kalisz. Nigdy nie byłem członkiem żadnej partii i staram się zachować apolityczność, a co ciekawe – w TK przypomniał mi o tym pan prof. Czeszejko-Sochacki, który był przecież w PRL członkiem Komitetu Centralnego PZPR. Znakomicie mi się z nim pracowało.

Z punktu widzenia dzisiejszych konfliktów pańska opowieść brzmi jak baśń o żelaznym wilku.

Faktycznie, do TK przylgnęła dzisiaj opinia, że uczestniczy w grze politycznej, czego nie chcę komentować. Powiem tyle: każde pole do konfliktu w politycznej rozgrywce jest dziś dobre, czy to KRS, czy Sąd Najwyższy, czy Trybunał Konstytucyjny.

A dodajmy jeszcze – pole konfliktu i gry na poziomie UE.

Jakiś czas temu minister Czaputowicz zaprosił mnie na spotkanie z panem Timmermansem. Trwało to blisko trzy godziny, pan wiceprzewodniczący wypytywał o reformę wymiaru sprawiedliwości, a ja starałem się przedstawić mu ją wyłącznie z mojego punktu widzenia. Pan Timmermans słuchał z uwagą.

Pytanie: Czy w jakikolwiek sposób wpłynęło to na jego pogląd na sprawę? Bo np. Europejska Sieć Rad Sądownictwa oceniła niedawno, że niezależność sądownictwa jest zagrożona w dwóch krajach w Europie: Turcji i właśnie Polsce.

Tę ocenę zawarto w dokumencie zwanym deklaracją lizbońską. Krytyczne uwagi wobec Polski zamieszczono tam bez szerszego uzasadnienia. Gdy ok. dwóch tygodni temu w Polsce gościła delegacja tej organizacji, przypomniałem jej przewodniczącemu, że w Europejskiej Konwencji praw człowieka jest art. 6, który mówi, że każdemu oskarżonemu powinno się zapewnić uczciwy proces, a przede wszystkim prawo do złożenia wyjaśnień i obrony. Ja natomiast, w kontekście deklaracji lizbońskiej, czuję się jak oskarżony, który został skazany bez wyjaśnień i wysłuchania. Pan przewodniczący pokiwał głową. Efekt był taki, że tydzień później otrzymaliśmy kolejny list z Europejskiej Sieci Rad Sądownictwa, gdzie zarzuty pod adresem zmian w polskim wymiarze sprawiedliwości zostały powtórzone.

Nie obawia się pan, że gdy kiedyś zmieni się władza, to zostanie ponownie zmieniona ustawa i o Sądzie Najwyższym, i o Trybunale Konstytucyjnym, i na tej podstawie zostanie wymieniony cały skład tych ciał?

Nie można tego wykluczyć. Jeśli suweren wybiera danych ludzi, to oni mają pełny mandat do działania. Model zaproponowany przez kolejną ekipę może być całkiem inny niż obecny i wtedy będę musiał powiedzieć: macie do tego pełne prawo. Tyle że takie ustawy będą tworzyły kolejny chaos prawny. Nie ma nic gorszego niż brak stabilności prawa. Poza demokracją nikt nic lepszego nie wymyślił, ale demokracja prowadzi nas czasem na manowce.

Czy to jednak nie jest psucie państwa?

Mimo wszystko domniemywam dobrą wiarę. Jestem przekonany, że obecna ekipa działa w dobrej wierze i chce naprawiać państwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b277a8c4d

Odbijanie fortecy

Stanisław M. Stanuch

Jeszcze niedawno Prawo i Sprawiedliwość dominowało w mediach społecznościowych. Powoli jednak to się zmienia, a dominację tej partii na Twitterze ratują już nie jej posłowie, lecz zwolennicy

To, co użytkownicy Twittera widzą na swoich ekranach, jest zaledwie ułamkiem tego, co pojawia się w serwisie. Aby zbadać wszystko, napisałem program, który blisko dwa miesiące kolekcjonował z tzw. API Twittera (serwis dla programistów, który umożliwia im pobieranie danych), tweety o tematyce politycznej. Jako kryterium wybrałem te, w których wspomniano konta posłów na Sejm.

Tak sformułowane kryterium pozwoliło mi zebrać nie tylko tweety posłów, lecz także ich odpowiedzi na komentarze. Zebrałem też retweety (przesłania dalej) posłów oraz innych osób, które wspominały w swoich publikacjach ich konta. Jednym zdaniem: na moim komputerze powstała baza, która zawiera wszystkie wypowiedzi, jakie zawierają nazwę chociażby jednego konta któregoś z posłów. Zebrałem i przeanalizowałem prawie 1,5 mln tweetów opublikowanych od 5 maja. Jak wielkie jest zaangażowa-

eprasa.pl 5b277a8c4d

FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

nie w polityczny spór na Twitterze, niech świadczy fakt, że za tą liczbą politycznych publikacji stoi ponad 55 tys. kont, z których jedynie niecałe 10 tys. jest na tyle aktywnych, że można określić, jaką partię popierają.

Autorów politycznych tweetów podzieliłem na dwie grupy. Pierwsza to 307 posłów, których konta znalazłem na Twitterze. Stosując nomenklaturę militarną – to wojsko zawodowe. Drugą stanowią osoby, które popierają różne partie polityczne. Nazywam ich pospolitym ruszeniem.

Przyjrzyjmy się aktywności posłów. W badanym okresie opublikowali 19 782 tweety, retweety lub odpowiedzi na tweety innych osób, co stanowi ledwie 1,5 proc. wszystkich badanych publikacji. Najwięcej tweetów (bez retweetów i odpowiedzi) opublikowali posłowie PO – 3491, czyli 47 proc. wszystkich poselskich tweetów. Na drugim miejscu są przedstawiciele PiS – 2184 posty, a więc 29 proc., a na trzecim posłowie Nowoczesnej – 833 tweety, czyli 12 proc. Z pozostałych liczy się jeszcze tylko Kukiz'15 z wynikiem 488 tweetów, czyli 7 proc. Pozostali oscylują w granicach 1–2 proc. poselskiej aktywności.

„Wojsko" PO jest bardziej aktywne na Twitterze niż posłowie PiS. Biją również parlamentarzystów rządzącego ugrupowania w liczbie uzyskiwanych retweetów. Posty tych pierwszych podawano dalej ponad 90 tys., a drugich jedynie 68 tys. razy

Czy to oznacza, że posłowie Platformy cieszą się większym poparciem na Twitterze? Raczej nie. Po pierwsze, te „wyrazy poparcia" w postaci retweetów to w znacznej mierze efekt pracy sympatyków partii, a najczęściej partyjnych młodzieżówek. Konto lubelskiej PO (@PO_lubelskie) retweetowało ponad 1,4 tys. razy, blisko dwa razy więcej niż główne konto partii – @Platfroma_org. W przypadku retweetów posłów PiS takiej sytuacji nie ma. W pierwszej dziesiątce retweetujących nie ma kont partyjnych młodzieżówek.

REALNE POPARCIE

Jest kilka metod, którymi można estymować liczbę użytkowników popierających konkretną partię. Wybrałem taką, która bazuje na pewnej charakterystycznej obserwacji. Użytkowników zaangażowanych politycznie, którzy w większości publikują tweety „za" albo „przeciw" którejś opcji politycznej, charakteryzują dwie rzeczy: retweetują posłów partii, którą popierają, i nie retweetują bez własnego komentarza posłów partii, z którymi się nie zgadzają. Zbudowałem model, który opiera się na następujących założeniach: biorę pod uwagę tylko te konta, które retweetowały (przesłały dalej, bez komentarza) co najmniej dwa razy posła z konkretnej partii. Jeśli użytkownik retweetował posłów z różnych partii, to przypisuję mu partię, którą najczęściej przesyłał dalej. Jeśli jest remis – co jest stosunkowo rzadkie – to ślepy los wybiera tę partię, którą jako pierwszą użytkownik retweetował.

eprasa.pl 5b277a8c4d

Wyniki są dość zaskakujące. Z blisko 1,5 mln analizowanych tweetów, napisanych przez prawie 55 tys. unikalnych kont, zostało nieco ponad milion postów, którym przypisałem afiliację partyjną i które napisało niecałe 10 tys. kont. Świadczy to o bardzo dużej aktywności 20 proc. kont, które opublikowały mniej więcej dwie trzecie tweetów.

Największe „pospolite ruszenie" stanowią… symetryści – ok. 45 tys. kont – czyli tacy, którzy rzadko wspominali posłów, a jeśli już, to z różnych ugrupowań.

Drugim, jeśli chodzi o wielkość, pospolitym ruszeniem dysponuje PiS, które może liczyć na 4647 kont. Skromniejsze siły, czyli 3774 konta, popierają PO. Następne cztery grupy, czyli Nowoczesna, posłowie niezrzeszeni, Kukiz'15 oraz Wolni i Solidarni, są już o wiele mniejsze i mieszczą się między 230 kontami w przypadku WiS a 347 tweetujących dla Nowoczesnej. PSL i PSL-UED praktycznie się nie liczą, mając poparcie od 14 (PSL-UD) do 90 (PSL) kont na Twitterze.

Zagadką są symetryści. Trochę przypominają elektorat niezdecydowanych. Sprawdziłem, kogo najczęściej retweetowała ta grupa. Na pierwszym miejscu jest minister i kandydat prawicy na prezydenta Warszawy Patryk Jaki, którego „symetryści" retweetowali 807 razy. Tuż-tuż za nim jest Adam Andruszkiewicz, którego ta grupa retweetowała 788 razy. W pierwszej dziesiątce jest po trzech posłów PiS i PO, dwóch Kukiz'15, jeden poseł WiS i jeden niezrzeszony.

SIŁA RAŻENIA POSPOLITEGO RUSZENIA

Jak wygląda siła rażenia, czyli skuteczność pospolitego ruszenia poszczególnych partii? Aby to sprawdzić, trzeba wziąć pod uwagę przede wszystkim to, jak dużo tweetują (a więc propagują partyjne treści), jaką mają liczbę odbiorców oraz jak często są aktywni.

Wszystkich aktywności (tweety, retweety i odpowiedzi) pospolite ruszenie PiS ma najwięcej (520 tys.), wyprzedzając PO o 110 tys. publikacji. W liczbie napisanych przez pospolite ruszenie tweetów bardzo nieznacznie prowadzi jednak PO z nieco ponad 30 tys. publikacji, ale wyprzedza PiS dosłownie o włos – o 100 tweetów.

Jedną z zalet Twittera jest nieosiągalna w innych serwisach szybkość, z jaką rozchodzą się informacje. Odpowiada za

Posłowie, których tweety są najczęściej komentowane

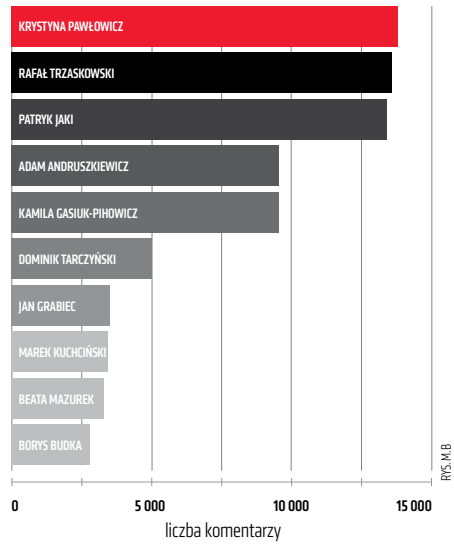

Posłowie najczęściej retweetowani przez symetrystów

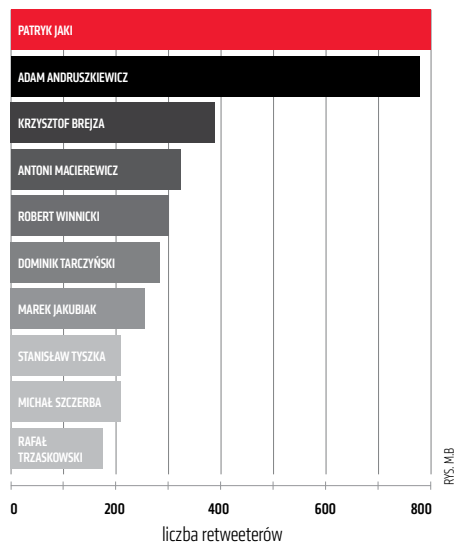

to m.in. retweet, czyli przesłanie dalej postu napisanego przez innego użytkownika, chociażby przez posła. Doskonale rozumieją to zwolennicy PiS. To oni częściej, bo 333 tys. razy, skorzystali z tej funkcji, podczas gdy zwolennicy PO 260 tys. razy.

To, jak szybko rozchodzą się informacje, zależy również od liczby followersów, czyli kont, które obserwują retweetującego użytkownika. Na podstawie m.in. tej informacji analitycy obliczają tzw. zasięg teoretyczny, a mówiąc po ludzku: ile osób miało szansę – teoretycznie, bo tego na pewno nie wiemy – zobaczyć konkretny tweet. Przykładowo, jeśli Janina Kowalska, którą obserwuje 10 osób, napisała tweeta i retweetowali go Krystyna Nowakowa, której konto obserwuje 100 osób, oraz Jan Iksiński, którego obserwuje 200 osób, to tego tweeta ma szansę zobaczyć 310 kont. W rzeczywistości w zasadzie nigdy tak nie jest. Najczęściej rzeczywisty zasięg jest dużo mniejszy.

Jaki jest teoretyczny zasięg wszystkich tweetów partii? Do ilu – teoretycznie – osób docierają partyjne przekazy na Twitterze? Aby to stwierdzić, pobrałem z Twittera informacje o liczbie obserwujących każdego posła i zdefiniowanego sympatyka partii, a następnie zsumowałem te liczby. Jeszcze raz: to wartość teoretyczna.

Prowadzi PiS, który – teoretycznie – dociera z przekazem do blisko 22 mln kont na Twitterze, z czego ok. 15,3 mln stanowi teoretyczny zasięg posłów, a prawie 6,4 mln użytkowników popierających. PO ma zasięg teoretyczny ponad 16 mln, z czego 10 mln to zasięg posłów, a 6 mln – zwolenników.

Podczas kampanii prezydenckiej w Stanach Zjednoczonych amerykańscy dziennikarze i analitycy śledzący kampanię Donalda Trumpa na Twitterze wskazywali, że duża liczba odpowiedzi na tweety polityka jest wyrazem tego, że odbiorcy nie zgadzają się z jego treścią. Na polskim politycznym Twitterze można zauważyć podobną prawidłowość, to znaczy najwięcej odpowiedzi mają kontrowersyjne tweety. Pierwsze miejsce bezapelacyjnie zdobyła Krystyna Pawłowicz, której posty skomentowano 14 tys. razy. Tuż za Pawłowicz, prawie ex aequo, są dwaj kandydaci na prezydenta Warszawy: Rafał Trzaskowski i Patryk Jaki, na których tweety internauci odpowiadali po kilkaset razy mniej niż na Pawłowicz.

Prawo i Sprawiedliwość powoli traci przewagę, jaką miało na Twitterze w trakcie wyborów w 2015 r. i tuż po nich. Trochę na własne życzenie. Część posłów specjalnie się nie wysila w przeciwieństwie do ich przeciwników z Platformy Obywatelskiej, którzy stali się bardzo aktywni. Pozycję PiS ratuje jeszcze pospolite ruszenie, które realnie przyczyniło się do sukcesu kampanii w 2015 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b277a8c4d

PGNiG Walczymy o konkurencyjne ceny gazu dla Polski

Korzystne dla PGNiG orzeczenie Trybunału Arbitrażowego w sporze z Gazpromem

Kontrakt jamalski został zawarty w 1996 roku i obowiązuje do 2022 roku. Zawiera zasadę „take or pay", według której PGNiG musi kupować od Gazpromu określoną minimalną ilość gazu ziemnego rocznie niezależnie od potrzeb.

Możliwość rozstrzygania sporów poprzez arbitraż jest zapisana w kontrakcie z Gazpromem.

Spory handlowe między przedsiębiorstwami rozstrzyga niezależny **Trybunał Arbitrażowy** w Sztokholmie.

Kontrakt dopuszcza renegocjację cen. W 2015 roku PGNiG i Gazprom nie doszły do porozumienia.

W 2016 roku PGNiG skierowało pozew przeciwko Gazpromowi do Trybunału Arbitrażowego w Sztokholmie.

PGNiG zabiega przed Trybunałem o rynkowe zasady ustalania ceny dostaw gazu do Polski, np. powiązanie jej z cenami surowca na giełdach w Europie Zachodniej.

Trybunał przyjął kluczowe argumenty PGNiG i potwierdził prawo polskiej spółki do zmiany warunków cenowych kontraktu.

Terminal LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu

Dostęp do światowego rynku
Dynamiczny rozwój rynku skroplonego gazu ziemnego (LNG) pozwala nawiązać współpracę z nowymi dostawcami i importować surowiec z nowych kierunków. Do tej pory PGNiG sprowadziło LNG z Kataru, Norwegii i USA. W czerwcu 2018 roku spółka uzgodniła podstawowe warunki dostaw 4 mln ton LNG rocznie (5,5 mld m^3 po regazyfikacji) z terminali, które do końca 2023 roku powstaną nad Zatoką Meksykańską w USA.

Ryzyko dla stabilności dostaw
W ciągu ostatnich lat Gazprom kilkukrotnie ograniczał dostawy gazu do Polski, w tym aż na pół roku w latach 2014-2015, bez podania satysfakcjonujących wyjaśnień.

2,2 mld m^3 Import **z zachodu**

9,7 mld m^3 Import **ze wschodu**

0,1 mld m^3 Import **z południa**

Źródło danych: PGNiG SA za 2017 rok, w przeliczeniu na gaz wysokometanowy o cieple spalania 39,5 MJ/m^3.

2,5 mld m^3

Wydobycie w Norwegii

Tyle gazu rocznie planuje wydobywać PGNiG ze złóż na Norweskim Szelfie Kontynentalnym. To ponad połowa tego, co wydobywa się obecnie w Polsce. W 2022 roku gaz ten popłynie gazociągiem Baltic Pipe, który połączy Norwegię, Danię oraz Polskę. Obszar aktywności PGNiG w Norwegii obejmuje morza Północne, Norweskie i Barentsa.

Dywersyfikacja

Różnicowanie oferowanych usług i produktów, bądź źródeł zaopatrzenia, w celu zmniejszenia ryzyka w prowadzeniu działalności gospodarczej.

Tak zmienia się import gazu do Polski

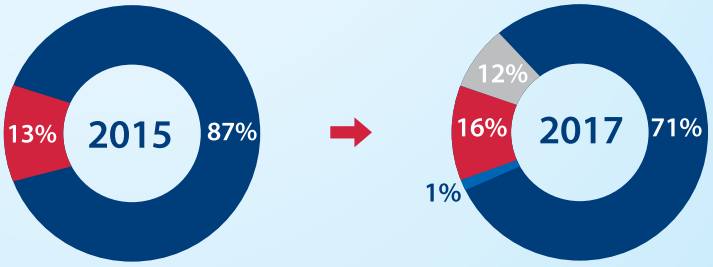

2,7 mld m^3 (po regazyfikacji) – roczny import LNG z Kataru od 2018 roku

- Kierunek wschodni
- Kierunek zachodni
- LNG (Katar, Norwegia, USA)
- Kierunek południowy

eprasa.pl 5b277a8c4d

FOT. LARS BARON - FIFA

Lewy na aucie

Agnieszka Niewińska

Jeszcze niedawno był stawiany w jednym rzędzie z Messim i Ronaldo, a dziś nawet wieszczy się koniec jego sportowej kariery. W ocenie Lewandowskiego przeszliśmy od euforii do histerii. Czy rzeczywiście sobie na to zasłużył?

Mata do ćwiczeń, gimnastyczna piłka, sporych rozmiarów hantel i Robert Lewandowski z ręcznikiem na karku. „Time to get back to hard work!" („Czas wracać do ciężkiej pracy!) – tak swoje zdjęcie na profilu na Instagramie opisał napastnik Bayernu Monachium, który jeszcze niedawno odpoczywał z rodziną na jednej z rajskich plaż.

Ciężka praca będzie mu teraz szczególnie potrzebna. Krytykowany – zarówno w Polsce, jak i w Niemczech – za słaby występ na mundialu w Rosji tylko deszczem bramek w ligowych rozgrywkach uciszy spekulacje o słabej formie, a nawet schyłku kariery i przedkładaniu kontraktów reklamowych ponad grę na boisku.

– Bez wątpienia Robert Lewandowski jest w tej chwili na zakręcie – zarówno sportowym, jak i wizerunkowym – ocenia Jarosław Stróżyk z portalu Polsatsport.pl. – Reprezentacja zawaliła mundial. Nie ma dla nich słów usprawiedliwienia, nie można mówić, że nic się nie stało. Zagrali fatalnie, rozczarowali. Lewandowski także zawiódł – po tej klasy napastniku, kapitanie, mieliśmy prawo spodziewać się więcej. Jestem jednak zdania, że w jego ocenie popadamy ze skrajności w skrajność – od euforii do histerii. Jeszcze niedawno media w Polsce i kibice obwoływali go niemal najlepszym piłkarzem na świecie, stawiali go w jednym rzędzie z Messim czy Ronaldo, co było oczywistą przesadą. Dzisiaj jest odsądzany od czci i wiary. Czytając komentarze, można odnieść wrażenie, że Lewandowski nie potrafi grać w piłkę, a przecież jeszcze dwa miesiące temu odbierał nagrodę najlepszego strzelca Bundesligi, deklasując konkurencję – przypomina Stróżyk.

ZAROZUMIALSTWO CZY ZAZDROŚĆ?

Chociaż dla Polski mundial to już od tygodni zamknięty rozdział, to w mediach Lewandowski wciąż obrywa mocniej niż były już selekcjoner Adam Nawałka. Głos na łamach „Gazety Wyborczej" zabrał nawet Kazimierz Kutz. „Gra nad pomnażaniem i lokowaniem kapitału zaczęła Lewandowskiego bardziej zajmować niż piłkarstwo. Jego aspiracje w biznesie stały się ważniejsze niż latanie za nadmuchaną skórą" – ocenił reżyser, dodając, że pozostali kadrowicze patrzą na niego z zazdrością. „Rósł utajony bunt przeciwko możnowładztwu Lewandowskiego, który mógł być podświadomy albo świadomy i polegał na nieobsługiwaniu Lewego".

Nie brakuje też kolejnych doniesień z zaplecza reprezentacji: o Lewandowskim, który gra na siebie, wywyższa się. „Ludzie z otoczenia RL9 od jakiegoś czasu dawali do zrozumienia, że napastnik Bayernu nie stawiał siebie i kolegów z kadry na tym samym, czyli równym, poziomie. Od dawna czuł się lepszy – co jest zrozu-

eprasa.pl 5b277a8c4d

miałe pod względem sportowym, a w prywatnych rozmowach potrafił podobno dać do zrozumienia, że posiada również wyższy status materialny" – napisał Adam Godlewski ze śląskiego „Sportu". A były napastnik reprezentacji Polski Andrzej Iwan także na łamach „Sportu" mówił: – Trupów z szafy zapewne wkrótce wypadnie więcej, ale słyszałem, że podobno padły już słowa: skoro jesteś taki dobry, to pokaż to na boisku. A za chwilę, jeśli nic się nie zmieni w podejściu Roberta, może jeszcze usłyszeć: to graj sobie sam. Dodał, że Lewandowski powinien zrezygnować z funkcji kapitana.

ŹLE WIDZIANY POCAŁUNEK

Płynące do mediów zjadliwe komentarze ze strony kadrowiczów zdają się jednak potwierdzać to, co jeszcze w dniu meczu z Japonią mówił redaktor naczelny „Przeglądu Sportowego" Przemysław Rudzki. – Dużym problemem w tej szatni – i ja to wiem na 100 proc. – jest to, że wielu piłkarzy ma kompleks Roberta Lewandowskiego. Niestety zazdroszczą mu tego, w jakim miejscu jest, wypracowania sobie statusu megagwiazdy światowej piłki, że jest gościem z takimi, a nie innymi osiągnięciami – stwierdził Rudzki w audycji Onetu.

Lewandowski zresztą daje zazdrości pożywkę. Jego słowa z konferencji prasowej mogły być źle odebrane przez kadrowiczów. – Okazji to strzelenia gola miałem niewiele. Czuję się odpowiedzialny za porażki, ale nie pod względem osobistym. Piłka nożna to sport zespołowy. Nic więcej nie mogłem zrobić.

Krytyka dosięgła nawet Anny Lewandowskiej, po tym jak po porażce z Senegalem reprezentant Polski zamiast wrócić z piłkarzami do szatni, złożyć samokrytykę i udzielić reprymendy poszedł w stronę trybun szukać pocieszenia w objęciach żony, co nie umknęło światowym mediom. „Newsweek", który w okładkowym artykule donosił o tym, że Lewandowscy tracą sympatyków, powoływał się na słowa dziennikarza relacjonującego mecze kadry: „Zawodnicy kręcą nosem, że tam, gdzie Lewandowski, tam Lewandowska. On ją wszędzie wciska. Są już nawet takie żarty: »Czy to kadra Polski, czy firma Lewandowscy«". Komentatorzy sportowi w nieoficjalnych rozmowach zastanawiają się nawet, czy to aby nie małżonka napastnika negatywnie wpłynęła na jego formę. Chociaż jeszcze niedawno komplementowano ją za dbanie o zdrową dietę męża i motywowanie do treningów. A przy okazji publikacji o zakrapianych imprezach reprezentantów zwracano uwagę, że Robert Lewandowski nie jest bohaterem tego typu skandali – m.in. dzięki żonie.

– Mnie nie raziło to, że Robert Lewandowski po przegranym meczu podszedł do żony. Partnerki piłkarzy często są zresztą obecne na trybunach. To nie jest nic nienormalnego. Sądzę jednak, że Lewandowscy nie przewidzieli, jak ten gest odbiorą załamani porażką kibice – ocenia Stróżyk.

– Emocje, łzy i czułości reprezentanci grający z orzełkiem na piersi powinni zachować dla siebie. Kibice powinni widzieć raczej ich wolę walki, zacięcie, wytrwałość. Zachowanie Lewandowskich po meczu wypadło źle. Podobnie jak lawina zdjęć z wakacji, która zalała media społecznościowe tuż po przegranym turnieju – ocenia z kolei Szymon Sikorski, specjalista w dziedzinie PR, dyrektor agencji Publicon. Dodaje, że wbrew obiegowym opiniom polscy kibice wracających na tarczy piłkarzy traktują łagodnie. – W Anglii tak przegrywających zawodników nazywa się nieudacznikami, bezlitośnie się z nich kpi, publikuje obraźliwe memy. Lepiej żeby po takiej grze nie pokazywali się kibicom na oczy.

Niemieckie media brutalnie atakowały Lewandowskiego za jego dążenia do zmiany Bayernu na inny klub

Za pocałunek na trybunach Lewandowscy byli grillowani nie tylko w mediach nad Wisłą, lecz także nad Sprewą. Zresztą za naszą zachodnią granicą Lewandowski od ubiegłego roku jest pod medialnym pręgierzem. – Niemieckie media z „Bildem" na czele od dłuższego czasu brutalnie go atakowały, a ma to związek z jego dążeniem do zamiany Bayernu na klub ligi hiszpańskiej bądź angielskiej. Medialne wypowiedzi Lewandowskiego o drużynie sprawiły, że skłócił się z władzami monachijskiego klubu, naraził kibicom. Nieudany mundial w jego wykonaniu dał pożywkę nowym publikacjom. Przekręcano jego nazwisko, obśmiewano to, że polska drużyna nie wyszła z grupy, choć za chwilę to samo spotkało obrońców mistrzowskiego tytułu, czyli reprezentację Niemiec, która jest oparta na graczach Bayernu – przypomina Stróżyk.

Magazyn sportowy „Kicker" pisał, że „Lewandowski przyzwyczaił nas do tego, że na turniejach międzynarodowych jest tak groźny jak bezzębny wilk w rosyjskim zoo". „Po tych mistrzostwach świata Lewandowski powinien cieszyć się, że ma ważny kontrakt z Bayernem do 2021 r." – drwił z kolei „Bild".

„Der Spiegel" przypominał ostatnie nieudane występy Lewandowskiego: „1 maja – odpadnięcie w półfinale Ligi Mistrzów. 19 maja – porażka w finale Pucharu Niemiec. I 24 czerwca – zaskakująca porażka Polski po dwóch meczach mistrzostw, i to bez jego gola. Nie ma też pewności, gdzie będzie grał w nowym sezonie".

W dodatku niemieccy dziennikarze ujawnili, że nad głową Lewandowskiego zbierają się czarne chmury, bo Bayern chce zaangażować drugiego zawodnika na jego pozycję. – Teraz kiedy wszystko wskazuje na to, że Lewandowski dalej będzie grał dla Bayernu, ton niemieckiej prasy zapewne będzie już wobec niego łagodniejszy. Nie zapominajmy, że to on trzykrotnie był królem strzelców Bundesligi i jest najlepiej zarabiającym piłkarzem, a jeszcze niedawno było nie do pomyślenia, żeby Polak był w Niemczech najlepiej opłacanym zawodnikiem. To też jest miara jego sukcesu – mówi Stróżyk. I dodaje: – Lewandowski dał nam wiele razy dużo radości – w końcu jest rekordzistą, jeśli chodzi o liczbę bramek zdobytych dla reprezentacji Polski. Ten mundial pokazał, że nie wygrywają go indywidualności. Ani Messi, ani Ronaldo, ani Neymar nie poprowadzili swoich reprezentacji do sukcesu w Rosji. Liczyła się drużyna. Adam Nawałka miał ją na Euro 2016 i w eliminacjach do mundialu. W Rosji jej jednak zabrakło.

GRA VA BANQUE

Szymon Sikorski uważa, że Lewandowski mimo dotychczasowej sympatii kibiców i 13 mln fanów na Instagramie zakończył mundial z poważną rysą na wizerunku. – W tym sezonie zagrał va banque. Był bardzo arogancki, demonstrował swoją siłę. Zmienił menedżera, a zarząd Bayernu próbował rozstawiać po kątach. Przelicytował. Nie grał ostatnio najlepiej, a mistrzostwa świata były sprawdzianem, na którym Lewandowskiemu nie poszło – mówi specjalista w dziedzinie PR. – I tak jest ikoną, ale o sympatię kibiców zarówno on, jak i Anna będą się musieli postarać na nowo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b277a8c4d

FOT. PAWEŁ F. MATYSIAK/POLSKA PRESS/EAST NEWS

Zamek po znajomości?

Marcin Makowski

Stobnica – godzina drogi od Poznania. Niewielka wieś w sercu Puszczy Noteckiej. Dookoła lasy, jeziora i... wyrastający na sztucznej wyspie ogromny zamek. Wszystko na chronionym obszarze Natura 2000. Bez sprzeciwu ekologów

Docelowo ok. 1,6 tys. mieszkańców, w tym 200 osób obsługi. Dwa i pół hektara powierzchni, mosty zwodzone, mury obronne na wysokość 50 metrów i baszty sięgające 20. piętra. Tak ma wyglądać zamek, który od 2015 r. powstaje w liczącej 129 mieszkańców wielkopolskiej Stobnicy. Gdyby nie miejscy aktywiści, którzy wypatrzyli na początku lipca zaskakującą budowlę, nadal rosłaby niemal w całkowitym sekrecie, otoczona drutem kolczastym, do wglądu dostępna jedynie z lotu ptaka. Oficjalnie wszystko zgodnie z prawem. Wnioski i opinie naukowców z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu złożono do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska, która nie dopatrzyła się uchybień i wydała zgodę na budowę sięgającej maksymalnie 70 m wzwyż inwestycji.

Jej realizatorem i wykonawcą jest spółka D.J.T., znajdująca się w rękach rodziny Nowaków, której głowa – Michał Paweł Nowak – to twórca i były właściciel popularnej marki odzieżowej Solar. Jak poinformował jego syn Dymitr w oświadczeniu prasowym, wystosowanym po ogólnopolskim zainteresowaniu obiektem: „Budowa budynku mieszkalnego wielorodzinnego, budynku gospodarczego wraz z infrastrukturą techniczną" to „normalna inwestycja deweloperska, tyle że o specyficznej architekturze", ponieważ „w swym charakterze nawiązuje do średniowiecznych zamków otoczonych fosą".

EKOLODZY SĄ ZAJĘCI

I tutaj rodzi się pytanie: Jak to możliwe, że „normalna inwestycja", ingerująca przecież w obszar rezerwatu Natura 2000 i zakładająca usypanie sztucznej wyspy oraz zawężenie obszaru jeziora,

nie wzbudziła zainteresowania ekologów, w tym samym czasie przykuwających się do harwesterów pracujących w Puszczy Białowieskiej?

Jak ustalił portal Wirtualna Polska, obronę przyrody faktycznie traktowano selektywnie. „Pomimo iż użytkowanie terenu przeznaczonego pod inwestycję, potencjalnie wiąże się z ryzykiem niepokojenia i płoszenia ptaków poprzez nadmierną jego penetrację, nie można wykazać negatywnego wpływu na żywotność ich populacji w rozpatrywanym obszarze Natura 2000" – stwierdził bowiem dyrektor Instytutu Zoologii Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, prof. Piotr Tryjanowski. Wcześniej aktywnie udzielał się w mediach, krytykując m.in. wycinkę w nadleśnictwie białowieskim oraz podpisując się pod listem do premiera Mateusza Morawieckiego, w którym apelował o zaprzestanie „destrukcyjnych dla przyrody działań Ministerstwa Środowiska pod rządami prof. Jana Szyszki". W częściowym osuszaniu jeziora i stawianiu na nim monstrualnej budowli, do której trzeba będzie doprowadzić niezbędną infrastrukturę i media, większego problemu jednak nie dostrzegł. „Akurat znam tego Pana, co to w Stobnicy buduje, i gdyby był taki poziom poszanowania przyrody w Polsce, to byłoby więcej niż wspaniale. Przyrodnicy dają tylko opinie na podstawie wskazanych w zakresie raportu punktów, to RDOŚ wydaje decyzje" – dodał na Twitterze, komentując sprawę.

Na jego nazwisku jednak się nie kończy, ponieważ w pozytywnym zaopiniowaniu inwestycji na obszarze chronionym udział wzięli również doktorzy Jacek Więckowski oraz Aleksandra Kraśkiewicz, pełniący równocześnie funkcje w radzie fundacji Fauna Polska, mieszczącej się w Stobnicy. Zapewne zupełnie przypadkowo w radzie nadzorczej tego ciała zasiada także wspomniany już Michał Paweł Nowak, ojciec głównego inwestora. Jak pisze WP: „Fundacja Fauna Polski nie ma nawet strony internetowej. Próżno szukać informacji o podejmowanych przez nią działaniach na rzecz zwierząt".

Żeby było jeszcze ciekawiej, jej skarbnik to niejaki Rafał Kurek, członek zarządu Pracowni na rzecz Wszystkich Istot, która aktywnie włączała się w akcje protestacyjne i blokady na terenie Puszczy Białowieskiej, zaskarżając niedawno do Komisji Europejskiej budowę Drogi Narewkowskiej na terenie nadleśnictwa Białowieża. Potrzebna mieszkającym tam ludziom trasa miała zakłócać życie miejscowych zwierząt, ale jeśli chodzi o budowę drugiego Malborka pod Poznaniem, to problemu nie było. Ekolodzy byli zajęci czym innym.

JAK KUPIĆ KAWAŁEK REZERWATU?

W podobny i niejasny sposób doszło również do zakupu samej działki, w której pomogły inne raporty tej samej grupy przyrodników. Otóż na przestrzeni lat 2006–2011 przyjęto modyfikacje w planie zagospodarowania przestrzennego w gminie Oborniki, na której terenie znajduje się zamek. Stało się tak na wniosek spółki D.J.T., która otrzymała zgodę na zabudowę gruntu aż w 80 proc. (kategoria 1UT/MW). Wcześniej, za sprawą wyroku Sądu Najwyższego, w 1997 r. nadleśnictwo musiało przekazać grunty leśne w ręce poprzednich właścicieli – rodu Śmigielskich – którzy weszli w posiadanie 70 ha, odsprzedanych następnie innym prywatnym podmiotom i spółkom, z których jedna należała właśnie do Nowaków. Gdy ci mieli już w ręce działkę i pozytywne opinie ekologiczne oraz plany zagospodarowania, w 2014 r. Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Poznaniu wyłączyła z produkcji leśnej wskazany obszar. Oficjalnie nie miała podstaw prawnych, aby odmówić – wszystkie dokumenty leżały z podpisami na stole. Rok później, po symbolicznych regionalnych konsultacjach z mieszkańcami, na miejsce ruszyły koparki i dźwigi. W zgiełku i hałasie rozpoczęto budowę liczącego 47 mieszkań kompleksu zamkowego.

Wraz z uzyskaniem „drugiego życia" w mediach kontrowersyjna inwestycja w Stobnicy zwróciła jednak uwagę służb. We wtorek 10 kwietnia Centralne Biuro Antykorupcyjne wkroczyło do siedziby Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Poznaniu, rozpoczęto w niej również kontrolę na wniosek ministra środowiska Henryka Kowalczyka. – Ochrona polskiej przyrody jest kwestią nadrzędną i dlatego wszelkie postępowania w takich sprawach powinny być prowadzone w sposób przejrzysty i niepozostawiający pola do żadnych wątpliwości – stwierdził minister w resortowym komunikacie rozesłanym do mediów, równocześnie zlecając generalnemu dyrektorowi ochrony środowiska natychmiastową kontrolę w podlegającym mu ośrodku poznańskim. Chociaż przez trzy lata zamek nie budził żadnych kontrowersji, kontrolę Powiatowego Inspektora Nadzoru Budowlanego w Stobnicy zapowiedział również burmistrz Obornik, Tomasz Szrama, po spotkaniu z wicestarostą obornickim.

Jak ustaliło RMF FM, obrys obecnego kształtu inwestycji rozmija się z pierwotnymi planami. „Część inwestycji zlokalizowana jest zupełnie gdzie indziej, niż powinna – plac budowy sięga wschodniego brzegu jeziora, zamek miał zaś dotykać tylko północnej części" – twierdzą dziennikarze radia. Można powiedzieć, że historia ceglanego monstrum w sercu chronionej przyrodniczo puszczy to pewnego rodzaju metafora niewydolności państwa oraz hipokryzji części środowisk ekologicznych, które bardziej niż dobrem natury kierują się politycznymi i finansowymi układami.

Część ekologów krytykujących m.in. wycinkę w nadleśnictwie białowieskim nie dostrzega większego problemu w częściowym osuszaniu jeziora i stawianiu na nim monstrualnej budowli

Ot, ktoś kupił teren, ktoś zaopiniował zmianę jego przeznaczenia, Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska w Poznaniu zakończyła swój udział w inwestycji na etapie wydania raportu, wojewódzki inspektor ochrony środowiska natomiast nie zarządza kontroli z urzędu. Nadzór budowlany z kolei ma za dużo pracy w regionie, aby jeździć po jakichś lasach na prowincji.

I takim sposobem opinia publiczna po trzech latach od wyborowania pierwszego muru zupełnym przypadkiem dowiedziała się o wyrastającej w sercu rezerwatu twierdzy, wcześniej przez miesiące oglądając dramatyczne apele o zostawienie w spokoju drzew Białowieży. Drzewa drzewom nierówne?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b277a8c4d

Piotr Semka z Paryża

Rewolucjonista, który nie lubił rewolucji

„W malarstwie powstaje niejako tajemniczy pomost między duszą widza i duszami osób wyobrażonych na płótnie" – te słowa Delacroix mogłyby być najlepszym mottem wielkiej wystawy w Luwrze w 155. rocznicę jego śmierci

Symbol „Marianny" z najsłynniejszego obrazu Delacroix „Wolność wiodąca lud na barykady" pojawiał się na francuskich banknotach i znaczkach pocztowych FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Republika francuska ma powody do hołubienia autora obrazu: „Wolność wiodąca lud na barykady". To jego wyobrażenie rewolucji jako walczącej, odważnej i pięknej kobiety ugruntowało popularność symbolu Marianny, który dziś można spotkać w każdym merostwie. W Polsce Eugène'a Delacroix ceniono jako romantyka i przyjaciela Chopina, w Europie jako miłośnika wschodniej egzotyki i obrońcy uciśnionej Grecji.

Jednak wystawa w najbardziej prestiżowym paryskim muzeum złożona z 180 dzieł, głównie z obrazów, jest podwójnie cenna, bo pokazuje także mniej znane oblicze geniusza pędzla. Był autorem wielu wybitnych dzieł religijnych i fresków w kościołach katolickich. A mimo utożsamiania go z rolą piewcy rewolucji przez większość życia obawiał się egalitaryzmu i odrzucał wiarę w to, że lud sam będzie rządził sobą lepiej niż elita.

Ostatni raz Luwr uczcił tego mistrza w 1963 r. w stulecie jego śmierci. „Znowu Delacroix?" – piszą autorzy wystawy. „Unieśmiertelniony przez Baudelaire'a jako główne światło romantyzmu, szanowany przez Cézanne'a i Picassa – czy Delacroix naprawdę potrzebuje nowej wystawy w Paryżu, gdzie i tak honorowany jest jak nigdzie indziej? Odpowiedź brzmi: tak. Czas na nowo zinterpretować jego artystyczną karierę, która nie da się łatwo zrozumieć".

Po ponad pół wieku od ostatniej wystawy ściągnięto obrazy malarza z nowojorskiego Metropolitan Museum of Art, a także wystawiono po raz pierwszy wiele nowo odkrytych szkiców i grafik malarza. Takie skondensowanie kolorów i kipiących od emocji tematów potrafi zawrócić w głowie.

OD ROZBITKA DO TRENDSETTERA

Gdy w 1815 r. runęło cesarstwo Napoleona i do władzy wrócili Burbonowie, urodzony w 1798 r. Delacroix miał 17 lat.

Jego ojciec, Charles-François Delacroix – były szef dyplomacji francuskiej za czasów dyrektoriatu i wysoki urzędnik administracji napoleońskiej – dawno już nie żył. Jeden z braci zginął za cesarza w bitwie pod Frydlandem, a drugi jako były generał napoleoński i baron cesarstwa trafił po zmianie władzy na margines oficjalnego życia. Na dodatek niefortunne inwestycje finansowe rodziców ogołociły Eugène'a z majątku.

Młody chłopak jako kierunek ucieczki od rozpaczliwej sytuacji wybrał sztukę. W 1815 r., u końca napoleońskich marzeń, rozpoczął terminowanie u „klasycystycznego nudziarza" Pierre'a-Narcisse'a Guérina. Stary mistrz nauczył młodego chłopaka solidnego warsztatu, ale pierwsze sukcesy Delacroix zdobył, łamiąc kanony i doskonale wyczuwając, że widownia malarska oczekuje czegoś nowego po latach napoleońskiego klasycyzmu. Nieprzypadkowo szeptano, że prawdziwym ojcem chłopaka jest sam Talleyrand – mistrz taktyki i sprytu.

Młody Delacroix miał ułatwione zadanie. Największy malarz epoki cesarstwa Jacques-Louis David wyemigrował do Brukseli, a w 1824 r. umarł inny wieki mistrz poprzedniej epoki – Théodore Géricault. Pole do sławy jest więc wolne. Dlaczego nie miałby go zająć pewny siebie 20-latek?

Delacroix uznał, że najlepszym polem bitwy do zdobycia popularności są paryskie salony malarskie – konkursy sponsorowane przez rząd. Na tle sztywnych i klasycystycznych dzieł jego płótna wpisywały się w nowy nurt – romantyzm. Gatunek lubujący się dramatycznych, drastycznych wydarzeniach, ocierający się o przemoc, grozę i wszystko to, co tajemnicze. W 1822 r. zdobył nagrodę za „Barkę Dantego" – obraz poety płynącego przez piekielne odmęty wśród potępieńców chwytających się łodzi.

eprasa.pl 5b277a8c4d

Dwa lata później, w 1824 r., znów trafił w nastroje. Jego obraz „Masakra na Chios" – wizja rzezi bezbronnych Greków z rąk Turków – idealnie wstrzeliwuje się w ówczesne nastroje solidarności z Helladą walcząca o wolność z Osmanami. Jak na tamte czasy było to coś w rodzaju reklam Benettona z lat 90., który szokował, promując odzież ze zdjęciami zakrwawionej koszuli bojownika z Bośni.

Gdy w 1828 r. Delacroix osiągnął trzydziestkę, czuł się swobodnie w każdym gatunku malarskim – od litografii i ilustracji do książek, poprzez krajobrazy i portrety, do wielkoformatowego malarstwa historycznego.

I wtedy przesadził ze skłonnością do krwawego orientalizmu – na Salonie Paryskim w 1828 r. jego obraz „Śmierć Sardanapala" – wizja masakry u łoża asyryjskiego władcy, na którego rozkaz w chwili agonii zarzynane są jego nałożnice i wierzchowce – przekroczył akceptowane wówczas normy przemocy i nagości na płótnie. Obraz powszechnie skrytykowano i nikt nie zdecydował się na jego kupno. Załamany Delacroix wszedł w fazę zwątpienia w swój talent i szczęśliwą gwiazdę.

Jednak w lipcu 1830 r. wybucha rewolucja lipcowa. Pod wpływem emocji chwili artysta maluje wizję Wolności jako pięknej kobiety wiodącej lud na barykady. Wybucha zachwyt postępowców wobec dzieła, które znów świetnie oddaje emocje tamtego czasu. Płótno wystawione na Salonie Paryskim w 1831 r. kupuje nowy rząd z zamiarem powieszenia go w pałacu królewskim nowego króla Ludwika Filipa, aby przypominało władcy, kto wyniósł go na tron. Jednak po pewnym czasie rewolucyjne emocje opadają i król nakazuje schowanie zakupionego obrazu w magazynach Luwru. Odtąd rośnie sława „uwięzionego płótna". Na chwilę „Wolność" ujrzy światło dzienne w czasie rewolucji 1848 r., potem za Napoleona III znów trafi pod klucz, by od 1874 r., już za czasów III Republiki, stać się ikoną republikanizmu.

Na wystawie wokół tego właśnie obrazu gromadzą się największe tłumy. Nic dziwnego – starsze pokolenie pamięta jeszcze, jak motyw z płótna Delacroix ozdabiał banknoty stufrankowe, a twarz wolnościowej bogini pędzla mistrza spoglądała na Francuzów ze znaczków pocztowych Republiki.

SPLENDOR ORIENTU

W 1832 r. Delacroix czuje, że musi znaleźć jakiś nowy kierunek w swojej twórczości. Sława autora „Wolności wiodącej lud na barykady" pod nową władzą, która chce zapomnieć o niedawnym wybuchu, jest nieco kłopotliwa. W takiej sytuacji najlepsza jest podróż w nieznane. I oto nadarza się wspaniała okazja. Francuski dyplomata, książę de Mornay, wyrusza na polecenie króla Francji na misję do marokańskich władców Tangeru oraz Meknes i wspaniałomyślnie zaprasza malarza do swego orszaku. Ponad półroczna wyprawa od stycznia do lipca 1832 r. daje malarzowi okazję do chłonięcia i zapamiętywania egzotycznych barw świata Orientu. Na wystawie można obejrzeć niezwykle cenne eksponaty – notesy Delacroix z wyprawy, pełne szkiców wojowników, żebraków, dostojników i biednych Beduinów. Artysta chłonie wszystko i zapisuje w dzienniku podróży: „26 stycznia. U paszy. [...] piękny mężczyzna w stroju z zielonymi rękawami. Niewolnik, Mulat, który nalewał herbatę w żółtym kaftanie, burnus narzucony na plecy, turban. Starzec, który ofiarował różę, w haiku i ciemnoniebieskim kaftanie".

W Maroku, a potem w Algierii, malarz zaczerpnie obserwacje do przyszłych dzieł. Oto jak artysta opisuje zobaczoną w Tangerze walkę dwóch rumaków, którą na wystawie oglądać można na obrazie namalowanym dwie dekady potem: „Walczące konie. Najpierw spięły się i biły z taką zaciekłością, że zadrżałem o los jeźdźców, ale malarsko było to cudowne. Jestem pewien, że zobaczyłem najbardziej fantastyczne i lotne ruchy, jakie mogli sobie wyobrazić Gros i Rubens. [...] Po chwili wpadły do wody, ale dalej walczyły, próbując wyjść z wody równocześnie; ich nogi ślizgały się w szlamie i na brzegu. Brudne i lśniące, mokre grzywy".

Delacroix zafascynował też świat algierskich pałaców, który tak dobrze oddał na obrazie „Kobiety algierskie". Maluje też kobiety żydowskie w zaciszu ich domów, w ich egzotycznych strojach, chwytając ich spokój i poczucie własnej wartości. Zachwycają delikatny spokój i uchwycenie światła na obrazie „Żydowskie wesele". Z motywów ujrzanych pod słońcem Maghrebu, ze skarbnicy własnej, fotograficznej, zdawałoby się pamięci, artysta będzie z sukcesem korzystał w swoich obrazach do końca życia.

DELACROIX RELIGIJNY

Wszyscy ci, którzy sławią artystę za jeden obraz „Wolności wiodącej lud na barykady", z pewnym zakłopotaniem odnoszą się do sporej liczby religijnych dzieł Delacroix. Na wystawie tę część jego twórczości autorzy ekspozycji nazwali „Ciemność i ból".

Czy Delacroix był człowiekiem wierzącym? Zachowało się kilka relacji jego przyjaciół, którzy wspominali parokrotne deklaracje malarza, że jest ateistą. A jednocześnie faktem pozostaje, że z chęcią i często malował sceny z życia Chry-

eprasa.pl 5b277a8c4d

„Chrystus na krzyżu", 1846 r. Obok szkicownik z podróży Delacroix do Maroka i Algierii FOT. MATERIAŁY

stusa i motyw piety – Matki Bożej ze zdjętym z krzyża Synem na kolanach.

Po raz pierwszy malarz przedstawił szerszej publiczności ten nurt swej twórczości na Salonach Paryskich w latach 1847 i 1848, gdzie kolejno zaprezentował obrazy „Chrystus na krzyżu" i „Chrystus w grobie".

Jak piszą autorzy wystawy: „[Delacroix] ukazał męczeńskie cierpienie, nawiązując do układów malarskich zapożyczonych z Rubensa, Rembrandta i Prud'hona, z surowym światłem w stylu Caravaggia. Nigdy wcześniej ten malarz tak radykalnie nie ograniczył palety używanych barw w celu stworzenia dzieła o poruszającym patosie. Jak pisał w swoim dzienniku: »Musiałem ograniczyć swoją łatwość pędzla i zawęzić skalę barw«".

Aby obejrzeć inne wielkie dzieła religijne Delacroix, trzeba opuścić Luwr i odwiedzić jeden z największych paryskich kościołów – Saint-Sulpice, gdzie w latach 1855–1861 artysta namalował cykl fresków z motywami biblijnymi, m.in. „Jakub mocujący się z aniołem" i „Heliodor wypędzony ze świątyni".

Kościoły i katolicka obrzędowość przyciągały jego wrażliwość. Zachowała się anegdota, że w czasie prac nad freskami w Saint-Sulpice bezskutecznie prosił proboszcza, aby pozwolił mu malować w niedzielę, przy wtórze organowej muzyki kolejnych mszy. Ksiądz był jednak pryncypialny – trwał na stanowisku, że niedziela nie jest dniem do pracy, nawet do dekoracji kościelnej kaplicy.

A co ze stosunkiem Delacroix do polityki? Doświadczony licznymi zmianami systemów władzy był bardzo zachowawczy. Zadziwi to tych wszystkich, którzy utożsamiają go z zapałem rewolucyjnym. Wystarczy zagłębić się w tomy jego dzienników, by zobaczyć kogoś, kto myśli bardzo przenikliwie o tym, że pomysły oderwania chłopów od ich ziemi i tworzenie spółdzielni to utopia.

Zawsze zachowywał miłość do epoki Napoleona, niezbyt szanował u władzy jego krewniaka, Napoleona III.

Był krytyczny wobec idei rewolucyjnych. Oceniając bilans półwiecza rewolucyjnych idei we Francji, pisał w 1847 r.: „Rewolucja osadziła nas ostatecznie w glebie interesu i radości fizycznych. Zniosła wszelkie wierzenia: zamiast tego naturalnego oparcia, jakiego stwór tak słaby jak człowiek szuka w sile nadprzyrodzonej, podsunęła mu abstrakcyjne słowa: rozum, sprawiedliwość, równość, prawo. Banda rozbójników może równie dobrze rządzić się przy pomocy tych słów, co społeczeństwo moralnie zorganizowane. Nie mają one nic wspólnego z dobrocią, czułością, miłosierdziem, poświęceniem".

SCHYŁEK I NIEŚMIERTELNOŚĆ

Chodząc po salach Luwru, nie sposób nie zauważyć, że wiele jego dzieł dziś nie bardzo pasuje do aktualnych kanonów politycznej poprawności. Delacroix świetnie wydobywał na jaw rys okrucieństwa i przemocy, który typowy jest dla świata kultury islamu. Jego obraz „Wejście krzyżowców do Konstantynopola" to pochwała francuskiego rycerstwa, dość rzadka dziś w epoce potępiania krucjat.

Był malarzem wymykającym się wszelkim kategoriom. Etykieta „romantyka", przypisana mu głównie z racji tematyki jego obrazów, była dla niego obciążeniem i źródłem irytacji oraz buntu. Krytyk Théophile Gautier (1811–1872) nazwał go odrębnym mikrokosmosem – światem samym dla siebie. Nic dziwnego, że nie miał prawie uczniów i naśladowców. Jego styl i warsztat malarski były na tyle indywidualne, że nie nadawały się do kontynuacji czy naśladowania.

A jednak Delacroix zmienił myślenie o malarstwie, choć nie wprost. Jak piszą autorzy wystawy w Luwrze: „Bez jego rewolucji w stosowaniu koloru i obalania akademickich kanonów nigdy nie powstałby impresjonizm".

I za to czci go malarski świat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Delacroix 1798–1863" czynna będzie w paryskim Luwrze do 23 lipca br. Szczegóły na: www.louvre.fr.

eprasa.pl 5b277a8c4d

Olaf? Nie, Edward

Waldemar Żyszkiewicz

Edwarda Lubaszenkę poznałem w latach 70. w krakowskim SPATiF-ie. Był dość blisko z moimi dobrymi znajomymi, więc raz czy drugi znaleźliśmy się przy tym samym stoliku, w jednym towarzystwie. Była okazja, żeby pogadać, a przy okazji napić się razem wódki

Zawodową specjalnością Edwarda Lubaszenki, który po roku 1989 wyjawił zawiłości swej genealogii i zaczął używać podwójnego nazwiska, była daleko posunięta powściągliwość w stosowaniu ekspresji. Uprawiał rodzaj nowoczesnego aktorstwa filmowego, plasując się na antypodach tzw. krakowskiej szkoły aktorskiej nadekspresji, która może i nieźle sprawdzała się na scenie, ale w obiektywie filmowej kamery stawała się manierą nie do zaakceptowania.

Lubaszenko senior potrafił zachować kamienną twarz nawet w najmocniejszych epizodach, obrazując wulkan targających nim emocji zaledwie nikłym drgnieniem muskułu na szczupłej, szlachetnej w wyrazie twarzy... O jednej z jego mocnych kreacji w Teatrze Telewizji rozmawiałem kiedyś w sali klubowej przy ul. Krupniczej z panią Ewą

FOT. KRZYSZTOF KULCZYK/FORUM

Olaf Lubaszenko w filmie „Marcowe migdały" Radosława Piwowarskiego z 1989 r. FOT. RENATA PAJCHEL/EAST NEWS

Otwinowską, wdową po Stefanie, długoletnim prezesie krakowskiego oddziału ZLP. I chyba ta obopólna aprobata dla kunsztu aktorskiego Edwarda Lubaszenki sprawiła, że pani Ewa, przedwojenna znajoma Gombrowicza, a moja sąsiadka z przeciwległej oficyny, zaprosiła mnie któregoś dnia do siebie na popołudniową herbatkę.

*

Lubaszenkę juniora poznałem nieco później na planie filmu „Łuk Erosa", w którym szczupły 19-latek zagrał Adama Karowskiego. Nie, z filmem Jerzego Domaradzkiego, który właśnie przyjechał z Australii, nie miałem nic wspólnego. Wracałem po prostu z poczty przy Dworcu Głównym przez Floriańską i w jednej z wąskich bocznych uliczek krakowskiego Starego Miasta zobaczyłem samochód z agregatem, rozstawione reflektory oraz charakterystyczny tłumek. Zaciekawiony podszedłem bliżej. Trwały właśnie przygotowania do nakręcenia kolejnej sceny. Ekipa krzątała się, przygotowując detale planu przed następnym ujęciem. Na środku jezdni widniała spora kałuża...

Stałem w grupie ludzi, wyczekując jak i oni, że może wreszcie coś się będzie działo. Plan filmowy to miejsce wielkiej nudy, właściwie dla wszystkich, z wyjątkiem reżysera i może jeszcze operatora. Moją uwagę ściągnął na siebie niespokojny młody blondynek. Stał tuż obok, więc nerwowość, z jaką się kręcił i przestępował z nogi na nogę, trudno było przegapić. Zapytałem, w czym rzecz, bo jego emocje w widoczny sposób narastały. Spojrzał w moją stronę, nieco stropiony, ale i wdzięczny.

– Mam tu zaraz przenieść kobietę przez kałużę, nie wiem, czy dam sobie z tym radę – odparł z całą bezpośredniością.

– Pomyśl, że jest coś do zrobienia, skoncentruj się i zaatakuj sytuację. Na pewno sobie poradzisz – powiedziałem z przekonaniem, które mu się chyba udzieliło.

W chwilę później był klaps, kałuża została rozchlapana, Lubaszenko junior należycie wywiązał się z aktorskiego zadania. Nie wiem nawet, czy kręcono dubla, bo ruszyłem zaraz w stronę Krupniczej.

*

Syn znanego i lubianego w środowisku aktora wszedł w branżę mimo braku formalnego wykształcenia w tym zakresie. Zdał eksternistyczny egzamin aktorski w roku 1991, blisko dekadę po debiucie w serialu telewizyjnym, w którym jako zaledwie 14-latek zagrał młodego Kamila Kuranta. Wtedy gdy starał się o status profesjonalisty, miał już na koncie 20 ról filmowych, m.in. w skandalizujących na dość różne sposoby „Piłkarskim pokerze" oraz „Krótkim filmie o miłości". U Kieślowskiego dłużej zagrzał miejsce... Tak, współpraca z twórcą nieco dziwnego „Dekalogu", asystentura u Wajdy przy „Pierścionku z orłem w koronie", później „Kroll", „Psy", musical „Metro", teatr Buffo, Festiwal Gwiazd w Międzyzdrojach. Krótko mówiąc, dziecko szczęścia, cały czas w samym środku wiru...

Grywał w teatrze, zaczął reżyserować własne filmy. Nie śledziłem zresztą tej kariery Lubaszenki juniora, bo większość rozbuchanej, radosnej produkcji polskiego show-biznesu, również filmowego, z czasów wczesnego Balcerowicza oceniałem jak najgorzej. I jeśli nawet zacząłem wtedy myśleć źle o Andrzeju Wajdzie, to przecież nie dlatego, że od samego początku był twórcą cudzożywnym, a reżyserem bardzo nierównym, że potrafił dawać dzieła, owszem, nieraz ważne i zręczne artystycznie, ale zawsze przecież skorelowane z aktualną koniunkturą polityczną, z obowiązującą modą, z wyczuciem chwili.

Umiejętność skutecznego lawirowania w warunkach PRL mógłbym zresztą zrozumieć i nawet dać na nią przyzwolenie, bo kręcenie filmów wymaga całkiem innych nakładów finansowych niż pisanie wierszy czy malarstwo sztalugowe. Nie, Wajda zneglizował się dla mnie jako człowiek i skarlał jako artysta, gdy po obejrzeniu „Psów" orzekł z wyczuwalną w głosie zazdrością, że „reżyser Pasikowski wie coś ważnego o polskiej publiczności".

Twórcy „Wesela" i „Ziemi obiecanej", inscenizatorowi „Biesów" i „Nocy listopadowej" poszło o ten komercyjny run na kina, w których wyświetlano kolejne produkcje wysokiego Władka P. Co mnie zdziwiło? To, że ktoś pozujący przez lata na intelektualistę kina i teatru, zawsze z ukłonem w stronę kultury wysokiej, tzw. ciekawy, bo bywały w świecie człowiek, podczas spotkań z którym studenckie kluby Krakowa pękały w szwach, zapomniał nagle, że prawo Kopernika-Greshama opisuje nie tylko rzeczywistość procesów finansowych, lecz także, może nawet przede wszystkim, zjawiska w sferze kultury.

*

Zawodowy staż Olafa Lubaszenki u Pasikowskiego nie mógł nie pozostawić śladu. Przekonałem się o tym po 10 minutach oglądania darmowego pierwszego odcinka „Kobiet mafii", kolejnego serialu Patryka Vegi, którego współscenarzystą obok reży-

eprasa.pl 5b277a8c4d

sera był właśnie Lubaszenko junior. Więcej nie dałem rady, zniechęciła mnie piramidalna głupota snutej opowieści. Mam tu na myśli zarówno sam koncept, jak i jego urzeczywistnienie. Jednak także niekończący się potok plugawych słów, które stanowią główną zawartość listy dialogowej.

Wiem, Vega będzie oczywiście zapewniał, że to wszystko zostało wzięte w ironiczny nawias, że twórcy serialu manifestują swój dystans do rzeczywistości, a wulgaryzm dialogów w ich produkcji z pewną taką nieśmiałością podąża tylko za światem realnym. Jednak proszę nie wierzyć temu, co mówi Vega. Oni, wraz z młodym Lubaszenką, dopiero kreują świat jedynie podobny do istniejącego, do którego obyczajowości mocno przyczynił się Pasikowski ze swymi „Psami" czy „Krollem".

Z tym że serial Vegi i Lubaszenki juniora stanowi już kolejne stadium, bo nierzeczywistość, której obrazami kuszą i ku której prowadzą swych niekrytycznych widzów, będzie głupsza, bardziej nikczemna, skrajnie odrażająca i krańcowo nienormalna. Tak, codzienność i prywatność ludzi z wrażliwością ukształtowaną na symulakrach Patryka Vegi nie może być zbyt powabna. Trudno też raczej sobie wyobrazić, by znajdowali oni wspólny język z miłośnikami filmów Antonioniego, Jarmuscha, Sorrentina czy choćby Nolana. I to nie jest bynajmniej czarnowidztwo, lecz prawidłowość, której należy spodziewać się wszędzie tam, gdzie ubóstwiono mamonę, a certyfikowaną przepustką do sukcesu stał się sprawny warsztatowo infotainment.

Gdy przed laty, niejako z obowiązku, obejrzałem parę odcinków „13 Posterunku" czy „Świata według Kiepskich", które to „kultowe" seriale mają na sumieniu co najmniej jedno pokolenie skutecznie pogłupionych Polaków, wydawało mi się, że durniej („13 Posterunek") czy perfidniej („Świat według Kiepskich") chyba już nie można. Warto przy okazji dodać, że wtedy do tworzenia pokracznej nierzeczywistości, w której brutalne chamstwo i wojująca głupota konkurują z niekończącym się bluzgiem, swoje cegiełki dokładali Okił Khamidow, Patryk Yoka oraz Maciej Ślesicki, syn Barbary Pec-Ślesickiej, przez wiele lat współpracującej z Wajdą.

Wszedł w branżę mimo braku formalnego wykształcenia w tym zakresie

Nie da się głupiej i wredniej? Patryk Vega dowiódł, że nie miałem racji. Owszem, da się, w każdym razie Vega wraz z Lubaszenką juniorem to potrafią. Ze mną zresztą poszło im łatwo, bo jakoś dotąd nie miałem kontaktu z wcześniejszymi, skądinąd dość licznymi, wytworami Vegi. Udało mi się też nie obejrzeć „Sztosa" ani głośnej, nagradzanej międzynarodowej produkcji „Zabić Sekala". I może właśnie dlatego dla Olafa Lubaszenki rezerwowałem dotąd jakiś rodzaj sympatii.

Pod koniec lat 90. domknął się krakowski etap mojego życia. Ożeniłem się i przeniosłem do Warszawy. Do kina chodziłem teraz rzadko, a z pewnością unikałem seansów, na których wyświetlano radosną produkcję uwolnionej od socjalizmu Holly Łodzi. Olaf Lubaszenko w naturalny sposób zniknął mi z horyzontu.

Wypłynął dopiero w połowie drugiej dekady nowego stulecia, gdy szukając w sieci materiału ilustracyjnego do całkiem innego tematu, przypadkiem natrafiłem na to zdjęcie. Zdumiony wpatrywałem się w ekran monitora: niebieska koszulka w wysepki z palmami, deseń dość typowy dla naszych wyobrażeń o Pacyfiku, na bosych stopach miękkie welurowe mokasyny, czarne, opięte spodnie... Przez dłuższą chwilę nie mogłem uwierzyć, że ten mężczyzna z bródką i wąsami, któremu przed chwilą udało się najwyraźniej kopnąć piłkę, to przecież ten sam nastolatek, który w okolicach krakowskiego hotelu Pod Różą dziarsko przekraczał kałużę. Tyle że był o ćwierć wieku młodszy.

Nie, nie widziałem tego „Sekala" o dość pokrętnym scenariuszu. Nie miałem też pojęcia, że Olaf, podobnie jak niegdyś Edward Lubaszenko, jest zapalonym fanem piłki nożnej ani że udziela się w piłkarskiej reprezentacji artystów. Mimo wszystko przez te lata, gdy straciłem go z oczu, może właśnie przez wzgląd na jego ojca, a trochę pewnie i z racji poważnych problemów życiowych, do których się przyznał i z którymi się zmaga, żywiłem do Lubaszenki juniora jakiś rodzaj sympatii. Teraz, po obejrzeniu początkowych fragmentów serialu „Kobiety mafii", będzie mi już znacznie trudniej wykrzesać z siebie życzliwe emocje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 5b277a8c4d

Piotr Gociek

„Ostre przedmioty" to najlepsza powieść Amerykanki Gillian Flynn. Jej ekranizacja nie zdołała jednak oddać tego, co było największą siłą tego mrocznego kryminału

Tępe przedmioty

Nie ma dzieci, które nie miałyby o coś żalu do swych rodziców, nie ma rodziców, którzy nie uważaliby, że ich dzieciom byłoby lepiej, gdyby uważniej ich słuchały. Nie ma małżonków, którzy nie mieliby o coś pretensji do partnerów, nie ma kłamstw trudniejszych do przejrzenia niż te, które wynosimy z domu. Wszystkie te prawdy znajdują się w sercu obyczajowo-kryminalnych powieści Gillian Flynn, autorki niezmiernie w ostatnich latach popularnej.

Ekranizacja powieści „Zaginiona dziewczyna", której dokonał w 2014 r. David Fincher, przyniosła jej sławę daleko wykraczającą poza USA. Dobrej opinii o autorce, która sama napisała scenariusz do „Zaginionej dziewczyny", nie zaszkodziła o rok późniejsza adaptacja jej innej powieści „Mroczny zakątek" (reż. Gilles Paquet-Brenner), która nie była sukcesem komercyjnym i została chłodno przyjęta przez krytyków.

DWIE STRONY MEDALU

Tego lata sztandarową nową produkcją HBO jest serial „Ostre przedmioty", według debiutanckiej książki Flynn pod tym samym tytułem. Pisarka współpracowała przy tworzeniu scenariusza i była jednym z producentów ośmioodcinkowej serii. Swoją przyszłość zresztą chyba bardziej wiąże z kinem i z telewizją. Pisze kolejne scenariusze, nie narzeka na brak następnych propozycji. Zbiera dziś owoce pracy dwóch minionych dekad. Zanim została autorką bestsellerów, przez 10 lat pisała o filmach i serialach w tygodniku „Entertainment Weekly". Zna zatem obydwie strony medalu.

„Ostre przedmioty" to debiutancka książka Gillian Flynn, ciekawe skrzyżowanie powieści obyczajowej z kryminałem (w Polsce ukazała się po raz pierwszy w roku 2007, rok po amerykańskiej premierze, i nie wzbudziła wówczas szerszego zainteresowania). Jej bohaterką jest dziennikarka, którą z wielkiego miasta (w powieści – Chicago, w serialu – Saint Louis) do zabitej dechami dziury w Missouri (miasteczka Wind Gap) wysyła szef żądny reportażu o tragedii, która wstrząsnęła lokalną społecznością. Jest w tym zleceniu haczyk, a nawet dwa.

Po pierwsze, Camille Preaker pochodzi z Wind Gap i wciąż ma tam rodzinę. Być może zatem ujrzy więcej niż zwykły reporter, więcej usłyszy, wzbudzi u miejscowych zaufanie. Po drugie, ze stanem psychicznym Camille nie jest najlepiej, o czym dobitnie świadczą jej miłość do gorzałki oraz skłonność do samookaleczeń. Najwyraźniej szef dziewczyny, próbujący trochę jej ojcować, ma nadzieję, że powrót do krainy dzieciństwa pomoże jej znaleźć wewnętrzny spokój.

Debiut Flynn zakwalifikowano w USA do literatury typu „southern gothic" – ponurych, melodramatycznych opowieści rozgrywających się na amerykańskim Południu. Cechy charakterystyczne: specyficzny duszny klimat, mroczny romantyzm, moralna ambiwalencja, duża doza melodramatyzmu, zamiłowanie do rodzinnych tragedii, przemoc, zbrodnia, dekadenckie dekoracje podupadłego niewolniczego Południa, czasem elementy nadnaturalne. Do „southern gothic" kwalifikują się zarówno tacy giganci jak William Faulkner czy Truman Capote, jak i zapomniani spece od niesamowitości, np. Ambrose Bierce. W telewizji najudatniej tę atmosferę udało się wykreować w pierwszym sezonie „Detektywa", w wampirycznym „True Blood" czy niedocenianym u nas serialu „Justified".

Gdy Camille (gra ją Amy Adams) przyjeżdża do Wind Gap, witają ją opustoszałe, wypalone słońcem ulice. Kto żyw w miasteczku, przeszukuje wraz z policją okoliczne lasy. Powodem jest zaginiona dziewczynka, w powietrzu wisi jednak inne pytanie. Poprzedniego lata w niewyjaśnionych okolicznościach zamordowana została inna dziewczynka. Zatem czy to już seryjny morderca? Jeśli tak, to za chwilę media z całego kraju zajmą się rodzinną miejscowością Camille. Na razie jako jedyna dziennikarka na miejscu ma nad konkurencją przewagę.

Najbardziej dziwacznym miejscem w Wind Gap okazuje się jednak wielka posiadłość, w której wciąż mieszka matka Camille, Adora (w tej roli Patricia Clarkson). Towarzystwa dotrzymują jej służba, nowy mąż (ojcem Camille był ten poprzedni) oraz córka z drugiego małżeństwa, nieletnia Amma. Jednak to Adora jest najważniejsza: wysuszona

eprasa.pl 5b277a8c4d

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

neurotyczna dama tańcząca samotnie w takt dawnych przebojów, przewrażliwiona na punkcie pozorów oraz własnej roli w lokalnej socjecie, trzymająca pod butem małżonka. Rezydencja Adory jest jednak dla Camille miejscem naprawdę upiornym z innego powodu – każdy zakątek przypomina o jej rodzonej siostrze, która zmarła przed laty.

Sprawy się komplikują – zaginiona dziewczynka nie żyje, zatem hipoteza seryjnego mordercy wydaje się uzasadniona. Zabójstwa są do siebie w wielu aspektach podobne. Nikt nie wierzy, żeby w dwutysięcznym miasteczku mogło tylko przez przypadek dojść w krótkim czasie do dwóch takich tragedii. Opisująca sprawę (i pomieszkująca, ku własnej frustracji, ze zdziwaczałą matką) Camille zbliża się do prowadzącego śledztwo agenta Willisa (gra go Chris Messina, znany m.in. z serialu „Świat według Mindy"). Jednak ten, kto oczekuje szybkiej fabuły i gwałtownych zwrotów akcji, będzie rozczarowany – w „Ostrych przedmiotach" kształt tajemnic (tej współczesnej, i tej z przeszłości) odsłania się powoli.

ZIMNA KALKULACJA

Reżyserem ośmioodcinkowego serialu HBO jest Jean-Marc Vallée, który początkowo chciał nakręcić kinową adaptację powieści Flynn. Do innej formuły przekonała go producentka Marti Noxon oraz sukces poprzedniego podobnego przedsięwzięcia dla tej samej stacji. Vallée zrobił bowiem dla HBO serial „Wielkie kłamstewka", emitowany w lutym i marcu ubiegłego roku. Łatwo dostrzec podobieństwa obu przedsięwzięć – jedna i druga produkcja powstała na podstawie kobiecych bestsellerów („Wielkie kłamstewka" według powieści Liane Moriarty), jedna i druga są historiami obyczajowymi z wątkiem kryminalnym, w jednej i drugiej najważniejsze jest to, co się dzieje między mocno zarysowanymi postaciami kobiecymi. To nie przypadek, to zimna kalkulacja. Kobiety od lat czytają więcej od mężczyzn, więc swymi wymogami kształtują rynek wydawniczy, w serialach i w kinie także coraz więcej ciekawych postaci kobiecych, choć zwolennicy równouprawnienia narzekają, że wciąż za mało.

„Wielkie kłamstewka" doczekały się wielkiego rozgłosu za sprawą gwiazdorskiej obsady. Faktycznie, oglądanie Nicole Kidman, Reese Witherspoon i Laury Dern obok siebie na małym ekranie było prawdziwą przyjemnością. W „Ostrych przedmiotach" aż tak sensacyjnego ansamblu nie udało się zgromadzić, ale obsada jest trafna i przemyślana. Amy Adams zdaje egzamin w roli głównej. Pytanie tylko: Czy nie mamy jej na ekranie trochę za wiele? Wypada wiarygodnie jako trapiona demonami przeszłości, nierozstająca się z butelką „american sweetheart". Patricia Clarkson jako jej matka wnosi na ekran odpowiednią dawkę niepokoju i ekscentryczności. Prawdziwym odkryciem jest jednak Eliza Scanlen, 19-latka z Australii, która świetnie wciela się w małoletnią Ammę.

Kłopot z „Ostrymi przedmiotami" leży gdzie indziej. Chociaż od pierwszej sekundy czołówki serialu, w której pojawiają się leniwa oldskulowa muzyka i obrazy prowincjonalnej Ameryki, twórcy próbują nas przekonać, że to prawdziwy „southern gothic", to miałem kłopot z zanurzeniem się w duszną, senną atmosferę Wind Gap. A to przecież, pamiętam z lektury, było największym atutem powieści, pełnej obrazów niezwykle sugestywnych, jednocześnie pięknych i ponurych, sprawiających, że czytelnik wędrujący wraz z Camille czuł się niemal oblepiony potem. Owszem, serial Jeana-Marca Vallée rozkręca się powoli, jak literacki oryginał, ale wydaje mi się za ładny, zbyt wystylizowany – taki zresztą już jest styl kanadyjskiego reżysera, proszę przypomnieć sobie jego kinową „Dziką drogę" czy wspomniane już „Wielkie kłamstewka", o których pisałem po premierze, że to pierwszorzędny produkt drugorzędny.

Z całych sił próbowałem poddać się więc mrocznemu urokowi opowieści, ale złośliwa pamięć podpowiadała, że przecież w porównaniu z kinowymi „Pokusą" Lee Danielsa czy „Uciekinierem" Jeffa Nicholsa, jakiż w „Ostrych przedmiotach" „southern gothic", raczej eleganckie przynudzanie. A w porównaniu z mistrzowskim scenariuszem pierwszego sezonu „Detektywa" (również ze stajni HBO) dzieje się niewiele, a dialogi wypadają o ileż bardziej blado.

GILLIAN FLYNN
„OSTRE PRZEDMIOTY"
ZNAK 2018

★★★☆☆☆
„OSTRE PRZEDMIOTY" („SHARP OBJECTS")
USA 2018

wyst. Amy Adams, Patricia Clarkson, Chris Messina, emisja w HBO w poniedziałki o godz. 20.10

Zarezerwuję więc pochwały dla powieści. Przeczytajcie „Ostre przedmioty", bo to najlepsza moim zdaniem książka Gillian Flynn, która władowała w nią frustracje i pasję debiutantki. W „Mrocznym zaułku" trudno było kibicować bohaterce, a w „Zaginionej dziewczynie" zbyt wiele było wyrachowanych starań pt. „Robimy murowany bestseller". Serial uważam za udany jedynie częściowo, bo zbyt wiele wysiłku włożono w nim w efektowne formalne zabawy podczas przechodzenia do retrospekcji, a za mało w pokazanie chwastów zarastających zepsute dusze bohaterów. Dzięki wakacyjnym powtórkom podglądałem ostatnio na HBO3 pierwszy sezon „Detektywa" i choć widziałem ten serial już po raz trzeci, to wciąż nie mogłem się od niego oderwać. Do „Ostrych przedmiotów" nie będzie mi się chciało wracać. To produkt jednorazowego użytku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b277a8c4d

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Groźniejszy od grzechotnika

Powtórka z rozrywki, o ile można tak nazwać wyprawę do jądra ciemności. Ci, którzy oglądali „Sicario", wiedzą, że znajduje się ono na południe od Rio Grande.

Sequel reklamowany jest hasłem: „Tym razem żadnych zasad". Zaskoczenia jednak brak. Znamy już bohaterów, orientujemy się, do czego są zdolni. Nie zdziwią nas również pozostałe elementy tej układanki: okrutni narcos, tchórzliwi politycy, skorumpowani gliniarze. Zmiany? Meksykańskie kartele z handlu kokainą przerzuciły się na przemyt ludzi. Zwyczajowa stawka wynosi tysiąc dolarów od łebka, lecz chętnych na podróż do jankeskiego raju nigdy nie zabraknie. Wujek Sam non stop wzmacnia ochronę granicy, chociaż ma świadomość, że to klasyczna walka z wiatrakami.

Na rozgrzewkę dostajemy zamach terrorystyczny autorstwa islamskich fanatyków. Szybko jednak akcja wraca na szlak przetarty przez Villeneuve'a. Nie bardzo wypada działać zbrojnie na terytorium sąsiada, więc gringos spuszczają ze smyczy wściekłego psa, czyli opętanego żądzą zemsty Alejandra. Były prokurator jest pozbawiony ludzkich odruchów i praktycznie kuloodporny. Wpłynąć może na niego tylko jeden człowiek: agent służb specjalnych, przekonany, że wrogów Ameryki trzeba zwalczać wszelkimi możliwymi sposobami – także torturując, zabijając lub porywając ich bliskich. W odróżnieniu od Alejandra Matt wykazuje śladowe poczucie humoru („w Meksyku niczego nie można utrzymać w tajemnicy, dlatego jeżdżę pancerniakiem").

Film trwa bite dwie godziny, fabuła jest dość rachityczna, więc dałoby się wykroić trochę czasu na psychologiczne pogłębienie przynajmniej niektórych postaci. Rozkapryszona córka narkotykowego barona, samotnie zamieszkująca willę o 30 pokojach, chłopak z porządnej rodziny ni z tego, ni z owego przechodzący na ciemną stronę mocy – to intrygujące koncepty, ale żadnego rozwinięcia się nie doczekają. Im bliżej końca, tym dziwniejsze rzeczy dzieją się z czasem i przestrzenią. Na meksykańskich szosach nie uświadczysz auta, w którym za kierownicą siedzi normalny obywatel. Korzystają z nich wyłącznie bandyci – w mundurach albo w cywilu.

Naśladując Donalda Trumpa, można powiedzieć, że twórcy proponują widzom korzystny deal: wy przymkniecie oko na nonsensy, my dostarczymy wam rozwałkę na najwyższym, hollywoodzkim poziomie. Pustynna sceneria oraz złowieszcza muzyka zapewnią odpowiedni nastrój.

Ciąg dalszy być może nastąpi, lecz jeśli „Sicario" nadal będzie ewoluował w kierunku banału, to nie pomoże mu nawet aktorski kunszt del Toro. Kinomani powiedzą: „Adios!". ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. STEFANO SOLLIMA
„SICARIO 2: SOLDADO" („SICARIO: DAY OF THE SOLDADO")
USA 2018

wyst. Benicio del Toro, Josh Brolin, Isabela Moner

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „OBIETNICA PORANKA"

Znacie, to posłuchajcie: żył sobie kiedyś chłopak urodzony w Wilnie, który wychowywał się potem w Warszawie, dorastał w Nicei ze swą cudną, acz nadopiekuńczą matką, aż nadeszła II wojna światowa, podczas której został pilotem. A później – pisarzem. To życie Romana Kacewa, znanego jako Romain Gary, i jednocześnie fabuła jego najsłynniejszej powieści „Obietnica poranka". W 1970 r. zekranizował ją Jules Dassin, teraz – Eric Barbier. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Obietnica poranka", reż. Eric Barbier, wyst. Pierre Niney, Charlotte Gainsbourg, Didier Bourdon, Francja 2017***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Sicario 2: Soldado", reż. Stefano Sollima, USA/Włochy 2018*** *(recenzja powyżej)*
- ***„Pierwsza noc oczyszczenia", reż. Gerard McMurray, USA 2018***
- ***„Niezwykła podróż fakira", reż. Ken Scott, USA/Francja 2018***
- ***„Oko na Julię", reż. Kim Nguyen, Kanada/Francja 2017***

eprasa.pl 5b277a8c4d

Zbrodnia w raju

„Zatrute rzeki/ zatrute morza/ zatruta ziemia/ zatrute zboża" – śpiewał Tomasz Lipiński. Od tamtego czasu walka o uratowanie naszej planety jeszcze się wzmogła. Borys Szyc spędził noc w namiocie w Puszczy Białowieskiej, zaś Włosi nakręcili „Ostatnie prosecco hrabiego Ancillotto" – kryminał z proekologicznym przesłaniem.

Tytułowy hrabia, arystokrata w starym, dobrym stylu, nie dba o pieniądze. Poczuwa się za to do odpowiedzialności za swych niegdysiejszych poddanych, obecnie sąsiadów. Kocha kobiety, dobre jedzenie i musujące wino. Kiedy zostaje znaleziony martwy na cmentarzu, nikt nie wierzy w jego samobójstwo.

Wkrótce życie traci właściciel pobliskiej cementowni. Szef policji z Treviso, kierujący się zasadą: „Żadnych kłopotów", panikuje. Jego podwładny, dociekliwy abnegat w stylu por. Columbo, podejrzewa, że obie sprawy łączą się ze sobą, choć nie potrafi tego udowodnić.

Dziwactwa bohaterów kontrastują ze sztampowym scenariuszem. Gdyby przenieść akcję do Sandomierza, mielibyśmy gotowy odcinek serialu o dokonaniach o. Mateusza.

W filmie Padovana też chodzi o przywrócenie moralnego ładu w rajskim zakątku, do którego wśliznął się grzech chciwości. Za ten zbożny cel dodaję jedną gwiazdkę. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. ANTONIO PADOVAN
„OSTATNIE PROSECCO HRABIEGO ANCILLOTTO"
WŁOCHY 2017

wyst. Giuseppe Battiston, Liz Solari, Teco Celio

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GIRL POWER NAD WISŁĄ

★★☆☆☆☆

REŻ. PATRYK VEGA
„KOBIETY MAFII"
POLSKA 2018, KINO ŚWIAT

wyst. Olga Bołądź, Agnieszka Dygant, Aleksandra Popławska, Janusz Chabior

Policjantka infiltrująca grupę handlarzy narkotyków, opiekunka do dziecka pracująca dla rodziny jednego z nich, żona bandziora zakochana w jego przystojniejszym i mądrzejszym bracie – główne bohaterki nowego filmu Vegi doznają ze strony mężczyzn rozmaitych upokorzeń i na różne sposoby próbują zdobyć niezależność. Bluzgi latają w powietrzu tak gęsto, że stare filmy Pasikowskiego to w porównaniu z tym filmem bajki dla przedszkolaków. Są dziwki, prochy, broń – jednym słowem, typowy Vega. Tradycyjnie brak tylko jednego: porządnego scenariusza, bo akcja pchana jest naprzód głównie siłą woli reżysera. Film rozpada się na scenki rozmaitej jakości. Te z Bogusławem Lindą oraz z Olgą Bołądź da się oglądać, te z Agnieszką Dygant (zwłaszcza rozprawa z grupą żoliborską) przekraczają chwilami granice parodii. Wytłumaczenia, że to polski realizm, nie kupuję. Można robić dobre filmy realistyczne i szokujące, można robić i złe. Vega wykalkulował, że do zdobycia sławy i pieniędzy wystarczy to drugie. ©℗

PAN RYBA ZAPRASZA DO WANNY

★★★☆☆☆

REŻ. GUILLERMO DEL TORO
„KSZTAŁT WODY" („THE SHAPE OF WATER")
USA 2017, IMPERIAL

wyst. Sally Hawkins, Michael Shannon, Richard Jenkins

Najbardziej przeceniony i przereklamowany film ostatnich lat. „Kształt wody" wart jest pochwał za wizualną konsekwencję i piękną muzykę, ale reszta przynosi zniecierpliwienie i rozczarowanie. Guillermo del Toro wymieszał polityczną poprawność z kawałkami mitów popkultury – od „King Konga" do „Pięknej i bestii" (ciekawe, czy znał też powieść Bielajewa „Człowiek ryba"). Sami posłuchajcie streszczenia: niema sprzątaczka wespół z latynoską sprzątaczką i malarzem gejem ratują przed złym amerykańskim rządem człowieka amfibię znalezionego w Ameryce Południowej. W tym przekalkulowanym i nie do zniesienia koktajlu nawet sowieccy agenci okazują się sympatyczniejsi od naukowców z USA. Towarzysze od agitpropu z czasów Lenina i Stalina lepiej by tego nie wymyślili. Fakt, że ta bzdurna bajka otrzymała cztery Oscary, więcej mówi o tych, którzy je przyznają, niż o samym filmie. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

GRA TYGODNIA: „KINGDOM COME: DELIVERANCE. FROM THE ASHES"

★★★★☆☆

„Z popiołów" to pierwszy dodatek do najciekawszej w ostatnich latach symulacji życia średniowiecznego rycerza. Mowa o rozgrywającym się w XV-wiecznych Czechach „Kingdom Come: Deliverance". Tym razem zamiast zemsty na głównym bohaterze Henryku przyjdzie wam odbudować osadę Przybysławice. Dzięki temu posmakujecie roli urbanisty i sędziego, będziecie również zarządzać pracą poddanych oraz chronić ich przed napadami bandytów. Pora zapuścić korzenie, ustatkować się i wziąć na barki nieco bardziej prozaiczne cele. Nie znaczy to jednak, że mniej ciekawe. Średniowiecze to przecież nie była nieustanna wojna. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *RPG*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent:*** *Warhorse Studios*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18+*

eprasa.pl 5b277a8c4d

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Polskie duchy

W potężnym tomie rozmów prof. Andrzeja Nowaka „Filary niepodległości" znajduje się wywiad z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem z października 2012 r., w którym poeta pytany o perspektywy dla Polski odpowiedział: „Nie wiem, jak będzie wyglądała Polska za lat 50 – czy będzie rosyjską kolonią, niemieckim protektoratem czy potężnym imperium w środku Europy, takim, jakie wymarzył sobie kiedyś Andrzej Trzebiński. Trochę nad tym boleję, bo zbliża się koniec mojego życia, a więc nie dowiem się, czy marzenie Trzebińskiego (i moje) przybierze kształt realny. Ja chciałbym – i zawsze tego chciałem – żeby Polska była sprzymierzona i zaprzyjaźniona z równie jak ona potężnym imperium tureckim. Czyli marzy mi się następna batalia wiedeńska, następna tam wygrana, ale korzystniejsza niż wyprawa króla Jana, bo z odwróceniem sojuszy. Nie wiem zatem, co się wydarzy i czy moje marzenia się spełnią, mam natomiast absolutną pewność, że Polska jako siła duchowa, jako pomysł duchowy, propozycja duchowego istnienia, jako takie szczególne miejsce, w którym każdy duch indywidualny może się (z korzyścią dla siebie) ulokować, będzie istniała i za 500 lat, i jeszcze dłużej. My, Polacy, jesteśmy potężnymi duchami jak te smoki z »Króla-Ducha« Słowackiego".

FOT. MAREK LASYK/REPORTER

Proszę państwa, niech państwo czytają Jarosława Marka Rymkiewicza. Jego wiersze, prozę, eseistykę. We współczesnej literaturze polskiej nie ma nic bardziej wartościowego, nie ma nic ciekawszego, nie ma nic lepszego. Jak mi się wydaje, przekonanie to podziela Andrzej Nowak, ale pytania – podobne do tych, które stawiał Rymkiewiczowi, prowokując go do oryginalnych (z reguły niepoprawnych politycznie) odpowiedzi, zadał także innym swoim rozmówcom, a byli nimi – wymieniam w kolejności alfabetycznej: Wiesław Chrzanowski, Andrzej Duda, abp Marek Jędraszewski, Jarosław Kaczyński, Lech Kaczyński, Antoni Macierewicz, Mateusz Morawiecki, Jan Olszewski i Anna Walentynowicz. Ten zestaw nazwisk w połączeniu z tytułem publikacji od razu określa, o czym jest ta książka. A mówi ona o Polsce, o tym, jak utrzymać z trudem zdobytą suwerenność, co zrobić, byśmy mogli cieszyć się niepodległością, której 100. rocznicę obchodzimy, i żyć w państwie skrojonym na miarę naszych marzeń, nie tylko możliwości, choć o tych ostatnich niepodobna zapominać.

We wprowadzeniu do tego tomu prof. Nowak dziękuje swoim rozmówcom, składając szczególny hołd tym spośród nich, których nie ma już wśród nas; dziękuje „jako historyk i jako obywatel niepodległej Rzeczypospolitej". „Mam nadzieję – pisze dalej – że innych, potencjalnych Czytelników, którzy to obywatelstwo także sobie cenią, owo szczególne świadectwo, jakie tworzy zbiór tych rozmów, zainteresuje i zachęci do udziału: nie tylko w lekturze, ale we wspólnocie zadania, jaka się tutaj ujawnia. Kto tę wspólnotę odrzuca, uważa ją za głupstwo, znajdzie w tym tomie źródło historyczne dowodzące błędności takiego mniemania. Może zaczerpnięcie z tego źródła coś zmieni?".

Może. Obawiam się jednak, że ci, którzy ciepłą wodę w kranie i poklepywanie po plecach przez Niemców czy Francuzów cenią wyżej od suwerenności Polski, pozostaną przy swoim zdaniu. Jak to pisał Rymkiewicz? „To, co nas podzieliło – to się już nie sklei".

Tym bardziej warto przeczytać choć jeszcze jedną z rozmów pomieszczonych w „Filarach niepodległości", dawną, bo po raz pierwszy opublikowaną w „Arcanach" w 2000 r. Rozmówca Andrzeja Nowaka mówił: „Jeżeli jest jakiś bardzo wyraźny wyznacznik obecnej polityki państwowej, to […] sprowadza się on obecnie do zagadnienia Polska a Unia Europejska. Muszę powiedzieć, że należę do tej grupy, której sceptycyzm narasta. Nie w tym sensie, abym sądził, że mamy jakąś alternatywę – bo jej nie ma. Natomiast zdaję sobie sprawę z jednej rzeczy: że jak już będziemy w Unii, to pole manewru naszej władzy (nawet jeśliby w pewnym momencie ta władza okazała się dobra, złożona z ludzi zdeterminowanych, ideowych i niegłupich) będzie już właściwie żadne. W Polsce, żeby coś zmienić, nie trzeba zmieniać tylko układu politycznego, ale należy zmienić układ sił społecznych nawet w tym stopniu, w jakim on się dzisiaj da zmienić. W Unii będzie to już niemożliwe […]". To powiedział Lech Kaczyński. ©℗

★★★★☆
ANDRZEJ NOWAK „FILARY NIEPODLEGŁOŚCI" BIAŁY KRUK 2018

eprasa.pl 5b277a8c4d

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Gdzie jest Lenka

Nadkomisarz Rafał Król wraca do Lwowa. W krótkiej świetnej ekspozycji dowiadujemy się wszystkiego, co trzeba: intrygę kryminalną napędza zaginięcie pięknej Lenki, łączącej pracę w urzędzie z uliczną prostytucją. Jednak nie będzie to zwykłe śledztwo. Jest wojna, Niemcy okupują Lwów, więc i nadkomisarz Król jest jedynie osobą prywatną, w dodatku ma własne kłopoty. Sprawny, wciągający początek dziwić nie może: autorem jest Janusz Majewski, reżyser i scenarzysta, zatem doświadczony opowiadacz fabuł, który zapisał się w historii polskiego kina „Zaklętymi rewirami" czy „Lekcją martwego języka".

„Ryk kamiennego lwa" to druga powieść o nadkomisarzu Królu, pierwszą był „Czarny mercedes" wydany dwa lata temu, ale można czytać te książki osobno. „Mercedesa" Majewski chce przenieść na ekran, podobno zdjęcia ruszą we wrześniu, a rolę główną zagra Andrzej Zieliński. W ostatnich latach Majewski jednak częściej pisze, niż reżyseruje. „Cenię sobie to, że nikt mi nie siedzi na karku i nie mówi: to źle, zrób inaczej" – wyjaśniał niedawno na łamach „Polska The Times".

Czasem jednak ktoś, kto podpowie „to źle", jest potrzebny, więc wcielę się w niewdzięczną rolę. Są w „Ryku kamiennego lwa" rzeczy, które podobają mi się niesłychanie, ale widzę i duże mankamenty. Kapitalnie oddany jest klimat Lwowa, rodzinnego i ukochanego miasta autora. O klasę lepiej niż w książkach tych, którzy odtwarzali go na podstawie źródeł, czyli Marka Krajewskiego i Pawła Jaszczuka. Świetny jest główny bohater, człowiek dobrej roboty walczący z prywatną traumą i sceptycznie patrzący na zamiłowanie ludzkiego gatunku do przelewania krwi na wielką skalę.

Po znakomitym początku fabuła jednak się rozmywa: Król szuka Lenki, jednocześnie angażując się w akcje polskiego podziemia, każdy zakręt jest okazją do opowiadania anegdot, niektórych w stylu słynnych „C.K. Dezerterów" reżyserowanych niegdyś przez Majewskiego. I od pewnego momentu to już ani kryminał, ani powieść wojenna, tylko po prostu autorska gawęda na rozmaite tematy, które akurat się twórcy przypomniały. Gawęda, która odbija beztrosko w rozmaite strony. Świetne epizody (takie jak choćby akcja w klasztorze czy odbicie z więzienia polskiego oficera) nie układają się w zwartą całość, a w finale brak… finału. I tak od zachwytu po pierwszych rozdziałach skończyłem z rozczarowaniem. Jednak ewentualny ciąg dalszy przeczytam i tak. ©℗

★★★☆☆☆
JANUSZ MAJEWSKI
„RYK KAMIENNEGO LWA"
MARGINESY 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

O polskiej kulturze i historii w sześciu esejach filozofa i politologa, naczelnego „Teologii Politycznej". Między innymi o zauroczeniu Wschodem, niemieckiej hegemonii, lekcji z dzieła Wincentego Kadłubka i sporze o kanclerza Zamoyskiego.

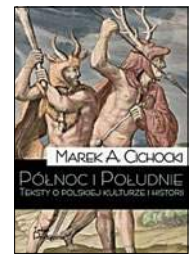

MAREK A. CICHOCKI „PÓŁNOC I POŁUDNIE" TEOLOGIA POLITYCZNA

Komiks fantasy osadzono w średniowiecznych realiach zapełnionych antropomorficznymi zwierzakami. Cudnie narysowany, przewrotny i gorzki, choć długo wydaje się, że to konwencjonalna opowieść o walce dobra ze złem.

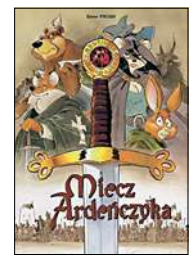

ÉTIENNE WILLEM „MIECZ ARDEŃCZYKA" EGMONT

Sześć opowieści o bohaterach półświatka PRL, w tym tak znanych jak Czesław Wiśniak, słynny fałszywy konsul, czy hrabia Lolo – Andrzej Rzeszotarski. Wiele nowych szczegółów odkrytych w archiwach IPN, fascynująca lektura.

AUTORZY RÓŻNI „NIEBIESKIE PTAKI. HISTORIE JAK Z FILMU" IPN

Dwie mikropowieści zamykające 10-tomowy szpiegowski cykl „Bruderszaft ze śmiercią", w którym autor serii o Fandorinie opowiada o zmaganiach rosyjskiego i niemieckiego wywiadu w czasach I wojny światowej. ©℗

poleca Piotr Gociek

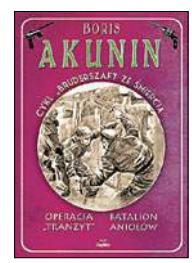

BORYS AKUNIN „OPERACJA TRANZYT. BATALION ANIOŁÓW" REPLIKA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. *Katarzyna Nosowska „A ja żem jej powiedziała" (Wielka Litera)* – *wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.*
2. *Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz" (Marginesy)* – *opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.*
3. *Jojo Moyes „Moje serce w dwóch światach" (Między Słowami)* – *ciąg dalszy perypetii Lou Clark, bohaterki książek „Zanim się pojawiłeś" i „Kiedy odszedłeś".*
4. *Katarzyna Bonda „Czerwony pająk" (Muza)* – *ostatni tom kryminalnego cyklu „Cztery żywioły Saszy Załuskiej" rozpoczętego w 2014 r. powieścią „Pochłaniacz".*
5. *W. Bruce Cameron „Był sobie szczeniak. Ellie" (Wydawnictwo Kobiece)* – *kolejna książka autora zekranizowanego niedawno hitu „Był sobie pies".*

(Najchętniej kupowane książki w czerwcu w księgarni internetowej Taniaksiazka.pl)

eprasa.pl 5b277a8c4d

FOT. SEBASTIAN WOŁOSZ/FILHARMONIA W SZCZECINIE

Paprykarz na wakacje

Nazwa albumów będących zapisem zeszłorocznego letniego koncertu Filharmonii w Szczecinie – „Klubowy paprykarz i oranżada" – tylko z pozoru wydaje się wesołą zbitką słów niemającą nic wspólnego z zawartością. Słuchając, łatwo odpłynąć do czasów, gdy na rodzinne wakacje jeździło się maluchem zawalonym bagażami do granic możliwości, po drodze popijało się herbatę z termosu, jadło bułki z pasztetem czy paprykarzem, a oranżada – nawet ciepła – krzepiła lepiej niż dzisiejsze schłodzone „energetyki" kupowane na przydrożnych stacjach. No pewnie, dzieciństwo i młodość w naszych wspomnieniach to wyidealizowany obraz – dość szarej w istocie – rzeczywistości, ale muzyka, która leciała wtedy z maluchowego kaseciaka, dziś nie tylko budzi miłe wspomnienia starszych, lecz także może poruszyć młode serca. Zwłaszcza w oprawie zaproponowanej przez Filharmonię w Szczecinie.

„Klubowy paprykarz i oranżada" to dwa albumy. Na obu przeważają polskie utwory z lat 60. i 70. w aranżacjach muzyków filharmonii z wokalem indywidualności polskiej sceny. „Nowe brzmienie jazzu i piosenki [Na dzień]" to spokojniejsze brzmienia. Wśród 13 utworów są m.in. „Dlaczego ona, a nie ja" Ireny Santor w wykonaniu Gaby Kulki czy „Czarodzieje" Skaldów w interpretacji Michała „Bunia" Skroka. Druga część – „Nowe brzmienie big beatu [Na noc]" – to m.in. „Deszcz w Cisnej" Krystyny Prońko wykonany przez Marikę i Old Skull Hippie Combo, Paulina Przybysz w świetnie zaaranżowanym „Mówisz tak" Trubadurów (od niedawna singiel dorobił się teledysku promującego „Paprykarz...") i moja faworytka, której głos zawsze wywołuje u mnie dreszcze – Natalia Sikora w „Poszłabym za Tobą" Miry Kubasińskiej.

Jeżeli jeszcze zdarzają się rodziny, w których rodzice potrafią namówić swoje nastoletnie dzieci do wspólnego wyjazdu na wakacje, to oba albumy mogą pogodzić różne gusta dwóch pokoleń. W sam raz na kilka godzin w samochodzie. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Studium zadumy

Głównym atutem Florence był dotąd krzyk. Okraszała nim muzykę określaną jako barokowy pop czy pastoralny folk. Tym bardziej zaskakuje otwierająca album „High as Hope" piosenka „June". Zaczyna się spokojnie, pojawia się zaduma (anioły i te sprawy), a w finale słyszymy smyczki. Welch staje w obliczu samotności sławy i mechanizmów radzenia sobie z nią. W „Hunger" emocje biorą górę i Floriana nie oszczędza gardła. Aby jednak nie było przewidywalnie, kolejne piosenki udanie balansują między wyciszeniem a rytmicznym uniesieniem.

W recenzjach podkreśla się bardziej osobiste teksty (rozpad małżeństwa rodziców, samobójstwo babci, przeprosiny z siostrą) oraz rozmyślania o substytutach (narkotyki, alkohol, lekkomyślna miłość czy duchowość), których się używa do zapełnienia pustek w duszy. Na płycie nie ma wcześniejszego efekciarstwa, a więcej jest miejsca na detale. Spora w tym zasługa gości, którzy utemperowali nieokiełzaną żywiołowość szefowej. Sampha ozdobił „Grace" subtelnym klawiszem, Father John Misty dołożył gitarę w „100 Years", a perkusja Jamie Smith (znanego jako Jamie xx) napędza podniosłe „Big God". W dwóch utworach błyszczy saksofonista Kamasi Washington.

Na zakończenie Floriana wyznaje: „Trudno jest pisać o byciu szczęśliwym, bo czym jestem starsza / stwierdzam, że szczęście jest niezwykle nieoczywistym tematem". ©℗

★★★★★☆
FLORENCE + THE MACHINE
„HIGH AS HOPE"
UNIVERSAL

★★☆☆☆☆
LADY PANK I GOŚCIE
„LP1"
ROCK HOUSE

Sprzedać towar trzy razy to sztuka, ale pięć to Mount Everest! Było już koncertowo, transowo, akustycznie, symfonicznie, a teraz jest gościnnie. Remake debiutu z 1983 r. udowadnia, że mimo zacnych przyjaciół lepiej słuchać The Police i The Cars w oryginale. ©℗

★★★★★★
GRZEGORZ CIECHOWSKI
„OBCY ASTRONOM"
BIURO LITERACKIE

Zbiór tekstów piosenek Ciechowskiego. Zarówno tych dla Republiki, Obywatela G.C., jak i innych wykonawców (m.in. K. Antkowiak, J. Steczkowska, Lady Pank). Siedem ostatnich tekstów nie doczekało się muzyki. Klasyka mądrej poezji rockowej. ©℗

eprasa.pl 5b277a8c4d

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

TRZY KSIĄŻKI

„ŻONY, KOCHANKI, DAMY, INTRYGANTKI"
„ŚWIĘTE I TYGRYSICE. PIASTÓWNY I ŻONY PIASTÓW"
„KOBIETY DESPOTÓW"

+

Cena: 159 zł
Oszczędność: 146 zł

MANTA
Polska firma rodzinna

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE PAKIET DO KUCHNI: SMOOTHIE BLENDER MANTA 350W SBL920 I BLENDER RĘCZNY MANTA 700W HBL931 + POJEMNIK

Cena: 299 zł
Oszczędność: 218 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 5b277a8c4d

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

Tonący śmiesznie się chwyta

Rafał A. Ziemkiewicz

„Tą ilością ludzi to my nic nie nawalczymy" – tymi słowami na manifestacji pod siedzibą Sądu Najwyższego Lech Wałęsa rozwiał sny totalnej opozycji

Przybycie Lecha Wałęsy własną, sławną na cały świat osobą na antyrządową manifestację, wygłoszenie na niej przemówienia, wydawało się jeszcze niedawno marzeniem totalnej opozycji i jej wielką nadzieją. Namawiano go do tego, apelowano, proszono, a on kręcił, obiecywał i wycofywał się, stawiał warunki, że muszą się najpierw zebrać 3 mln, potem już tylko 2 mln, w końcu spuścił do 100 tys., ale „zdyscyplinowanych". Nawet na marsz „w obronie czci Wałęsy", którego przesłaniem był najżywotniej zainteresowany, posłał żonę.

Marzenie wreszcie się spełniło – ale w analogiczny sposób jak wielki sen Adama Michnika o sojuszu „światłych, reformatorskich sił z obu stron historycznego podziału", znalazł ucieleśnienie w koalicji LiD (Lewica i Demokraci – kto jeszcze pamięta?). Wałęsa zapowiedział, że przyjedzie na wielki protest w obronie Sądu Najwyższego, który zresztą miał być, wedle zapowiedzi opozycji, początkiem długotrwałej „aż do zwycięstwa" okupacji placów przed sądami w całej Polsce metodą ukraińskiego Majdanu. Rzeczywiście przyjechał i wystąpił, w najbardziej – wydawałoby się – sprzyjającej frekwencji wieczornej porze.

Chyba za całe podsumowanie tego wystąpienia wystarczy wymowny fakt, że bardzo obszernie pokazały je i zacytowały „Wiadomości" TVP. Natomiast w „Faktach" TVN o udziale Wałęsy w protestach w ogóle nie wspomniano. Ani słowem.

@

Swoją drogą wyobrażam sobie, jakie emocje musiały panować podczas tego przemówienia we frontowych redakcjach antypisowskiego rokoszu. Czy, mówiąc ściślej, jakie – za przeproszeniem – „macie" musiały tam polecieć. Oto przez cały dzień media totalnej opozycji stają na głowie, żeby podgrzać atmosferę, dokonują cudów kadrowania, manipulowania zbliżeniami i zniżania kamery, tak by tych skromnych kilka rzędów manifestantów wydawało się sięgać po horyzont (fakt, że kiedyś TVN pokazywała protesty z dachu albo z drona, a teraz robi tak TVP, też jest wymowny) – a tu oczekiwany Wódz wychodzi wreszcie i na dzień dobry gasi sprawę stwierdzeniem, że „tą ilością ludzi to my nic nie nawalczymy".

Prawdę trzeba było jednak w końcu przyjąć do wiadomości. Więcej ludzi doliczyć się można było na placu Krasińskich tego samego dnia rano, gdy „odprowadzano do pracy" prezes Gersdorf – ponoć zaludnili go pracownicy warszawskich biur i kancelarii prawnych, którym pod warunkiem wzięcia udziału w protestach dano tego dnia wolne. Jednak już kilka godzin później znajoma dziennikarka mówiła, że gdy wysłano ją, by relacjonować sytuację pod Sądem Najwyższym, nie zastała tam ani jednego protestującego. Wieczorem kilkaset osób przyszło „na Wałęsę", rozejrzało się, zobaczyło, jak jest ich mało, poszło i już nie wróciło. I tak się rozwiał sen totalnej opozycji o milionach i „PiS-owcach skaczących z okien".

Niby to nie pierwszy raz, ale wydaje się, że tym razem „coś pękło, coś się skończyło". Wszystko wydawało się

eprasa.pl 5b277a8c4d

sprzyjać – a tu kompletna klapa. Na dodatek po całej akcji z „przenoszeniem w stan spoczynku" sędziów SN z prezes Gersdorf na czele sondaże PiS znowu podskoczyły, nawet w tradycyjnie najżyczliwszym dla opozycji IBRIS-ie. I nikt po stronie totalnej opozycji nie rozumie dlaczego, bo pozostając w paradygmacie myślowym narzuconym przez nią sobie samej, rzeczywiście nie sposób tego wyjaśnić, tak jak pozostając w dialektyce marksizmu-leninizmu, nie można było wyjaśnić przyczyn upadku przodującego ustroju socjalistycznego. Oczywiście pojawiły się próby diagnozy: „Społeczeństwo zostało zastraszone". Jednak dlaczego rok czy dwa lata temu było zastraszone znacznie mniej, tego już tłumaczyć nawet nie próbowano.

Poziom frustracji i zniechęcenia przekroczył więc wszystko, co dotąd mogliśmy po umownej „tamtej stronie" obserwować.

@

Z wielu drobnych, ale charakterystycznych przykładów wybiorę kilka. Pełne (jak to u niej) niecenzuralnych bluzgów i ekspresywnych okrzyków oświadczenie Manueli Gretkowskiej z zapowiedzią emigracji, nie tylko fizycznej, lecz także „wewnętrznej". Gretkowska ogłasza wycofanie się z publicznej aktywności, zajęcie się „złoceniem sobie pępka" (cokolwiek to oznacza), bo szkoda życia i czasu – „spójrzcie na te puste ulice". W podobnym nastroju wpisał się do Internetu Walter Chełstowski, wiceprzewodniczący (choć nie wiem, czy nadal) KOD, oznajmiając, że przez PiS „od dwóch i pół roku pije dużo więcej" niż kiedykolwiek – a teraz to już w ogóle.

Gdy tak zachowują się celebryci, czegóż spodziewać się po KOD-owskim „mięsie armatnim"? Gościom sprowadzonym przez deputowanych PO do europarlamentu na debatę „o przyszłości UE", która w istocie była kolejnym „sądem" nad Polską, podczas wystąpienia premiera Morawieckiego nerwy puściły tak, że z galerii dla publiczności obrzucali go obelgami i pokazywali „faki", co zresztą stało się podstawą do wniosku o „dyscyplinarkę" dla odpowiedzialnego za ich zaproszenie Michała Boniego. W podobny sposób, tracąc ostatnie hamulce, zaczęli zachowywać się członkowie KOD z „bojówki" próbującej rozbijać spotkania Patryka Jakiego i innych członków PiS. Na zdjęciach widać kompletną furię i dziką agresję, słychać, że KOD-owcy po prostu nie potrafią nad sobą zapanować. Ta sama furia roznosi, w jeszcze większym stopniu niż dotąd, Internet – wpisy w mediach społecznościowych komentatorów związanych z opozycją czy na forum „Gazety Wyborczej" (przypomnijmy, otwartym tylko dla jej prenumeratorów) biją kolejne rekordy zbydlęcenia i agresji przeciwko wszystkiemu, co tylko kojarzy się z „tą drugą Polską", religii, Bogu, żołnierzom wyklętym; już nie tylko życzy się tam Kaczyńskiemu i innym rządzącym śmierci, zamieszczając fotomontaże w trumnach, lecz także wręcz zapowiada „odstrzelenie kaczki". Trudno ustrzec się niepokoju, do czego może to doprowadzić, zwłaszcza że stwierdzenia w rodzaju: „Musi się wreszcie polać krew", „Pokojowe działania do niczego nie prowadzą" stały się już na takich forach swoistą mantrą.

Na szczęście radykalizacja retoryki i agresja to tylko jedne ze sposobów radzenia sobie ze stresem. Innym jest szukanie kompensacji – i tu sprawy mają się znacznie weselej. Można wręcz sparafrazować starą maksymę Stanisława Jerzego Leca i powiedzieć, że „tonący śmiesznie się chwyta".

Trudno o coś śmieszniejszego niż ogłoszenie – z zadęciem i ze śmiertelną powagą – sukcesu Lecha Wałęsy, a więc całej opozycji, polegającego na tym, że „Mick Jagger odpowiedział na jego list" i „poparł protesty w sprawie Sądu Najwyższego".

Sam pomysł, by po tym, jak nie udało się Polaków zmobilizować do protestów samemu, liczyć, że zrobi to 74-letni rockman, i by wciągać go w polski plemienno-polityczny spór, był dość groteskowy (zresztą, jeśli wierzyć prof. Matczakowi, bardzo aktywnemu medialnie w charakterze krytyka reformy sądów, miał to być pomysł nieznanego szerzej adwokata Filipa Wejmana, Wałęsa dał jedynie swój podpis). Jednak już prawdziwą komedią jest otrąbienie sukcesu po tym, jak Jagger podczas koncertu w Warszawie rzekł: „Jestem za stary, żeby być sędzią, ale młody, żeby śpiewać, Polska to piękny kraj, byliśmy tu w 1967 i patrzcie, ile od tego czasu osiągnęliśmy". Gdzie jest w tych słowach „poparcie", „potępienie" czy „przyłączenie się?! Raczej żartobliwe okazanie dystansu: „Nie chcę rozsądzać waszych sporów, przyjechałem tu śpiewać".

A mimo to udało się antypisowskim mediom wytworzyć dla swych zagorzałych wyznawców namiastkę tak bardzo potrzebnego im sukcesu, metodą tą samą co w wypadku „marszu 60 tys. neonazistów". Gromkie tytuły z antypisowskich mediów zacytowały zagraniczne agencje, na które z kolei zaraz zaczęły się powoływać owe media. Na fali „świat rocka przeciwko PiS" do rzekomego apelu Jaggera dołączono wygłoszone ze sceny na koncercie w czeskiej Pradze przez mniej znany zespół słowa poparcia dla polskich feministek walczących o legalizację aborcji i wpis na oficjalnym koncie zespołu Guns N' Roses: „Co się k… dzieje w Polsce?" – choć łatwo sprawdzić, że tą frazą zespół zapowiada każdy swój koncert obecnej trasy, zmieniając tylko nazwy krajów i miast.

Cóż, jeśli tak zbudowana narracja „nie wszystko jeszcze stracone, świat rocka nas popiera" ustrzeże jakiegoś wariata przed powtórzeniem „czynu" Piotra Szczęsnego czy Ryszarda Cyby – to dobrze, że ją stworzono. A przy okazji jest weselej.

@

Krótko po upadku nadziei na „Majdan" pod sądami Monika Olejnik zamieściła w „Gazecie Wyborczej" felieton, w którym szydzi z „PiS-owskich magistrów", przeciwstawiając im profesorskie tytuły autorytetów „opozycji totalnej". My mamy profesorów, oni tylko magistrów – koncept bardzo bliski wpisowi Janusza Lewandowskiego, który z kolei wykorzystał „akcję Jagger" do pochwalenia się refleksją, że po „ich" stronie jest Mick Jagger i rock, a „PiS-owcy" mają Zenka Martyniuka i disco polo, co samo w sobie mówi wszystko. W tym samym czasie wspomniany już prof. Matczak, wdawszy się na Twitterze w przepychankę z trollem, poinformował go, że jest nikim, podczas gdy on, Matczak – „świetnie wykształconym prawnikiem", któremu „płacą grubą kasę". I doprawdy ani w tym, ani w kolejnych pełnych dumy z własnej lepszości wpisach nie sposób było dopatrzyć się, wbrew próbom obrony autorytetu profesora, jakiejś ironii.

Kompleks wyższości z reguły jest sposobem ucieczki od kompleksu niższości i choć generalnie „urojenie wyższościowe", jak nazywa to psychologia, stanowi podstawę tożsamości „totalnych" od zawsze, to rzadko artykułowali je oni tak buńczucznie, jak staje się to zwyczajem teraz. I to też trudno wytłumaczyć inaczej niż frustracją.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b277a8c4d

Polska – Ukraina – Wołyń

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Piotr Zychowicz

PiS do niedawna uznawany był za najbardziej proukraińską partię w Polsce. Dzisiaj relacje z Kijowem są fatalne

Grudzień 2013 r. Na kijowskim Majdanie ważą się losy Ukrainy. Czy państwo to pozostanie w moskiewskiej strefie wpływów czy też wybije się na suwerenność? I wkroczy na drogę prowadzącą na Zachód. Na mównicę wkracza Jarosław Kaczyński, wówczas lider opozycji.

„Bracia Ukraińcy – zwraca się do wiwatujących tłumów, nad którymi powiewają żółto-niebieskie sztandary. – Jestem pewien, że zwyciężycie. Jesteście potrzebni Europie. Unia potrzebuje Ukrainy, pamiętajcie o tym. Właśnie w tym kierunku szedł w swej polityce mój brat, który zginął w Smoleńsku. I my, i ja idziemy tą samą drogą. Wiem, że na Ukrainie są siły, które mają inne poglądy. Warto im przypomnieć wiersz waszego wielkiego poety Szewczenki: »Ci, którzy szkodzą Ukrainie, nigdy nie zostaną zbawieni«. Niech ci, którzy próbują ciągnąć Ukrainę w tę drugą stronę, niech pamiętają o tym przesłaniu wielkiego Ukraińca. Nie lękajcie się!”.

Wyjazd polskich posłów do Kijowa chwalił Donald Tusk. Zachwycony postawą szefa PiS był Adam Michnik. „Kaczyński – mówił szef »Gazety Wyborczej« – zachował się jak prawdziwy polski patriota”. PiS uchodził wówczas za najbardziej proukraińską partię na polskiej scenie politycznej.

Minęło zaledwie pięć lat, a dzisiaj brzmi to jak opowieść z innej epoki. PiS znajduje się przy władzy, a relacje na linii Polska – Ukraina zamiast wzorcowych są fatalne. Najlepszą ilustracją tego były zakończone właśnie smutne obchody 75. rocznicy ludobójstwa na Wołyniu. Nie stały się one okazją do pojednania, wprost przeciwnie – stały się okazją do konfrontacji.

Prezydent Petro Poroszenko samotnie oddał hołd mieszkańcom wsi Sahryń wymordowanym przez AK i BCh. A prezydent Duda samotnie oddał hołd mieszkańcom wsi Ołyka wymordowanym przez UPA. Nie powtórzyła się więc sytuacja z roku 2006, gdy prezydenci Lech Kaczyński i Wiktor Juszczenko w Pawłokomie wspólnie oddali hołd ofiarom polsko-ukraińskiego konfliktu. A w debacie publicznej w obu krajach bardziej przebijały się głosy konfrontacyjne niż koncyliacyjne.

ZWROT PIS

Co się stało przez te pięć lat? Wydaje się, że obie strony nie są tu bez winy. Zacznijmy od rządu naszego kraju. W 2013 r. PiS miał szeroką, ambitną koncepcję polityki zagranicznej. Była to koncepcja nawiązująca do idei jagiellońskiej i federacyjnej. Czyli Polska osadzona mocno w strukturach Zachodu grupuje wokół siebie kraje zagrożone przez Rosję. Przede wszystkim Ukrainę.

Można się z tą strategią zgadzać lub nie. Można ją uznawać za realną lub romantyczną. Mądrą lub naiwną. Nie można jednak PiS odmówić tego, że miał wówczas jakiś pomysł na miejsce

eprasa.pl 5b277a8c4d

Polski w świecie. I trzymał się go konsekwentnie.

Teraz PiS nie ma już żadnej koncepcji. Politykę zagraniczną podporządkowuje wymogom bieżącej polityki wewnętrznej. A konkretnie zwycięstwu w kolejnych wyborach. Ta pogoń za społecznym poklaskiem przynosi Polsce opłakane skutki. Najlepszy dowód – ostatnia międzynarodowa kompromitacja wywołana przez nowelizację ustawy o IPN.

Wróćmy jednak do Ukrainy. PiS usilnie stara się uzyskać poparcie całego tzw. prawicowego elektoratu. A więc także środowisk kresowych i nacjonalistycznych. Do tej pory wyborcy ci stawiali raczej na Kukiza i Ruch Narodowy. A od PiS odstraszało ich właśnie proukraińskie nastawienie tego ugrupowania.

PiS tych wyborców lekceważyć nie może. Szczególnie że w ostatnich latach pamięć o ofiarach ludobójstwa na Wołyniu – m.in. za sprawą wybitnego filmu Smarzowskiego – stała się ważnym elementem pamięci historycznej szerokich rzesz Polaków. PiS uważa się zaś za jedynego prawdziwego szafarza i obrońcę tej pamięci.

Między innymi stąd wynika zaostrzenie stanowiska rządu w sprawie Ukrainy („Z Banderą do Europy nie wejdziecie!"). To nie przypadek, że PiS bezkrytycznie przyjął zaproponowany przez partię Kukiz'15 zapis nowelizacji ustawy o IPN dotyczący zbrodni ukraińskich nacjonalistów. O ile fragmenty feralnej ustawy dotyczące spraw żydowskich zostały na żądanie Izraela potulnie usunięte, o tyle zapisy ukraińskie pozostawiono bez zmian.

NIE MA SYMETRII

Teraz strona ukraińska. Tutaj problem jest o wiele poważniejszy i głębszy. Nie chodzi bowiem o „godnościową politykę" aktualnego rządu, ale o wielką historyczną narrację. O oficjalną wykładnię dziejów najnowszych, która stała się fundamentem państwowej polityki historycznej Kijowa.

Jak wiadomo, wyzwolona spod kurateli Moskwy Ukraina desperacko potrzebowała bohaterów. Postaci i formacji historycznych, do których mogłaby się odwoływać. Z braku lepszych wzorców padło na Stepana Banderę i UPA – organizację, która po wojnie zaciekle walczyła z sowieckim okupantem.

Trudno jednak czcić ludzi, którzy mają na koncie ludobójstwo polskiej ludności Wołynia i Galicji Wschodniej. Dlatego nacjonalistyczni ukraińscy historycy wystąpili z tezą, że ludobójstwo nie miało miejsca. Zamiast tego w latach 1942–1947 mieliśmy do czynienia z wojną polsko-ukraińską, podczas której obie strony dopuszczały się okrucieństw.

Zwolennicy tej tezy wrzucają przy tym do jednego worka pacyfikacje ukraińskich wiosek dokonane na Wołyniu przez polską policję na służbie Niemców (bataliony 107. i 202.), akcje odwetowe AK i BCh, a nawet komunistyczną akcję „Wisła"! Wszystko to, według nacjonalistów z Kijowa, było „polskimi zbrodniami".

Jeżeli zaś chodzi o rzeź Polaków, to, owszem, zdarzało się, że oddziały UPA napadały na wioski. Jednak w gruncie rzeczy na Wołyniu mieliśmy do czynienia ze spontanicznym ludowym powstaniem. Rzesze ukraińskiego chłopstwa chwyciły za kosy i ruszyły na swoich polskich ciemiężycieli.

Problem w tym, że tezy te są sprzeczne z faktami historycznymi. Zachowane dokumenty nie pozostawiają większych wątpliwości, że ludobójstwo na Wołyniu było zaplanowaną na zimno przez kierownictwo OUN/UPA operacją eksterminacyjną.

Akcje odwetowe AK, BCh i polskiej samoobrony nigdy nie powinny były się wydarzyć. Śmierć każdego dziecka, każdej kobiety, każdego niewinnego cywila zasługuje na potępienie. Podejmowane przez naszych nacjonalistów próby relatywizowania czy zakłamywania tych zbrodni napawają mnie odrazą.

Nie można jednak zrównywać polskich akcji odwetowych z ludobójstwem UPA. Wystarczy zresztą spojrzeć na bilans. O ile na Wołyniu i w Galicji Wschodniej śmierć poniosło ok. 100 tys. Polaków, o tyle wszystkie akcje odwetowe pochłonęły kilka, góra kilkanaście tysięcy ukraińskich ofiar.

Tutaj nie może więc być mowy o symetrii. Były to rzeczy, których zrównywać nie wolno. Tymczasem władze Ukrainy robią to nagminnie. Podróż prezydenta Poroszenki do Sahrynia w tym samym dniu, w którym prezydent Duda odwiedził Wołyń, jest tego najlepszym przykładem.

Podobnie jak zorganizowane przez szefa ukraińskiego IPN Wołodymyra Wiatrowycza uroczystości rocznicowe we wsi Rudka Kozińska. Była to miejscowość, która w 1943 r. została spacyfikowana przez Niemców z udziałem podległych im polskich policjantów.

„Nie możemy rozdzielić uczestników tego konfliktu na ofiary i katów według narodowości – przemawiał Wiatrowycz. – Zabijali Ukraińców, ale zabijali i Ukraińcy. Mordowali Polaków, ale zabijali i Polacy. Zabijali w samoobronie, ale również zabijali i niewinnych. Tak robili Ukraińcy i Polacy. Tak robiły obie strony konfrontacji".

Jest to podejście, którego strona polska zaakceptować nie może.

POLSKA W IMPASIE

Istnienie niepodległej Ukrainy leży w żywotnym interesie Rzeczypospolitej. Jak bowiem nauczał genialny Adolf Bocheński, lepiej, żeby na Wschodzie znajdowały się dwa ścierające się ze sobą duże organizmy państwowe – Rosja i Ukraina – niż żeby tuż za naszą wschodnią granicą rozpoczynało się wielkie, żarłoczne imperium moskiewskie.

Istnienie Ukrainy otwiera przed naszą polityką wiele możliwości. W zależności od koniunktury i układów międzynarodowych możemy albo sprzymierzyć się z Ukrainą przeciwko Rosji, albo z Rosją przeciwko Ukrainie. W momencie, gdy Ukraina znika, nasze pole manewru znacznie się zawęża.

Na tym właśnie polega największy dylemat polskiej polityki zagranicznej. Jak pogodzić ze sobą walkę o prawdę o ludobójstwie na Wołyniu ze wspieraniem ukraińskiej państwowości?

Na pytanie to nasi politycy odpowiadają na ogół frazesem: „Pojednanie musi opierać się na prawdzie". Brzmi to pięknie, ale niestety w żaden sposób nie przybliża nas do jakiegoś sensownego rozwiązania.

Wydaje się więc, że powinniśmy dążyć do kompromisu. Jakiego? Choćby takiego: Polska mogłaby uznać niepodległościowe zasługi UPA w walce z bolszewikami. I wycofać się z ukraińskich zapisów ustawy o IPN. Jednak Ukraina w zamian musiałaby uznać rzeź na Wołyniu za ludobójstwo. Taka wzajemna deklaracja powinna oczyścić atmosferę.

Co jednak zrobić, jeżeli nasi partnerzy z Kijowa nie będą chcieli przystać na taką formułę? No cóż, może to, co napiszę zabrzmi brutalnie, ale wydaje się, że Ukraina potrzebuje obecnie Polski bardziej niż Polska Ukrainy. Atuty w tej grze znajdują się teraz w naszych rękach. Nie przegapmy dobrego momentu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b277a8c4d

Marek Jan Chodakiewicz
z Waszyngtonu

Ekshumacja w Jedwabnem jest jedynym sposobem, aby poznać prawdę o tej okropnej zbrodni

Prawda nas

Z tym, że bez ekshumacji nigdy nie poznamy całej prawdy o zbrodni w Jedwabnem, zgadza się nawet Jan Tomasz Gross. Przynajmniej w taki sposób odpowiedział 15 lat temu na pytanie, które zadał mu w tej kwestii Gordon Black podczas konferencji na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley.

Co ważniejsze, w publikacji ortodoksyjnej Amerykańskiej Rady Rabinicznej rabin Joseph A. Polack, który jest profesorem do spraw zdrowia publicznego w Boston University, już w 2001 r. napisał jednoznacznie o sprawie ekshumacji w Jedwabnem: „Tradycja, ogólnie rzecz biorąc, głosi, że jest nie tylko właściwe, ale wręcz obowiązkowe, aby ponownie pogrzebać kogoś pochowanego w nieodpowiednim grobie. Odwołując się do kluczowych przykładów od starożytności aż do czasów współczesnych, mam nadzieję pokazać, że te względy odnoszą się w jasny sposób do męczenników z Jedwabnego i jakikolwiek werdykt zabraniający ekshumacji i ponownego pogrzebania w Jedwabnem mylnie interpretuje tradycję".

Tymczasem ekshumacja w Jedwabnem prowadzona przez prof. Andrzeja Kolę została przerwana przez ówczesnego ministra sprawiedliwości, Lecha Kaczyńskiego, pod wpływem nacisków środowisk żydowskich, które sprzeciwiały się jej „z powodów religijnych". Jednak judaizm ma wiele form, nie każda odrzuca ekshumacje, nawet ortodoksi dopuszczają wyjątki. Co więcej, wielu Żydów swoje żydostwo traktuje albo jako wyznacznik etno-nacjonalny albo etno-kulturowy, a nie religijny, nie brakuje wśród nich ateistów. Oni nie są pod żadnym przymusem religijnym. Wprost przeciwnie, często podkreślają, że obowiązuje ich prawo stworzone przez ludzi, a nie prawo naturalne, pochodzące od Boga, w którego przecież nie wierzą.

EKSHUMACJE I ICH BRAK

Można mnożyć przykłady ekshumacji i argumenty, zarówno laickie, jak i religijne, przemawiające za ich dokonywaniem. W 1985 r. wybuchła afera w Hamburgu, gdzie lewicowcy sprzeciwiali się budowie „kapitalistycznego" centrum handlowego Mercado. Ponieważ władze odrzuciły ich protesty, postępowcy doszukali się, że centrum miało powstać w miejscu starego żydowskiego cmentarza sprofanowanego przez hitlerowskich narodowych socjalistów. Powiadomieni przez lewicowców na miejscu zjawili się ortodoksi z Izraela, którzy starli się z policją. Sprawa ślimaczyła się, aż jeden z czołowych rabinów izraelskich orzekł, że nie należy naruszać spokoju zwłok, ale centrum można na cmentarzu postawić, jeśli na jego ścianach pojawią się odpowiednie tablice informacyjne. Naturalnie inwestorzy i miasto musieli wypłacić rekompensaty, ale centrum Mercado otwarto w 1995 r.

Przykład żydowskich ekshumacji znajdujemy w „Protokole z przeprowadzonej ekshumacji zwłok Żydów ze wsi Rzezawa [powiat Bochnia]" z dnia 10 sierpnia 1946 r. znajdującym się w Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego (sygn. 301/2351), w którym czytamy: „Wydobyto ogółem 15 zwłok, w tym siedem kobiet, czterech mężczyzn i czworo dzieci". Ludzie ci zostali zamordowani we wrześniu 1942 r. Świadkowie zidentyfikowali część ofiar. Asystowało w tym trzech przedstawicieli Powiatowego Komitetu Żydowskiego w Brzesku, z którego inicjatywy nastąpiła ekshumacja i spisanie protokołu. „Zwłoki pochowano na cmentarz[u] Żydowskim w Brzesku". Czyli ofiary nie tylko ekshumowano, lecz także przeniesiono z masowego grobu pod Rzezawą do Brzeska.

Podobnie w Izraelu nagminnie przenosi się zwłoki bądź ludzkie szczątki – czy to w trakcie wykopalisk archeologicznych, czy też w czasie wykonywania czynności policyjnych w miejscu zbrodni (morderstwa pospolite czy polityczne). Faktycznie przeszkadza to ultraor-

eprasa.pl 5b277a8c4d

Pomnik upamiętniający mord na Żydach w Jedwabnem FOT. ADAM GUZ/REPORTER

wyzwoli

todoksom, którzy się temu sprzeciwiają. Czasami dochodzi nawet do zamieszek. W takich sprawach władze żydowskie potrafią być twarde i pikiety czy blokady ortodoksów kończy bezwzględnie policja. Istnieje nawet ortodoksyjny rabinacki Komitet do spraw Ochrony Grobów – Astra Kadisza. Pisząc o jego działalności, rabbi Yitzchok Breitowitz stwierdził wręcz: „My, Żydzi, jesteśmy swoimi największymi wrogami". Chodzi o sprzeciwy ortodoksów wobec działań izraelskich archeologów, lekarzy i policjantów. O rolę religii w państwie.

ORTODOKSI I LAICY

Starcie między religijnymi a laickimi Żydami trwa do dziś. Izrael nie ma laickiej konstytucji, istnieje jedynie kompromis między tymi dwoma światopoglądami ze wskazaniem na judaizm. Z jednej strony syjonizm (oprócz religijnych syjonistów z Mizrachi) odznaczał się sekularyzmem, a nawet wojującym ateizmem ze strony lewicy syjonistycznej (zwłaszcza Poalej Syjon-Lewica). Z drugiej jednak strony judaizm przecież definiował Żydów przez tysiące lat, a ortodoksi, szczególnie w ramach religijnej partii fundamentalistycznej – Agudath Israel – oraz jej sojuszników w ramach Bloku Religijnego, deklarowali wierność Jahwe jako głównego wyznacznika bycia Żydem. Podkreślali oni, że Stary Testament to judaizm, a judaizm to żydowskość. Na tę formułę zgadzała się też większość partii laickich: od twardych prawicowych Syjonistów Rewizjonistów (dziś Likud) do skrajnie lewicowej Mapam (Zjednoczonej Partii Robotniczej).

Jak podaje Howard M. Sachar, do pierwszych poważniejszych tarć między laickimi a religijnymi stronami doszło w 1956 r. Reformowany (lewicowy) rabin z Ameryki chciał wybudować „szkołę archeologiczną" w Jerozolimie. Okazało się, że miało przy niej powstać małe skrzydło w celu odprawiania nabożeństw w rycie judaizmu reformowanego. Ortodoksi przypuścili ostry atak na „heretycki" projekt, który nazwali „obsceniczną abominacją w oczach Pana". Zbojkotowali projekt i wycofali się z rady miasta.

eprasa.pl 5b277a8c4d

Jeszcze większa awantura rozgorzała, gdy władze Jerozolimy postanowiły wybudować publiczny basen w mieście. Umiarkowani domagali się zakazu pływania podczas szabasu, a kobiety i mężczyźni mieli używać obiektu osobno. Gdy postulat odrzucono, do głosu doszli radykalni. Basen miał „zohydzić" i „zbezcześcić" święte miasto Jerozolimę. Nie tylko nastąpiły zmasowane ataki prasowe, lecz także masowe demonstracje. Te rozlały się nie tylko po Izraelu, lecz także wszędzie, gdzie były skupiska ludności żydowskiej. Na przykład w czerwcu 1958 r. chasydzi z Brooklynu pikietowali pod Białym Domem, żądając wycofania wsparcia dla „prześladującego" ich Izraela.

Takich histerycznych wybuchów państwo żydowskie doświadcza cyklicznie, obecnie np. w sprawie społeczności gejowskiej. Jednak największa awantura w Izraelu dotyczyła podejścia do ludzkich zwłok.

ZWŁOKI, SEKCJE I EKSHUMACJE

Ortodoksi są zdecydowanie przeciwni sekcjom zwłok. Początkowo izraelskie akademie medyczne miały zakaz ich przeprowadzania. W 1951 r. naczelny rabin Izraela Yitzhak Herzog zgodził się na obdukcje, o ile osoby w testamencie dobrowolnie zgodziły się na przekazanie swoich zwłok na cele naukowe.

W 1953 r. Kneset przegłosował Ustawę o anatomii i patologii, która dopuszczała przeprowadzenie sekcji, „aby ustalić przyczynę śmierci". Spowodowało to narastającą falę sprzeciwu ze strony religijnych Żydów. Władze starały się iść na kompromis, zakazując sekcji, jeśli denat przed śmiercią lub jego rodzina tego zabronią, wyłączając przypadki „konieczności wyższej" i „interesu publicznego". Kompromis nie zadziałał. Sachar podaje, że „bandy studentów jesziw natężyły swoje protesty, demonstrując pod szpitalami, nękając lekarzy, wybijając okna w ich domach, malując swastyki na ich drzwiach, a nawet od czasu do czasu atakując ich fizycznie". Sądy wykazały się wielką wyrozumiałością w stosunku do takich „band" ortodoksów.

Sprawa sekcji zwłok pozostaje kontrowersyjna. Stanowi też główny punkt odniesienia w sprawach ekshumacji. Jeśli nie można dotykać żadnego ciała, to też nie można odgrzebywać czegokolwiek, co może zawierać zwłoki. Na przykład izraelskie prawo kryminalne reguluje dostęp do odkrywek archeologicznych. Można wchodzić na ich teren tylko za zezwoleniem władz państwowych. Ortodoksi są przeciw. I przypominają, że w brytyjskich czasach kolonialnych wkraczanie na cmentarz było uważane za kryminalne wtargnięcie.

W tym sensie ortodoksyjny sprzeciw w sprawie jakiegokolwiek naruszania spokoju zwłok czy pozostałości po nich dotyczy też bezpośrednio jakiejkolwiek ekshumacji. W każdym bowiem wypadku wymagającym takich czynności z powodów naukowych czy kryminalnych może dojść – i często dochodzi – do scysji między sekularnymi a religijnymi Żydami. Jednak nie zawsze.

ORTODOKSJA INTERPRETACYJNA

Kavod Hamet oznacza szacunek dla zwłok, aby dusze zmarłych Żydów nie cierpiały z powodu profanacji ich ciał i kości. Ortodoksja judaistyczna zabrania z zasady ekshumacji i przenoszenia szczątków, ale robi się wyjątki. Po pierwsze, ciała i kości należy w miarę możliwości rozdzielić tak, aby zwłoki wyciągnąć pojedynczo w całości i „z odpowiednim szacunkiem". Następnie trzeba je pogrzebać jak najszybciej. Po drugie, po wyciągnięciu zwłok należy wykopać warstwę ziemi spod nich na grubość trzech palców. Tak dyktuje prawo żydowskie – halacha.

W jednej z interpretacji rabin Myron S. Geller podkreśla, że żydowskie prawo halacha dyktuje zakaz naruszania zwłok z grobu, aby chronić „godność zmarłych." Jednak w niektórych przypadkach można dokonać ekshumacji, w tym np. aby pogrzebać w grobie rodzinnym czy przewieść do Izraela; aby usunąć ciała z terenu „będącego cudzą własnością"; aby ustrzec przed „wandalizmem czy inną katastrofą naturalną" oraz „dla dobra publicznego." Jasne jest, że odkrycie prawdy o Jedwabnem przez ekshumacje kwalifikuje się jako ostatni z powodów – „dla dobra publicznego", bo zakończy bolesną sprawę. Można też twierdzić – w świetle wskazówek rabina Gellera – że ciała powinny być przeniesione na pobliski cmentarz żydowski.

Maurice Lamm z ortodoksyjnej organizacji Chabad daje szczegółowe wskazówki dotyczące ekshumacji i ponownego pogrzebania. Niektóre z nich można odnieść do sprawy Jedwabnego: „Jeśli zmarły nie jest pogrzebany we własnym grobie" oraz „Jeśli grób był uznany za tymczasowy i wyraźnie tak zaznaczono, gdy zmarły został tam pogrzebany". Chyba jest jasne, że ofiary Jedwabnego nie zostały pogrzebane we własnych grobach. A logiczne jest, że w przypadku masowego mordu grób ofiar jest uznawany przez wszystkich (oprócz morderców) za tymczasowy.

Oczywiście to wszystko jest sprawą interpretacji, jak to bywa w judaizmie.

ŻYDOWSKA PRAKTYKA

Ortodoksyjna instytucja Achuzat Kever, której szefuje rabin Michoel Fletcher, zajmuje się sprowadzaniem żydowskich zwłok na pochówek w Izraelu. Co więcej, reklamuje się, że „zajmuje się również ekshumacjami wszędzie na świecie, aby przenieść doczesne szczątki do Izraela".

Z innych powodów ambasada Izraela w USA – powołując się na przepisy ministerstwa zdrowia i pozwolenie od Naczelnego Rabinatu – zgadza się na ekshumacje: „Szczątki osób wyznania żydowskiego mogą być wykopane po roku od daty pogrzebu". Opłata za ekshumację może wynosić do 2 tys. dol. plus certyfikat z ministerstwa zdrowia kosztujący 250 dol. Zwłoki można wtedy przewieść do USA.

Profesor genetyki w Harvard University, David Reich, mimo że jest Żydem zsekularyzowanym, ma szacunek do swojej tradycji religijnej. Jest światowej klasy specjalistą od tzw. starożytnego DNA. Jego praca polega naturalnie na zajmowaniu się materiałem genetycznym uzyskanym z fragmentów kości i tkanki ludzkiej, a rzadziej dobrze zachowanych zwłok. Nagminnie uczestniczy w procesie, na który się składają rozkopywanie grobów i obdukcja ciał. Zaczęło go to męczyć z moralnego punktu widzenia. Spytał więc swojego wujka, ortodoksyjnego rabina, czy dobrze robi.

Wuj zafrasował się, nie znalazł bowiem żadnego werdyktu rabinackiego, który odnosiłby się do tak starych szczątków. Po jakimś czasie odparł: „Wszystkie ludzkie groby są święte, ale istnieją okoliczności łagodzące, które sprawiają, że można otwierać groby tak długo, jak daje to potencjał do promowania zrozumienia oraz likwidowania podziałów między ludźmi".

Czas na ekshumację w Jedwabnem, czas na zniszczenie zmory antysemityzmu, którą rozbudziła ta sprawa. Tylko prawda nas wyzwoli i pozwoli „promować zrozumienie oraz likwidować podziały między ludźmi", a w tym przypadku – między Polakami i Żydami. A to musi opierać się na prawdzie, która leży pogrzebana w Jedwabnem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b277a8c4d

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Loreta is back!

W opowiadaniu „Pierre Menard, autor Don Kichota" Jorge Luis Borges porównuje klasyczne dzieło Cervantesa z książką owego Menarda. Obie książki są identyczne. Słowo w słowo, kropka w kropkę, myślnik w myślnik. Borges jednak udowadnia, że sens tego drugiego „Don Kichota" jest zupełnie inny niż pierwszego, a co więcej – ten drugi jest lepszy.

Ta literacka sztuczka miała pokazywać, że kontekst powstania dzieła jest kluczowy. Że „Don Kichot" napisany w wieku XVII znaczy zupełnie co innego niż „Don Kichot" napisany w połowie wieku XX. Inna świadomość, inne okoliczności powodują, że pozornie to samo dzieło zupełnie zmienia wydźwięk.

Kiedy przeczytałem opowiadanie Borgesa pierwszy raz, byłem pod wrażeniem polotu i erudycji pisarza, ale sam zamysł wydał mi się tyleż błyskotliwy, co wydumany. „Don Kichot" to „Don Kichot" – myślałem sobie lekceważąco i na trzy dekady zapomniałem o nieistniejącym Pierze Menardzie.

Ostatnio przypomniała mi o nim polityczna poprawność. Jeden pan z BBC powiedział, że dzisiaj nie mogą już powstawać takie programy jak „Latający cyrk Monty Pythona", tworzone przez białych facetów po Oksfordzie i Cambridge. Że w dzisiejszych czasach grupy komików muszą być zróżnicowane pod względem rasowym, społecznym i seksualnym. Odpowiedział na to Terry Gilliam, jeden z Pythonów, który na festiwalu w Karlowych Warach ogłosił się niedawno Loretą – czarnoskórą lesbijką.

Zainspirowany przez Gilliama obejrzałem sobie „Żywot Briana", w którym rzeczona Loreta się pojawia. Acz nie jest ani Murzynką, ani lesbijką, ani nawet kobietą, tylko facetem – działaczem Frontu Wyzwolenia Judei. – To będzie symbol naszej walki z ciemiężcami – mówi o swym imieniu Loreta. – Raczej z rzeczywistością – odpowiada jej John Cleese. Rany, jak bardzo zmienił się ten film! Chociaż – oczywiście – jest dokładnie taki sam jak w momencie jego postania. Tyle że w roku 1971 widziano w nim przede wszystkim obrazoburczą kpinę z religii. W roku 2018 to jedna wielka satyra na zamordystyczny liberalizm, lewicowe aberracje i terror politycznej poprawności. Zewnętrzny kontekst diametralnie odmienił „Żywot…". Zniewieściały Piłat krzyczący na prostych legionistów za to, że śmieją się z modnego w stolicy imienia Kutas Wielgus, i on ukarze za obrażanie swych przyjaciół – to śmieszne tak jak 30 lat temu, ale dziś z nieco innych powodów.

Zdecydowanie Borges miał rację. Dzieła żyją, a ich interpretacja może zmienić się wraz z czasem i okolicznościami. „Żywot Briana" najlepszym przykładem. A Pythonom trzeba oddać, że stworzyli dzieło niejednoznaczne i profetyczne. W związku z czym nie byłoby dla nich miejsca ani w Opolu, ani na gali Złotych Orłów. Co nieoczekiwanie upodabnia nas do BBC! ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Szczęśliwi pechowcy

Czasami w dziejach narodów historyczny pech może okazać się dziejową szansą. Mieliśmy w Europie narody szczęściarzy – potężną Francję, która zredukowała swoją rolę na własne życzenie; Hiszpanię, której schyłek zaczął się w momencie zbudowania imperium, czy Rosję, która pochłonęła pół świata, a zaczęła się sypać z powodu braku wolności.

Na drugim biegunie znalazła się biedna, słabo zaludniona Anglia, która wykorzystała atuty, które dawały położenie oraz mechanizmy ustrojowe, i stworzyła pierwsze nowożytne supermocarstwo. Kto by pomyślał, że krwawa Wojna Dwóch Róż wycinająca kwiat arystokracji zrobi miejsce dla nowej szlachty i mieszczaństwa, a ci stworzą najbardziej skuteczny ustrój świata. Wolnorynkowy kapitalizm, w ramach monarchii konstytucyjnej. Nie chodzi mi jednak o wykład historyczny. Chcę pisać o szansach Polski – tym „pechowcu dziejów", „chorym człowieku Europy", „państwie sezonowym" – która stoi w obliczu możliwości, jakich nie miała od wieków. Paradoksalnie nasz bonus wynika z późnego doczepienia naszego wagonika do superekspresu Zachodu. Znaleźliśmy się w Unii w chwili, kiedy ta ma kłopoty z własną tożsamością i wydaje się, że zatraciła zdolność regeneracji.

Poprawność polityczna stłumiła nawet instynkt samozachowawczy

Nasz przymusowy pobyt w sowieckiej zamrażarce uodpornił nas na wiele dewiacji współczesności, nasze bezcenne doświadczenie pozwala patrzeć chłodnym okiem na głupotę społeczeństw, w których poprawność polityczna stłumiła nawet instynkt samozachowawczy. Jeszcze parę lat temu, kiedy George Friedmann pisał o Turcji i Polsce jako przyszłych mocarstwach, wywoływał rechot „łże-elit" i niedowierzanie maluczkich. Dzisiaj nikomu nie jest do śmiechu, kiedy patrzy na Turcję. A co do Polski…

W poważnych pismach pojawiają się wizje zasobnego, bezpiecznego kraju, w którym chronią się zamożni rentierzy, uciekający przed islamem, przenosi się Bank Światowy, a może i Stolica Apostolska! ©℗

eprasa.pl 5b277a8c4d

Łukasz Czarnecki

Samuraj z Solidarności

Jednym ze sławniejszych bon motów Lecha Wałęsy był ten o zbudowaniu drugiej Japonii. Mniej osób pamięta, że w walce Solidarności z komunistycznym reżimem odegrał swą rolę syn Kraju Kwitnącej Wiśni – Yoshiho Umeda, któremu Jan Paweł II powiedział kiedyś, że mówi po polsku lepiej od niego

Życie toczy się dziwnymi torami. Ojciec bohatera niniejszego tekstu – Ryōchū Umeda – jako dziecko został oddany do buddyjskiego klasztoru. Dorósłszy, młody zakonnik dał się poznać jako człowiek o wyjątkowo bystrym umyśle i wielkiej żądzy wiedzy, w którym współbracia dostrzegali nawet materiał na przyszłego opata. Że zaś zwierzchnik zgromadzenia mnichów zen powinien być mężem uczonym, przełożeni świątyni posłali młodzieńca na studia uniwersyteckie, które poszły mu tak dobrze, iż zdobył stypendium i został wysłany do Niemiec, by tam pisać doktorat. Tak się jednak jakoś dziwacznie złożyło, że brat Ryōchū zamiast do Berlina trafił do Warszawy, gdzie zaczął zgłębiać starożytną filozofię pod kierunkiem najwybitniejszego ówczesnego polskiego znawcy antycznego świata – prof. Tadeusza Zielińskiego. Wkrótce rozpoczął też pracę lektora języka japońskiego na Uniwersytecie Warszawskim i w Instytucie Wschodnim w Warszawie, tym samym został pierwszym w Polsce native speakerem swej ojczystej mowy (lub – jak mawiał sam zainteresowany, nieodróżniający tak jak większość Japończyków głoski „r" od „l" – „rektorem wykradającym japoński"). Wśród jego uczniów znalazł się m.in. najwybitniejszy polski japonista – Wiesław Kotański.

Spędzonych w kraju nad Wisłą 17 lat było dla Umedy najwspanialszym czasem życia. Po II wojnie światowej wrócił do Japonii, ożenił się, doczekał dwóch synów i został profesorem slawistyki – archeologii, historii i literatury Europy Wschodniej na Uniwersytecie Kwansei Gakuin w Nishinomiya. Niestety, jego szczęście małżeńskie nie trwało długo: zmarł w roku 1961 w stosunkowo młodym wieku – jak na przedstawiciela nacji słynącej z długowieczności. W ostatniej woli Umeda senior nakazał o wiele młodszej od siebie żonie wyjść ponownie za mąż, a pierworodnemu synowi Yoshiho wyjechać do Polski i zostać Polakiem.

ZŁOTA MŁODOŚĆ

W Japonii słowo ojca (zwłaszcza wypowiedziane na łożu śmierci) jest prawem, więc syn dawnego mnicha dwa lata po śmierci rodziciela został wysłany do kraju nad Wisłą, gdzie zaopiekował się nim korespondencyjny przyjaciel Ryōchū – archeolog prof. Konrad Jażdżewski.

Mieszkając najpierw w Łodzi, a potem w Warszawie, młody Japończyk szybko opanował język nowej ojczyzny. Gdy osiągnął wiek męski, rozpoczął na Uniwersytecie Warszawskim studia polonistyczne. Kiedy poziom kierunku po wydarzeniach

eprasa.pl 5b277a8c4d

Yoshiho Umeda (w kapeluszu z napisem: „Solidarność") podczas strajku MZK w Warszawie w 1981 r. FOT. ARCHIWUM TOMASZA MICHALAKA/FOTONOVA

z 1968 r. znacznie spadł, bo miejsce relegowanych z uczelni wysokiej klasy specjalistów zajęli naukowo mierni, lecz wierni PZPR tzw. docenci marcowi, Yoshiho przeniósł się na historię sztuki. Żadnego ze studiowanych kierunków co prawda nie skończył, ale i tak zdobył rozległą wiedzę. Erudycja, szerokie zainteresowania i znajomość kilku języków miały mu się bardzo przydać w późniejszych latach, gdy wyrzucony z PRL w stanie wojennym zaczął zarabiać na życie jako przewodnik japońskich wycieczek po Europie.

Na razie Umeda wiódł życie w miarę beztroskie i wesołe. Serdeczny charakter, a także otaczająca go aura egzotyki sprawiły, że stał się osobą niezwykle popularną w kręgach studenckich i inteligenckich. Niemały wpływ na to miał tu też fakt, że nigdy nie narzekał na brak pieniędzy – jeszcze będąc studentem, rozpoczął pracę w charakterze tłumacza japońskich przedsiębiorstw robiących interesy z ekipą Gierka. Biznesmeni z Kraju Kwitnącej Wiśni dobrze płacili (w dolarach!) rodakowi, dzięki czemu stać było go na zakup w peweksie choćby luksusowych alkoholi, którymi potem dzielił się z przyjaciółmi. Z tego okresu zachowała się ciekawa anegdota wiele mówiąca o rozrywkowym charakterze młodego Japończyka – otóż w trakcie zakrapianych imprez Yosiho miał zwyczaj po wypiciu kilku głębszych wspinać się na drzewo i wygodnie rozsiadać się na jego konarach. Do huśtającego się na gałęziach młodzieńca z reguły szybko dołączali jego koledzy, tak że zabawa nabierała cech surrealistycznych.

Umeda pokochał również polskie góry. Kiedy tylko miał czas, wyruszał w Tatry i wędrował po tamtejszych szlakach. Rychło stał się postacią rozpoznawalną przez tatrzańskich górali, którzy nie mogąc wymówić jego japońskiego imienia, nazywali go Józefem. Notabene, kiedy nasz bohater w latach 80. zdecydował się przyjąć chrzest, imieniem, które sobie wybrał, był właśnie Józef. Miłość do górskich wędrówek doprowadziła także do zawarcia znajomości z milicjantem, trenerem judo i taternikiem w jednej osobie – Jackiem Jaworskim, który w okresie stanu wojennego stanowił wtyczkę Solidarności w milicji i był jednym z autorów tzw. raportu taterników, opisującego wydarzenia w kopalni Wujek.

Obracając się w kręgach warszawskiej inteligencji, Umeda zbliżył się bardzo do wielce zasłużonej dla polskiej kultury rodziny Żuławskich, z której wywodzili się chociażby pisarz i prekursor polskiej fantastyki naukowej – Jerzy Żuławski – czy zmarły przed dwoma laty reżyser – Andrzej. We wnuczce tego pierwszego, pięknej japonistce Agnieszce (studentce prof. Kotańskiego, będącego wychowankiem Umedy seniora – świat bywa zaskakująco mały) młody Japończyk zakochał się z wzajemnością i para ostatecznie stanęła w roku 1973 na ślubnym kobiercu. Stanowić mieli niezwykle zgrane małżeństwo i dochować się trojga dzieci – syna Tomoho i córek Julii oraz Hany.

WOJOWNIK SŁUSZNEJ SPRAWY

Tymczasem w polskim społeczeństwie narastała coraz większa niechęć do władzy komunistycznej. Pogarszające się z każdym rokiem warunki życia doprowadziły w końcu do wybuchu – w 1976 r. w Radomiu zastrajkowały zakłady pracy. Strajk został zduszony siłą, jego uczestników spałowano i pozamykano. W odpowiedzi na przemoc we wrześniu powstał Komitet Obrony Robotników. Była to zupełnie nowa jakość na froncie walki z komunistami. Struktury organizacji były całkowicie jawne, tak by jej członków nie można było oskarżyć o antykomunistyczną konspirację, a hasło przyświecające całemu przedsięwzięciu brzmiało: „Nie palcie komitetów, twórzcie własne!".

Umeda, który czuł się już stuprocentowym Polakiem, szybko włączył się w prace KOR. Wykorzystując kontakty z japońskimi firmami, zaczął sprowadzać z Japonii potrzebny opozycji sprzęt drukarski, m.in. doskonałej jakości matryce i kalki. W krakowskim oddziale Archiwum Narodowego zachowała się jako ciekawostka, wchodząca w skład przysłanej z Kraju Kwitnącej Wiśni do Polski paczki z tymi materiałami, deseczka, na której azjatycki nadawca wypisał adres: „Warszawa ZSRR".

Nastał rok 1980, zaczęły się mające przejść do historii walki o polską wolność strajki i doszło do powstania Solidarności. W nowym ruchu znalazło się miejsce również dla Umedy, który szybko okazał się niezastąpiony. Wszędzie było go pełno, wszystko potrafił załatwić. To m.in. jego zasługą była wyprawa przedstawicieli związku zawodowego na czele z Lechem Wałęsą do Japonii, która miała miejsce w maju roku 1981. Ośmiu delegatów wraz z Umedą udało się do Kraju Kwitnącej Wiśni na zaproszenie tamtejszych organizacji pracowniczych zafascynowanych fenomenem Solidarności. Chociaż rząd japoński wykazywał daleko idącą powściągliwość w stosunku do delegacji, to wizyta okazała się wielkim sukcesem. Media japońskie wprost oszalały na punkcie Wałęsy i cytowały każde jego słowo. Podczas odwiedzin w Japonii był też jednak moment ponury, to tu Umedę i jego towarzyszy zastała informacja o zamachu na Jana Pawła II.

Delegaci, wypełniwszy program wizyty, wrócili do kraju. Yoshiho został

eprasa.pl 5b277a8c4d

w ojczyźnie przodków nieco dłużej, do Polski poleciał dopiero pod koniec lipca. Przywiózł ze sobą bardzo drogi nowoczesny sprzęt telewizyjny i fotograficzny, który przekazał władzom Solidarności. Wkrótce potem został zatrudniony w biurze Regionu Mazowsze, gdzie pracował jako zastępca szefa biura zagranicznego ds. organizacyjno-finansowych.

Po raz pierwszy od II wojny światowej w Polsce pojawiła się świecka siła, z którą komuniści musieli się na serio liczyć. Karnawał Solidarności trwał w najlepsze, a ludzie upajali się tą odrobiną wolności, którą ze sobą przyniósł. Niestety, czerwoni przygotowywali się już do kontruderzenia.

WYGNANIE

Stan wojenny nie był dla Solidarności całkowitym zaskoczeniem. Na długo przed 13 grudnia do uszu działaczy dochodziły informacje, z których można było wnioskować, że władza szykuje coś bardzo złego. Niektórzy członkowie władz związku zaczęli nawet odczuwać obawy o własne życie. Jednym z nich był Zbigniew Bujak, który poprosił Umedę o wskazanie mu jakiejś sztuki walki, w której mógłby się zacząć szkolić. Japończyk zaproponował przyjacielowi... kendo, czyli walkę na bambusowe miecze. Bujak wziął się ostro do treningu i zdobył nawet trudno dostępny w ówczesnej Polsce profesjonalny sprzęt do szermierki japońskiej. Owe dwa drewniane miecze stały się potem zresztą sławne, kiedy po internowaniu Bujaka zostały zarekwirowane przez milicję, a następnie pokazane w telewizji jako dowód na to, że Solidarność szykowała się do aktów przemocy.

Im bliżej było końca 1981 r., tym więcej wskazywało na to, że komuniści przygotowują się do siłowej rozprawy z Solidarnością. Mimo to, kiedy w końcu doszło do nieszczęścia, zastało ono naszego Japończyka w okolicznościach mało heroicznych. Kiedy w nocy z 12 na 13 grudnia na ulice polskich miast wyjechały pojazdy pancerne i wymaszerowało wojsko, a smutni panowie i ZOMO-wcy zaczęli wywlekać działaczy opozycji z domów, u Umedy w najlepsze trwało przyjęcie urodzinowe pani Agnieszki. Wieści o wprowadzeniu stanu wojennego przyniósł świętującym Tomasz Jastrun, który cudem uniknąwszy internowania (wychodząc z mieszkania, minął się z idącymi po niego funkcjonariuszami), krążył oszołomiony po Warszawie. Pisarz, jak sam wspominał, wpadł z hiobową informacją do mieszkania Japończyka, gdzie bawiono się tak hucznie, że kilka osób na skutek wypitego alkoholu już nie do końca kontaktowało. Wśród zmęczonych imprezą był i sam gospodarz, którego poeta wyrwał z drzemki. Oszołomiony Umeda wyjął notes z numerami przyjaciół ze związku i ruszył z Jastrunem do budki telefonicznej, by ich zaalarmować. Plan spalił na panewce, bo telefony były odcięte.

Przyjaciele Umedy zostali internowani lub krążyli po kraju, ukrywając się po prywatnych mieszkaniach i plebaniach. Japończyka przed uwięzieniem ocaliło obywatelstwo Kraju Kwitnącej Wiśni – aresztowanie cudzoziemca zakończyłoby się międzynarodowym skandalem. Zamiast tego milicjanci dzień w dzień zabierali go z domu na przesłuchania. Yoshiho, obawiając się najgorszego, brał ze sobą torby z ciepłą bielizną i ubraniami. Okazał się twardym orzechem do zgryzienia dla przesłuchujących go funkcjonariuszy. Nie dość, że nie chciał współpracować, to oskarżał ich o to, że nie są Polakami. Ten ostatni zarzut w ustach Japończyka byłby nawet komiczny, gdyby nie to, że sytuacja miała wszelkie cechy tragedii. Niemogący poradzić sobie z krnąbrnym Azjatą komuniści postanowili się go w końcu pozbyć, w roku 1982 wręczyli mu tzw. wizę administracyjną i kazali opuścić Polskę w ciągu dwóch tygodni. Żonie oraz dzieciom nie pozwolono jechać z naszym bohaterem i musiał zostawić ich nad Wisłą.

Przymusowe wygnanie z ukochanego kraju trwało do roku 1987. W tym czasie Umeda przebywał w Japonii, Belgii i we Francji, aktywnie działając w zagranicznych strukturach Solidarności. Po pewnym czasie na krótko dołączyła do niego rodzina. On sam robił zaś wszystko, by wspomagać polską opozycję w walce z komuną, a na życie zarabiał, pracując jako pilot japońskich wycieczek zwiedzających Egipt i Europę. W tym okresie przeszedł też na katolicyzm, jego ojcem chrzestnym został Lech Wałęsa, który z wiadomych powodów na uroczystościach chrztu mógł przebywać jedynie duchem.

W roku 1987 Umeda dostał pierwszą od lat polską wizę, lecz przkroczyć bramek na lotnisku mu nie pozwolono. Później władze PRL udzieliły mu zgody na krótki kolejny przyjazd, aż w końcu po obradach Okrągłego Stołu udało się zalegalizować jego pobyt w Polsce. To już jednak była inna Polska niż ta, którą zostawił przed laty, kraj leżał w ruinie, a władza nad nim wymykała się komunistom z rąk. W końcu nadszedł 4 czerwca 1989 r. i wybory kontraktowe zakończone miażdżącym zwycięstwem Solidarności. W organizacji kampanii wyborczej poprzedzającej tę wiktorię nasz bohater brał czynny udział.

W WOLNEJ POLSCE

III Rzeczpospolita rozczarowała Umedę. Przyjaciele umoczyli się w politykę, poszli na kompromisy z niedawnymi wrogami i podzielili się na wzajemnie oskarżające się o zdradę obozy. Yoshiho kompletnie nie nadawał się do polskiej polityki. Przez kilka lat nie mógł sobie znaleźć miejsca w wolnej Polsce, którą pomagał stworzyć. W końcu postanowił zająć się biznesem – wybrał energetykę i zaczął promować nowoczesne technologie energetyczne, szybko zyskując autorytet w tej dziedzinie.

Nowa rzeczywistość podobnie jak ustrój miniony również obfitowała w absurdy. W 2001 r., w czasie procesu ZOMO-wców odpowiedzialnych za masakrę w kopalni Wujek, jednym ze świadków był wspomniany już przeze mnie Jaworski, który pracując jako agent Solidarności w strukturach milicji, przeprowadził w stanie wojennym prywatne śledztwo w sprawie śmierci górników. Jego opowieść o tzw. raporcie taterników była tak nieprawdopodobna, że reporter „Gazety Wyborczej" – Tomasz Tosza – podważył jej wiarygodność w artykule pt. „Wtyczka". Argumentem przytaczanym przez autora, mającym być koronnym dowodem na fałszywość całej historii, miał być fragment zeznania Jaworskiego na temat działającego w Solidarności Japończyka, który w roku 1981 był jego kontaktem. Tosza oskarżył byłego milicjanta o konfabulację, twierdząc, że związany z opozycją syn Kraju Kwitnącej Wiśni jest wyłącznie wykwitem bujnej wyobraźni taternika. Przeczytawszy artykuł, rozłoszczony Umeda zadzwonił do autora i grzecznie, acz stanowczo poinformował go, że pomimo jego obiekcji jest całkowicie realną osobą. Według jego własnych słów, słysząc to, reporter spadł z krzesła.

Niestety, lata szaleńczej aktywności odbiły się ujemnie na zdrowiu naszego bohatera, które z upływem lat podupadało coraz bardziej. 4 maja 2012 r. zmarł, pogrążając rodzinę i przyjaciół w żałobie. Dający z siebie przez całe życie 200 proc. Umeda za swą aktywność zapłacił najwyższą cenę – podobnie jak jego ojciec odszedł w stosunkowo młodym wieku 63 lat. Pochowany został na Powązkach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b277a8c4d

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

RELACJA KOBIETY, KTÓRA OCALAŁA Z LUDOBÓJSTWA NA WOŁYNIU!

Piotr Zychowicz – **Zapomniani polscy bohaterowie**
Dyskusja o Wołyniu – **Ewa Siemaszko vs. Wołodymyr Wjatrowycz**
Mark Lijek – **Jak uciekłem irańskim ajatollahom**
Sławomir Cenckiewicz – **Szokujące dokumenty LWP**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Jak Hitler ograł Becka**
James Reasoner – **Krwawe pojedynki rewolwerowców**
Rafał Węgrzyniak – **Żyd oskarżony o kolaborację**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 5b277a8c4d

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Podniebne pojedynki

Masa sowieckich samolotów była po prostu zbyt duża, żebyśmy mogli zestrzelić je wszystkie". Te słowa Waltera Schucka, jednego z asów myśliwskich Luftwaffe, świetnie oddają realia walk powietrznych na froncie wschodnim. Niemieccy lotnicy górowali tam nad Sowietami w sposób totalny.

Dysponowali lepszymi maszynami. Posiadali lepszą motywację i wyższe umiejętności. Bolszewicy posiadali jedynie przewagę liczebną. Wystarczy powiedzieć, że Schuck miał na koncie… 206 zestrzeleń (choć nie wszystkie na froncie wschodnim)!

„Położyłem mojego Bf 109 na plecy – pisze we wspomnieniach niemiecki pilot. – Pociągnąłem drążek całkowicie do brzucha, spadając z góry na pełnym gazie na Szturmownika. Moje pociski eksplodowały w jego kabinie, a kiedy spadał w dół, wciągnąłem mój samolot w lot »krawędzią noża«. Potem go wyrównałem i wślizgnąłem za innego Iła na pozycję do strzału. Po krótkiej serii w chłodnicę Iliuszyna ogarnęły płomienie i spadł, dymiąc mocno".

Nawet gdy sowieciarze dysponowali samolotami dostarczonymi im przez anglosaskich sojuszników, Schuck radził sobie z nimi bardzo dobrze.

„Byłem jakieś 30 metrów z tyłu za Spitfire'em – wspomina Schuck – a potem wszystko przebiegło niemal automatycznie. Kiedy nacisnąłem na spust broni pokładowej, było niemal tak jak na ćwiczeniach w strzelaniu. Mimo to zdało mi się wiecznością, zanim pociski wryły się w silnik i kadłub Spitfire'a. Kiedy duże kawałki blachy, odrywając się groźnie, wirowały wokół mojego samolotu, musiałem się odsunąć. Ze spadającego samolotu wynurzył się biały punkt. Był to spadochron pilota. Resztki Spitfire'a roztrzaskały się w tundrze".

Z wielkim zainteresowaniem czytam wspomnienia asów myśliwskich. Polskich, niemieckich czy alianckich pilotów, którzy walczyli podczas II wojny światowej. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej dramatycznego niż podniebny pojedynek. Człowiek przeciw człowiekowi. Maszyna przeciw maszynie. Wszystko przy zawrotnej prędkości, na wysokości kilku tysięcy metrów. Szalone manewry, serie z karabinów maszynowych, pulsująca w żyłach adrenalina. Wolę takie wspomnienia od dziesięciu książek sensacyjnych.

Książka Waltera Schucka jest o tyle ciekawa, że autor walczył na mało znanym teatrze wojny. Czyli nad Oceanem Lodowatym. Schuck wraz z kolegami starał się zdezorganizować sowiecki transport lotniczy, który zaopatrywał w sprzęt Armię Czerwoną. Na ogół robił to bardzo skutecznie. ©℗

★★★★★★
WALTER SCHUCK „ZESTRZELONY!" REPLIKA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Lwowski ratusz

Przygodę ze Lwowem najlepiej rozpocząć na rynku miejskim, czyli w samym sercu dawnego miasta. Plac o niemal kwadratowym kształcie wydaje się zdominowany przez ciężką bryłę ratusza o dość dyskusyjnej urodzie. Klasycystyczny gmach kojarzy się raczej z zabudową koszarową, jednak jego zaletą jest panorama miasta z tarasu widokowego usytuowanego na wysokości 65 metrów. Piękniejszy widok Lwowa rozciąga się chyba tylko z Kopca Unii Lubelskiej.

Nowy budynek ratusza został wybudowany w latach 1827–1835

Wielka jednak szkoda, że nie zachował się poprzedni gmach magistratu, którego dzieje sięgały XIV w. Ten wielokrotnie przebudowywany budynek należał do najciekawszych architektonicznie obiektów w mieście, a dumni z niego lwowiacy nazywali go pałacem pretoriańskim.

Niestety, kryzys Rzeczypospolitej w XVIII w. odbił się na losach ratusza, a na początku kolejnego stulecia postanowiono wreszcie uporządkować jego sytuację. Zaniedbany i zrujnowany gmach miał zostać zburzony, a na jego miejscu planowano wzniesienie nowego. Rozpatrywano różne projekty, których wspólną cechą było wkomponowanie starej wieży w nowy budynek. Nie zwracając uwagi na jej fatalny stan techniczny, uznano, że jest ona symbolem Lwowa od stuleci wtopionym w panoramę miasta. Ostatecznie zatwierdzono projekt Józefa Markla i Franciszka Treschera oraz wyznaczono termin rozpoczęcia prac. 14 lipca 1826 r. obaj architekci oraz dyrektor miejskiego zarządu budowlanego Nimstetter podpisali dokument potwierdzający dobry stan techniczny wieży, po czym udali się na jej inspekcję. W trakcie oględzin, które miały potwierdzić bezpieczeństwo budowli... wieża się zawaliła. Członkowie komisji uszli z życiem, jednak katastrofa spowodowała śmierć ośmiu osób, wśród których byli robotnicy, żołnierze, miejski trębacz oraz jego córka.

Nowy budynek ratusza został wybudowany w latach 1827–1835, niebawem jednak został poważnie uszkodzony podczas wydarzeń Wiosny Ludów. Odnowiono go trzy lata później i w niemal niezmienionym stanie przetrwał do dnia dzisiejszego. Zawsze byli jego przeciwnicy, ale nigdy też nie brakowało obrońców budowli. Wielbiciele gmachu wysławiali harmonię całości, jednolitość bryły, oszczędną i racjonalną architekturę. Rodowitym lwowiakom gmach na ogół się podobał. A może po prostu darzyli go uczuciem, jako coś oczywistego i znanego od urodzenia – coś, bez czego nie mogli sobie wyobrazić rodzinnego miasta? ©℗

eprasa.pl 5b277a8c4d

Niedziela 12:00

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 5b277a8c4d

Ocaleni

Jacek Przybylski

Zdążyli w ostatniej chwili. Po dwóch tygodniach morderczej akcji ratownicy ocalili wszystkich, którzy przez 17 dni byli uwięzieni w zalanej wodą jaskini w Tajlandii. Taki rezultat to prawdziwy cud

Sobota 23 czerwca. 12 nastolatków z drużyny piłkarskiej Dzikie Dziki wchodzi do jaskini Tham Luang Nang Non na północy Tajlandii. Prawdopodobnie chłopcy w wieku 11–15 lat na ten koszmarnie niebezpieczny pomysł wpadli sami, bez wiedzy 25-letniego trenera. Ekaphol Chantawon w poszukiwaniu podopiecznych również wchodzi w głąb długiej na ponad 7 km jaskini. Nagle spada ogromna ulewa. Zbierająca się w błyskawicznym tempie woda zalewa dużą część jaskini i odcina grupie drogę ucieczki.

25 czerwca. Po śladach rąk i nóg wiodących do jaskini podążają za dziećmi nurkowie-ratownicy. Ulewny deszcz wciąż pada, przez co poziom wody jeszcze się podnosi. Ratownicy wierzą, że grupa została zmuszona do szukania schronienia głębiej. Przed wejściem do tunelu powstają prowizoryczne świątynie, aby rodzice mogli się modlić i składać ofiary za ocalenie ich pociech.

30 czerwca. W jaskini działają już pompy do odprowadzania wody. Ratownicy przeprowadzają ćwiczenia, mające umożliwić bezpieczną ewakuację dzieci w przypadku, gdyby udało się odnaleźć je żywe.

2 lipca. Dziesiątego dnia akcji, w której uczestniczy ponad tysiąc osób, w tym brytyjscy i amerykańscy nurkowie, a także eksperci z Chin oraz Japonii, ratownicy ustalają miejsce pobytu 13 zaginionych. Chłopcy i ich trener znaleźli schronienie na małej, suchej półce skalnej niemal 4 km od głównego wejścia. Rząd ostrzega wówczas, że ich uwolnienie może potrwać nawet kilka miesięcy, ponieważ pora deszczowa w Tajlandii kończy się dopiero w październiku i dopiero wtedy możliwe byłoby całkowite wypompowanie wody.

Inny sposób ewakuacji wydaje się niemożliwy, ponieważ droga do wyjścia prowadzi przez pełną uskoków oraz wąskich krętych korytarzy, zalaną wodą ciemną jaskinię. Rządowy plan zakłada więc przygotowanie dla uwięzionych racji żywnościowych na co najmniej cztery miesiące, a także podłączenie specjalnego telefonu, który pozwalałby rodzicom na prowadzenie rozmów z dziećmi. Ratownicy planują również uczyć chłopców nurkowania.

MISJA EKSTREMALNA

Po przebadaniu zaginionych okazuje się jednak, że nie można czekać na lepszą pogodę. Już po 10 dniach w jaskiniach chłopcy mieli bowiem problemy z oddychaniem – u niektórych podejrzewano zapalenie płuc. Byli osłabieni i wygłodzeni. Wzrastający poziom wody zmniejszył

eprasa.pl 5b277a8c4d

12 chłopców i ich 25-letni trener znaleźli schronienie przed wodą na półce skalnej, niemal 4 km od głównego wejścia FOT. AP/EAST NEWS

zaś poziom tlenu w powietrzu w miejscu, gdzie schronili się młodzi piłkarze, z 21 do 15 proc.

Największy problem z ewakuacją polegał na tym, że dzieci, które pochodzą z górskich rejonów kraju, nie potrafiły pływać. Tymczasem, aby wydostać się z pułapki, trzeba było pokonać kilka zalanych odcinków. Nurkowanie jaskiniowe to zaś najtrudniejsza i najbardziej wymagająca forma nurkowania. Aby móc przystąpić do szkolenia, dorośli śmiałkowie muszą najpierw zdobyć doświadczenie w środowisku otwartym – i to doświadczenie polegające na wcześniejszym wykonaniu co najmniej 50, a najczęściej nawet kilkuset nurkowań.

W nurkowaniu jaskiniowym czynnikiem ryzyka jest nie tylko brak możliwości bezpośredniego wynurzenia się na powierzchnię. Woda w jaskini jest tak zamulona, że przypomina kawę, pod ziemią panują egipskie ciemności, a przejścia w kompleksie jaskiń są niezwykle wąskie, co stwarza ryzyko wpadnięcia w panikę. Dodatkowo ostre jak brzytwy krawędzie zwiększają możliwość uszkodzenia sprzętu. Dla niedoświadczonego śmiałka pokonanie takiej trasy jest praktycznie niemożliwe. A już na pewno czegoś takiego nigdy wcześniej nie robiły dzieci. Uratowanie w ten sposób całej grupy chłopców można więc uznać za cud. Dla ułatwienia ewakuacji nurkowie do sklepienia jaskini przytwierdzają więc linę. W korytarzach umieszczają też zapasowe butle ze sprężonym powietrzem i inny przydatny do nurkowania sprzęt. Do chłopców dopływają lekarze, którzy sprawdzają stan zdrowia dzieci i uczą ich oddychania w akwalungach.

6 lipca. Trwa mordercza walka z czasem. Podczas misji polegającej na rozmieszczeniu wzdłuż korytarzy butli z tlenem ginie jeden z nurków – 38-letni Saman Kunan. Najprawdopodobniej przyczyną tragedii było to, że dawnemu członkowi jednostki podwodnych komandosów – który na ochotnika zgłosił się do operacji ratunkowej – już podczas drogi ku wyjściu skończyło się powietrze w jego własnej butli, ponieważ zbyt duży jego zapas pozostawił ratowanym chłopcom. Mężczyzna stracił przytomność. I choć szybko wyciągnięto go z jaskini, to niestety nie udało się go uratować.

7 lipca. Z półtorakilometrowego odcinka prowadzącego od wejścia do komory trzeciej udało się wypompować wodę. Dzięki temu uwięzieni w jaskini musieli przepłynąć „jedynie" 1,7 km.

8 lipca. Rozpoczęcie ostatniej fazy akcji ratunkowej. Każdy z chłopców otrzymuje maskę do nurkowania, mokry skafander, płetwy oraz kask. Aby nastolatki się nie zgubiły, przepływając w ciemności w ciągu jaskiniowych korytarzy, każdemu ratowanemu towarzyszyło aż dwóch profesjonalnych nurków, którym droga w tę i z powrotem – już z dzieckiem – zajmowała w sumie od kilku do ok. 10 godzin. Pierwszy z pary nurków wskazywał ratowanemu chłopcu drogę za sobą za pomocą 8-milimetrowej liny statycznej, profesjonalny nurek trzymał też w ręku butlę z powietrzem dla dziecka. Tego dnia z jaskini uratowano czterech najsilniejszych chłopców. Kolejnych czterech Dzikich Dzików zostało ocalonych 9 lipca.

10 lipca. Ostatni z 12 chłopców dotarł do szpitala. Po 17 nocach w jaskini skończył się dramat młodych piłkarzy i ich trenera. Całą trzynastkę ocalono w ostatniej chwili. Jak bowiem podał brytyjski „Guardian", niedługo po tym, jak z jaskini wyniesiono na noszach ostatnich chłopców i ich trenera, doszło do potężnej awarii pomp, przez co w trzeciej komorze – gdzie zlokalizowana była baza nurków – błyskawicznie wzrósł poziom wody.

Rodzice ocalonych nie mogli od razu wziąć ich w ramiona. Lekarze zdecydowali bowiem, że aby uniknąć ryzyka infekcji – zwłaszcza zarażenia przenoszonym przez nietoperze wirusem Nipah – przez co najmniej tydzień muszą pozostać w izolatkach. Rodzice i dzieci mogą się oglądać tylko przez szybę. Odważni ratownicy słowa ogromnej pochwały usłyszeli nie tylko od rodzin, lecz także od prezydenta USA Donalda Trumpa, brytyjskiej premier Theresy May czy kanclerz Niemiec Angeli Merkel.

Uratowany trener chłopców został zaś narodowym bohaterem Tajlandii – okazało się bowiem, że oddawał dzieciom całe swoje jedzenie. Ekaphol Chantawon już wcześniej uciekł śmierci. Jako 10-latek przeżył panującą w wiosce epidemię. Stracił jednak wtedy oboje rodziców oraz brata. Wychowywany przez mnichów w buddyjskiej świątyni przez wielu obserwatorów dramatu postrzegany był jako symbol boskiej siły, która ma ochronić chłopców. Trener został sławny nie tylko w Tajlandii i może już przebierać w ofertach pracy od takich klubów jak: Manchester United czy Benfica Lizbona.

NA RATUNEK JESSICE

Nie pierwszy raz akcję ratunkową niemalże na żywo śledził przed telewizorami praktycznie cały świat. W 1987 r., gdy telewizje informacyjne stawiały dopiero pierwsze kroki, zaczął się dramat rodziców 18-miesięcznej Amerykanki. 14 października Jessica McClure wraz z innymi dziećmi pod okiem mamy Cissy bawi się na podwórku ciotki w Teksasie. Gdy dzwoni telefon Cissy, idzie go odebrać. Po powrocie odkrywa, że dziewczynka wpadła do wąskiej rury, będącej wylotem nieczynnej od lat siedmiometrowej studni. Rozpoczyna się dramatyczna i ekstremalnie trudna walka o jej uratowanie, którą na pierwszych stronach opisują gazety na całym świecie. Ekipy ratunkowe zaczęły pompować do studni tlen, jednocześnie próbując utrzymywać kontakt z maluchem.

eprasa.pl 5b277a8c4d

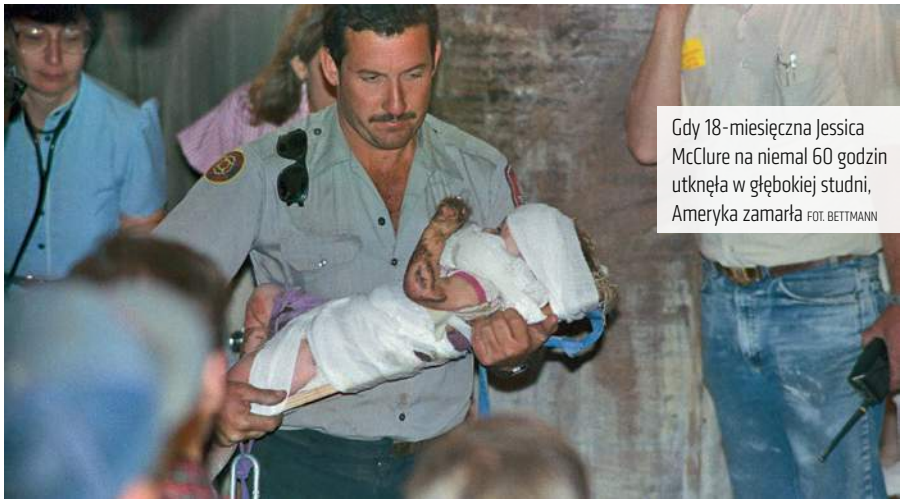

Gdy 18-miesięczna Jessica McClure na niemal 60 godzin utknęła w głębokiej studni, Ameryka zamarła FOT. BETTMANN

Gdy za pomocą maszyny wykorzystywanej normalnie do stawiania słupów telefonicznych ratownicy wydrążyli najpierw równolegle do studni dziurę o szerokości 76 cm i 9 m głębokości, a następnie zaczęli ostrożnie wiercić prostopadły tunel, Ameryka zamarła… Dopiero 58 godzin po rozpoczęciu transmitowanej na żywo przez CNN akcji ratowniczej udało się wydobyć dziewczynkę, która – mimo braku jedzenia i dostępu do wody – cały czas żyła. Po ponad 15 operacjach udało się jej przywrócić zdrowie. Z powodu gangreny lekarze musieli jednak amputować paluszki u stopy dziewczynki, na jej ciele zostało też wiele blizn. Jessica nagle stała się najbardziej znanym dzieckiem w USA. Jej rodzina została wprost zasypana kwiatami, zabawkami oraz pieniędzmi. Jej cudowne ocalenie stało się tematem wielu programów telewizyjnych oraz filmów, a fotograf, który uwiecznił moment jej ocalenia, dostał Nagrodę Pulitzera. Gdy dorosła, rozpoczęła pracę jako pomocnik nauczyciela wychowania specjalnego i wraz z rodziną zamieszkała w domu kupionym za pieniądze z wartego ok. 800 tys. dol. funduszu powierniczego utworzonego przez ludzi z całego świata.

GDY NADZIEJA UMARŁA

Tematem katastroficznego filmu „Na ratunek" były z kolei wydarzenia z lata 1997 r. Stuart Diver wybrał się wówczas na letnią wyprawę na australijską górę Thredbo. Wraz z kilkudziesięcioma osobami został zasypany przez potężną lawinę. Dźwięk przesuwającej się w dół potężnej masy przypominał eksplozję. Potem na chwilę zapadła złowroga cisza, którą przeszył odgłos syren alarmowych. Co prawda na ratunek natychmiast ruszyła specjalna ekipa poszukiwawcza, ale ratownicy znajdowali tylko martwe ciała. W końcu dowódcy uznali, że akcja prowadzona w niezwykle trudnych warunkach pogodowych w temperaturze poniżej zera jest skazana na porażkę. Po 60 godzinach wymęczeni fizycznie i psychicznie ratownicy postanowili, że czas przestać kopać dalej. Wtedy nagle zaczęło im się wydawać, że wyczuli jakiś ruch. Wykopali głęboki dół, w który opuścili sprzęt. – Tu ekipa ratunkowa. Czy ktokolwiek mnie słyszy? – zapytał jeden z ratowników. – Tak, słyszę – odpowiedział Stuart Divera, któremu udało się ukryć w skalnej szczelinie. I który z pułapki wydostał się dopiero po 65 godzinach. Niestety, jego żona – Sally – była jedną z 18 śmiertelnych ofiar lawiny. Stuart Diver znalazł co prawda znowu miłość i w 2002 r. ponownie się ożenił, ale potem znów pogrążył się w żałobie. Jego druga żona zmarła na raka w marcu 2015 r. Mężczyzna radzi więc w wywiadach, by zamiast siedzieć i zastanawiać się, jak biednym się jest, jak najszybciej podjąć decyzję: zamierzam żyć. Po jej podjęciu całym światem Divera stała się malutka córeczka Alessia, której przyjście na świat można uznać za cud. W związku z chemioterapią jego żony lekarze przestrzegali bowiem, że poród w takim stanie zdrowia jest po prostu niemożliwy.

NA DNIE ATLANTYKU

Nikogo żywego nie spodziewali się też znaleźć ratownicy, którzy pod koniec maja 2013 r. wyruszyli do akcji ponad dwie doby po katastrofie holownika u wybrzeży Nigerii. Można więc sobie tylko wyobrazić przerażenie nurka, który penetrując wnętrza spoczywającego w koszmarnych ciemnościach na głębokości 30 m pod powierzchnią statku, poza zwłokami członków załogi natrafił na rękę, która nagle się poruszyła. Okazało się, że 29-letni kucharz przeżył na dnie Atlantyku, ponieważ statek tonął tak szybko, iż wewnątrz pozostał niewielki bąbel powietrza – w nim zaś schronił się do pasa zanurzony w wodzie Harrison Okene, który gdy usłyszał, że coś pływa po statku, bał się, że zaraz w jego kajucie pojawi się rekin albo wielka barakuda. Na szczęście była to ekipa nurków. 30 minut później wygłodzony, zmęczony i zziębnięty kucharz był już na powierzchni. Sam uratowany nie miał wątpliwości, że życie zawdzięcza boskiej interwencji. – Modliłem się chyba ze sto razy. Gdy byłem zmęczony, wzywałem imię Boga, błagałem go o boską interwencję i powtarzałem ciągle Psalm 143: „Przez wzgląd na Twoje imię, Panie, zachowaj mnie przy życiu" – opowiadał dziennikarzom.

Bóg zaoszczędził też dużo stresu żonie marynarza. Akpos dzień przed wypadkiem straciła telefon komórkowy. Rodzina nie chciała jej zaś zbyt wcześnie denerwować. O tragicznym wypadku na morzu dowiedziała się więc niedługo przed tym, jak jej mąż został odnaleziony.

OŻYŁ I WYGRAŁ

O największym szczęściu mógł mówić jednak Australijczyk Bill Morgan. Kierowca ciężarówki, który podczas jazdy dostał ataku serca, został cudem wyciągnięty z rozbitego wozu i przewieziony do szpitala. Przez ponad 14 minut pozostawał w stanie śmierci klinicznej. Po reanimacji zapadł w śpiączkę. Lekarze radzili wówczas jego rodzinie, aby podjęli decyzję o odłączeniu aparatury wspierającej życie. Najbliżsi Billa Morgana odmówili i po 12 dniach kierowca odzyskał przytomność. Po wyjściu ze szpitala mężczyzna postanowił więc kupić na loterii los-zdrapkę i wygrał… samochód wart kilkadziesiąt tysięcy złotych. Rok później oświadczył się dziewczynie Lisie Wells, którą poprosił też, aby towarzyszyła mu podczas nagrania telewizyjnego reportażu o nim. Podczas nagrania kierowca ciężarówki miał udawać, że zdrapuje los. Bill Morgan kupił więc nową zdrapkę i przy włączonej kamerze wygrał 170 tys. dol. Postanowił wówczas, że kończy ze zdrapkami, z czym zgodzili się jego najbliżsi. – Mam tylko nadzieję, że nie wykorzystał jeszcze wszystkich swoich pokładów szczęścia – opowiadała w CNN ówczesna narzeczona wyjątkowo szczęśliwego kierowcy ciężarówki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b277a8c4d

FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

Bez powrotu?

Olivier Bault

Europa ma problem z nielegalnymi imigrantami również dlatego, że nie chcą ich z powrotem ich własne kraje. Jak rozwiązać ten problem?

Wśród czynników przyciągających nielegalnych imigrantów do Europy zwłaszcza jeden ma ogromne znaczenie – o czym zachodnioeuropejscy liderzy polityczni niechętnie mówią, ale o czym można czytać od lat w corocznych raportach „Analizy ryzyka" Europejskiej Agencji Straży Granicznej i Przybrzeżnej Frontex. I tak w raporcie „Risk Analysis for 2018" czytamy: „Podobnie jak w poprzednich latach, w 2017 r. prawie wszyscy migranci, z którymi przeprowadzono wywiady, twierdzili, że mają przyjaciół lub rodzinę, którzy już są na terenie Unii Europejskiej. To pokazuje, jak dużą rolę czynnika przyciągającego dla potencjalnych migrantów z danego kraju odgrywają diaspory już osiedlone w Unii. W 2016 r. Włochy były najczęściej wymienianym

eprasa.pl 5b277a8c4d

krajem docelowym – przed Niemcami, Francją, Hiszpanią i Wielką Brytanią. W 2017 r. Włochy, Francja, Niemcy, Hiszpania, Grecja i Wielka Brytania były na czele listy". Stąd też wybór bardzo niebezpiecznej drogi środkowego Morza Śródziemnego, wiodącej przez ogarniętą wojną Libię, preferowanej do niedawna przez większość imigrantów z Afryki, zamiast dużo bezpieczniejszej drogi zachodniego Morza Śródziemnego przez Maroko. U celu pierwszej drogi były Włochy, co do których imigranci mieli niemal pewność, że raczej nie zostaną wydaleni, a na końcu drugiej drogi była Hiszpania, która dzięki umowom dwustronnym z krajami pochodzenia imigrantów do niedawna niezwykle skutecznie – na tle innych krajów Europy Zachodniej – odsyłała nielegalnych imigrantów do krajów ich pochodzenia. Poza tym, w przeciwieństwie do Włoch, w Hiszpanii imigranci czekający na deportację do swojego kraju byli trzymani w ośrodkach zamkniętych. We Włoszech dopiero ma się to zmienić zgodnie z obietnicą nowej koalicji rządowej stworzonej przez „populistów" z Ligi i Ruchu Pięciu Gwiazd.

ODPYCHANIE

Na granicy między Ceutą i Melillą – hiszpańskimi enklawami w Afryce Północnej – a Marokiem Hiszpanie praktykowali także to samo co dzisiaj Węgry – tzw. wydalenia migrantów na gorąco. Oznacza to, że osoba, która zostaje przyłapana tuż po przekroczeniu granicy, jest natychmiast odsyłana na stronę marokańską, bez możliwości złożenia wniosku o azyl. Taka polityka przypomina tę, która została wdrożona od lipca 2017 r. przez Włochy we współpracy z libijskim rządem w Trypolisie. Celem tej polityki jest bowiem, aby w strefie 100 mil morskich od libijskiego wybrzeża mogła interweniować wyłącznie libijska straż przybrzeżna, która to straż „ratowanych" migrantów sprowadza z powrotem na libijski ląd. Tryb wydalenia na gorąco może się jednak wkrótce w Hiszpanii skończyć. Parę miesięcy temu Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu stwierdził, że Hiszpania, praktykując takie rozwiązania, łamie prawa człowieka, i nakazał rządowi w Madrycie wypłacić po 10 tys. euro dwóm Afrykańczykom wydalonym w 2014 r., tuż po udanej próbie nielegalnego przekroczenia granicy. Nowy rząd socjalisty Pedro Sáncheza zapowiedział w czerwcu, że rozważa wycofanie apelacji od tego wyroku wniesionej przez poprzedni rząd centroprawicowy i położenie kresu wydaleniom na gorąco. Jednocześnie ośrodki zamknięte dla nielegalnych imigrantów są już w Hiszpanii przepełnione, a zatem coraz więcej tych ludzi trzeba wypuścić na wolność.

Dlatego też na spotkaniu unijnych ministrów spraw wewnętrznych na początku czerwca przedstawiciel Belgii Theo Francken stwierdził, że trzeba jakoś omijać interpretację artykułu 3 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka wydaną w 2012 r. przez Europejski Trybunał Praw Człowieka. Tak aby można było jak dawniej odsyłać imigrantów na bieżąco na zasadzie „push-back", czyli odpychania.

Jaki to może mieć efekt, bardzo wyraźnie widać na przykładzie zaostrzenia polityki włoskiej oraz poluzowania polityki hiszpańskiej. Według statystyki Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji we Włoszech między 1 stycznia a 4 lipca ubiegłego roku zarejestrowano 85 137 nowych nielegalnych imigrantów, którzy przybyli drogą środkowego Morza Śródziemnego, a w analogicznym okresie tego roku już „tylko" 16 707. W Hiszpanii panuje odwrotna tendencja: 6513 osób przybyło drogą morską przez Gibraltar w pierwszym półroczu 2017 r., w tym roku było ich już 15 626 (te dane nie obejmują granic lądowych z Marokiem, przez które przedostało się nielegalnie do Hiszpanii 3286 imigrantów w pierwszym półroczu br.). Co ciekawe, w Grecji również odnotowuje się wzrost: do 4 lipca przybyło drogą morską aż 13 828 nielegalnych imigrantów. W analogicznym okresie ubiegłego roku było ich 9290. Nic dziwnego: pomimo porozumienia między Unią Europejską a Turcją na początku roku można było odesłać tylko 16 proc. nielegalnych imigrantów. Takie dane podała w lutym odchodząca szefowa greckiego urzędu azylowego, powołując się na obowiązujące prawo, zwłaszcza europejskie.

W latach 2016–2017 w Niemczech odmówiono azylu 406 153 osobom. Wydalono tylko 49,3 tys. z nich, co oznacza, że reszta wciąż przebywa nielegalnie w Niemczech lub w innych krajach europejskich

PROBLEM JEST CORAZ POWAŻNIEJSZY

Problem dotyczy jednak nie tylko kwestii wydalania „na gorąco" i nie tylko krajów pierwszej linii, tj. Hiszpanii, Włoch i Grecji. Dylemat z odsyłaniem nielegalnych imigrantów, którym nie przysługuje prawo do azylu, dotyczy także pozostałych krajów europejskich. Według statystyki podanej w raporcie agencji Frontex kraje Unii Europejskiej wydały w 2017 r. 279 215 decyzji o deportacji nielegalnych imigrantów, a rzeczywiście odesłały 151 398 osób. Jednakże najskuteczniejsze jest przeprowadzanie deportacji imigrantów z Europy Wschodniej (głównie Rosja i Ukraina), Bałkanów (głównie Albania) oraz z obu Ameryk. Najgorzej sprawa wygląda z krajami afrykańskimi i muzułmańskimi. W przypadku krajów Afryki Zachodniej liczba imigrantów faktycznie odesłanych do kraju pochodzenia stanowi tylko od 24 do 34 proc. wszystkich decyzji o deportacji. W przypadku krajów Afryki Środkowej i Afryki Wschodniej ten stosunek deportacji do decyzji jest jeszcze mniejszy, gdyż sięga tylko 15 proc.! Jeśli zsumujemy dane dotyczące trzech krajów Afryki Północnej, niebędących krajami uważanymi za niebezpieczne, tj. Maroka, Tunezji i Algierii, to otrzymujemy za 2017 r. 39 219 decyzji o wydaleniu do kraju pochodzenia, ale tylko 13 641 rzeczywiście przeprowadzonych deportacji.

W latach 2016–2017 406 153 osoby, które wnioskowały o azyl w Niemczech, otrzymały decyzję odmowną. Wydalono tylko 49,3 tys. z nich, co oznacza, że reszta wciąż przebywa nielegalnie w Niemczech lub w innych krajach europejskich. Francja np. odnotowuje od początku 2017 r. napływ wtórnych imigrantów, którym odmówiono azylu w Niemczech. Na początku 2017 r. francuska prasa informowała o 50–100 nowych nielegalnych imigrantach przybywających codziennie z Niemiec do Paryża, co miało po części tłumaczyć tworzenie się obozów i slumsów we francuskiej stolicy. W aglomeracji paryskiej i pobliskich

eprasa.pl 5b277a8c4d

miejscowościach żyje 2,2 mln legalnych imigrantów (czyli osób, które urodziły się bez obywatelstwa francuskiego), co stanowi blisko 20 proc. ludności, ale do tej liczby trzeba dzisiaj dodać ok. 300–500 tys. imigrantów nielegalnych. Dokładnej liczby nikt nie zna. 300 tys. to liczba podana w listopadzie ub.r. przez francuskiego ministra spraw wewnętrznych.

Z kolei niemiecka prasa informowała na początku listopada o „zniknięciu" ok. 30 tys. imigrantów, którym odmówiono azylu i którzy nie zostali wydaleni. To, że Berlin nie jest w stanie odesłać większości imigrantów, którym odmówiono azylu, jest głównym powodem, dla którego kanclerz Niemiec Angela Merkel usilnie stara się o umowy dwustronne z innymi krajami Unii, przez które ci imigranci przybyli do Niemiec.

Aż dziw, że prezydent Emmanuel Macron nie stara się o to samo. W 2017 r. po raz pierwszy przekroczono we Francji liczbę 100 tys. wniosków o azyl (100 412 nowych wniosków, tj. o 17 proc. więcej niż rok wcześniej). 22 proc. z nich to wnioski osób, które wcześniej zostały zarejestrowane w innym kraju, ale którym pozwolono złożyć wniosek we Francji ze względu na zawieszenie systemu dublińskiego. Wydano w tym czasie 84 675 nakazów opuszczania terytorium Francji przez osoby, którym azylu odmówiono, ale rzeczywiście wydalono tylko ok. 14 tys. osób, wliczając w to nielegalnych imigrantów odesłanych z Gujany Francuskiej do krajów sąsiednich.

Jedną z przyczyn tego problemu jest fakt, że w większości krajów imigranci bez prawa pobytu nie są trzymani w ośrodkach zamkniętych i po prostu znikają, tak jak miało to miejsce we wspomnianym wyżej przypadku Niemiec. Podobnie jak w Niemczech w listopadzie ub.r. brytyjskie Home Office poinformowało o zniknięciu 56 tys. nielegalnych imigrantów. Zwyczajnie stracono z nimi kontakt po tym, jak poinformowano ich, że zostaną deportowani z Wielkiej Brytanii. Problemy z readmisją nielegalnych imigrantów przez ich kraje pochodzenia nie są jednak bez znaczenia.

Między 2013 a 2017 r. Włochom udało się odesłać do krajów pochodzenia tylko ok. 20 proc. imigrantów, którym nakazano opuścić terytorium kraju. Większość tych nakazów dotyczyła bowiem obywateli krajów Afryki Północnej (49 proc.) lub Afryki Subsaharyjskiej (18 proc.). Jak to funkcjonuje, można zobaczyć na przykładzie Mali, które podpisało w grudniu 2016 r. porozumienie o readmisję z Unią Europejską. Mimo że kraj ten jest całkowicie uzależniony od militarnej i gospodarczej pomocy Francji, rząd w Bamako regularnie odmawia wstępu na terytorium Mali swoim obywatelom wydalonym z Unii i transportowanym drogą lotniczą, argumentując swoje postępowanie tym, że osoby te nie posiadają żadnych dokumentów tożsamości. Oczywiście jest to stała praktyka nielegalnych imigrantów – pozbywają się wszelkich dokumentów, aby utrudnić przymusową repatriację. A władze Mali, tak jak władze innych krajów afrykańskich borykających się z problemem bardzo wysokich wskaźników urodzeń i braku dewiz, przychylnym okiem patrzą na wyjazd wielu młodych ludzi, którzy potem wysyłają pieniądze swoim rodzinom.

KRWAWE SKUTKI

Emigracja to też dla niektórych rządów dobry sposób, aby pozbyć się części niezadowolonego społeczeństwa lub najbardziej kłopotliwych osobników. Dlatego też niechętnie przyjmuje się z powrotem emigrantów, nawet gdy istnieją porozumienia o readmisję z Unią lub z poszczególnymi krajami Unii. Szczególnie głośne były sprawy dwóch Tunezyjczyków, których przez lata nie można było deportować do Tunezji z powodu obstrukcji tunezyjskich władz i którzy w końcu okazali się islamskimi terrorystami.

Pierwszy z nich to Anis Amri, autor krwawego zamachu w Berlinie. W 2011 r. przybył drogą morską do Włoch, został skazany na cztery lata więzienia za napady i zniszczenia w ośrodku, w którym przebywał. Po odbyciu kary wiosną 2015 r. Tunezyjczyk został objęty nakazem opuszczenia kraju, ale Włosi nie mogli go odesłać do Tunezji z powodu odmowy ze strony tunezyjskiego rządu. Pozwolili mu więc wyjechać do Niemiec w lipcu 2015 r. (złożył tam wniosek o azyl). Niemcy, wiedząc o jego kontaktach z Państwem Islamskim, także bezskutecznie starali się o jego odesłanie do Tunezji. Kraj ten nie chciał uznać islamisty za swojego obywatela. W końcu 19 grudnia 2016 r. islamski terrorysta porwał polską ciężarówkę, zabijając jej kierowcę, i staranował kilkadziesiąt osób na jarmarku bożonarodzeniowym w Berlinie (bilans: 12 zabitych i kilkadziesiąt rannych). Co ciekawe, choć władze w Tunezji nie chciały przez kilka lat przyznać się do swojego obywatela, już 24 grudnia 2016 r. ogłosiły, że trzy osoby związane z Anisem Amrim w Tunezji, w tym jedna osoba z jego rodziny, zostały aresztowane.

Podobna sytuacja miała miejsce w przypadku Tunezyjczyka Ahmeda Hanachiego, który 1 października 2017 r. na peronie dworca w Marsylii za pomocą noża rzeźnickiego poderżnął gardło młodej kobiecie i zabił drugą (kuzynkę pierwszej), rozpruwając jej brzuch na chwałę Allaha. Ahmed Hanachi przebywał nielegalnie na terenie Francji, a pomimo tego został dzień wcześniej wypuszczony przez policję po próbie kradzieży. Okazało się, że było to już jego siódme aresztowanie na terenie Francji od 2005 r. i że za każdym razem był z aresztu wypuszczany. Dlaczego? Ponieważ francuska policja wie doskonale, że Tunezyjczyków nie można odesłać do Tunezji z prostego powodu: gdy władze francuskie wysyłają do swoich tunezyjskich odpowiedników dokumenty wraz z odciskami palców nielegalnego imigranta, Tunezyjczycy czekają minimum 45 dni, zanim otworzą kopertę. Wiedzą dobrze, że prawo francuskie nakazuje po 45 dniach uwolnić delikwenta, i w ten sposób pozbywają się problemu. Tak postępują nawet wówczas, gdy ich obywatel ma przy sobie paszport, jak to było w przypadku Hanachiego.

Podsumowując, aby zatrzymać nielegalną imigrację do Europy, należałoby nie tylko uszczelnić granice (nigdy całkiem szczelne nie będą), lecz także systematycznie odsyłać imigrantów, którym odmówiono azylu. A żeby to zrobić, kraje Unii musiałyby przyjąć dużo bardziej zdecydowaną postawę wobec krajów pochodzenia tychże imigrantów. Można by np. wstrzymać wszelką pomoc finansową kierowaną do tych krajów, które nie przyjmują chętnie swoich obywateli z powrotem, oraz nałożyć na nie sankcje gospodarcze do czasu, aż będą bardziej skłonne do skutecznej współpracy. Należałoby też wszystkich imigrantów, którzy nie otrzymali jeszcze azylu lub którym azylu odmówiono, trzymać w ośrodkach zamkniętych do czasu udzielenia azylu lub deportacji, jak to chcą teraz robić Włochy. Problem polega jednak na tym, że na poziomie unijnym takiej woli po prostu nie ma.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b277a8c4d

FOT. FOTOLIA

ATAK NA CHRZEST

Była prezydent Irlandii (to ten kraj, w którym niedawno zmieniono konstytucję, by aborcja stała się legalna) Mary McAleese udzieliła wywiadu irlandzkim mediom, w którym wypowiedziała się na temat chrztu w Kościele. Uznała, że ten obrzęd religijny jest pogwałceniem podstawowych praw dziecka. I że czyni to z człowieka osobę „od małego żyjącą w posłuszeństwie". Pani McAleese uważa, że dziecku nie można tego narzucać, a potem od niego czegoś wymagać, „bo w rzeczywistości ono się na to nie pisało".

DZWON HITLERA ZOSTAJE W KOŚCIELE

W kościele św. Jakuba w niemieckim Herxheim am Berg wisi wielki 83-letni dzwon, na którym odlana jest swastyka i napis: „Wszystko dla ojczyzny – Adolf Hitler". W ubiegłym roku na dzwon z takim napisem zaczął narzekać miejscowy organista i w miejscowości zaczęła się burzliwa debata. Zakończyła się odwołaniem burmistrza, który w telewizyjnym wywiadzie, cytując jedną z mieszkanek, powiedział, że Hitler powinien być zapamiętany z powodu „tego, co osiągnął". Kolejny burmistrz też stwierdził, że dzwon powinien pozostać na miejscu, bo – według ekspertyz – jest oficjalnie historycznym pomnikiem. Włodarz miasta uznał nawet, że dzwon powinien dzwonić, bo tak wybrzmi „cierpienie ofiar" – zarówno żydowskich, jak i nieżydowskich.

ANTYRASIZM NIE DLA WSZYSTKICH

Studenccy aktywiści z Georgetown University w Waszyngtonie zorganizowali spotkanie, by prowadzić „społeczny dialog na rzecz rasizmu". Imprezę wsparła organizacja Georgetown United Against Police Aggression, która sprzeciwia się żądaniom konserwatywnych studentów, by wyposażyć uniwersytecką straż w broń, bo ich zdaniem uzbrojeni strażnicy zwiększą ryzyko dla kolorowych studentów, którzy „mają nieproporcjonalnie dużą liczbę interakcji z policją". W zaproszeniu na spotkanie opublikowanym na Facebooku zastrzeżono, że nie mogą na nie przyjść studenci biali – nawet jeśli solidaryzują się z kolorowymi. Bo ci drudzy będą czuć się zagrożeni.

ŚMIERĆ PO SEMINARIUM O PRZEMOCY

W japońskim mieście Fukuoka odbyło się seminarium poświęcone rozwiązywaniu personalnych sporów w Internecie. Ekspertem był tam jeden z najbardziej znanych blogerów zajmujących się cyberprzemocą – Kenichiro Okamoto. Tuż po wykładzie poszedł do toalety. I został zadźgany nożem. Podejrzanym o zbrodnię jest niejaki Hidemitsu Matsumoto, z którym Okamoto kłócił się w Internecie. Napastnik sam zgłosił się na policję. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Wściekłość i wrzask

Jak myślicie, co zdaniem włoskich mediów jest obecnie największym problemem Italii? Migracja, korupcja, bezrobocie, mafia, a może horrendalny dług publiczny? Nic z tych rzeczy. Włoską żurnalię od marca interesuje tylko jedno: klęska wyborcza i rozpad lewicowej Partii Demokratycznej. Komentarze i analizy ciągną się gęsto zadrukowanymi stronami, a gadające głowy filozofów, socjologów i politologów okupują telewizyjny ekran.

Nie przypadkiem pożyczyłem tytuł od Faulknera. Pisarz ukazał w powieści rozpad i utratę reputacji arystokratycznej rodziny. Co więcej, tak właśnie, wściekłością i wrzaskiem, włoscy postępowcy reagują na to, że naród pokazał im wyprężony środkowy palec. Przez Italię przetacza się medialny seans nienawiści. Szefa MSW Matteo Salviniego, niechętnego migracji, nazywają faszystą i rasistą, a byłego ministra kultury Daria Franceschiniego – Herodem.

Widać jak na dłoni, również dzięki żenującej stronniczości dziennikarzy, że najważniejsze włoskie media – od „Corriere della Sera" do telewizji publicznej RAI – są tubą pobitej lewicy. Słowem: naród swoje, a media swoje.

Jednak nagrodę za postępowy idiotyzm miesiąca przyznaję Facebookowi.

Z okazji amerykańskiego Dnia Niepodległości (4 lipca) teksański dziennik „Liberty County Vindicator" chciał opublikować na swojej stronie wyjątki z Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych. Nie udało się. Cenzura FB dopatrzyła się w tekście rasizmu. Poszło o „bezlitosnych, dzikich Indian, których znaną taktyką jest mordowanie ludzi bez względu na wiek, płeć i stan". Okazuje się, że Thomas Jefferson i Benjamin Franklin też pobłądzili. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 5b277a8c4d

100% polski produkt

JUŻ NIEBAWEM RUSZA

III EDYCJA KONKURSU

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

PATRONAT HONOROWY

MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII

MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

FUNDACJA FIRMY RODZINNE

PARTNERZY

ORLEN

PHN

GRUPA CEDROB

Poczta Polska

arp

LANDESKRONE

LUBOMIRSKICH

PARTNER MERYTORYCZNY

pwc

eprasa.pl 5b277a8c4d

Stefan Sękowski

PRL, czyli

Historia gospodarcza PRL nie była czarno-biała, raczej brudnoszara. Warto pamiętać o wadach wrodzonych realnego socjalizmu, by nie powtórzyć błędów, które doprowadziły do katastrofy

Rewizja czarno-białej historii gospodarczej Polski Ludowej właśnie się rozpoczęła" – pisze w artykule „Perły Peerelu" Rafał Woś („Polityka" 27/2018). Nie da się nie zauważyć. Sam Woś przedstawiał zresztą w swojej książce „To nie jest kraj dla pracowników" wywód, dlaczego PRL nie należy traktować jednoznacznie negatywnie. Jednak przecież nie jest pierwszy, bo przez lata to samo mówili działacze Sojuszu Lewicy Demokratycznej, który w jubileuszowym dla Polski roku głosi hasło: „Nie ma 100-lecia Niepodległości bez 45-lecia PRL". Że to domena starszych i średnio starszych postkomunistów? Nawet jeśli uznamy, że politolog Bartosz Rydliński, który w wywiadzie, którego udzielił „Plusowi Minusowi", stwierdził, że „nie można zapominać, że PRL miał swoje postępowe osiągnięcia", też jest postkomunistą (choć w 1989 r. miał dwa lata), bo działa w związanym z SLD Centrum im. Ignacego Daszyńskiego, to Jakub Baran z Partii Razem postkomunistą nie jest. Tymczasem w wywiadzie udzielonym portalowi Jagiellonski24.pl powiedział, że PRL „była to nasza polska, peryferyjna wersja »welfare state«, lokalna wariacja ówczesnych ogólnoświatowych trendów". Postkomunistą nie jest też piszący m.in. dla „Gazety Polskiej" Piotr Wójcik, na portalu Nowego Obywatela tłumaczący, że w 1989 r. „nie musieliśmy zaczynać od zera", zaś „patrząc z perspektywy PKB, PRL nie był wcale pasmem gospodarczych katastrof. Wręcz przeciwnie – na tle III RP wypada nie najgorzej".

Z naukowej flanki przychodzi im w sukurs Marcin Piątkowski, który niedawno wydał książkę „Poland. Europe's Growth Champion", stanowiącą w zasadzie kanwę artykułu Wosia. Temat PRL nie jest w niej najistotniejszy – jest to przede wszystkim błyskotliwie napisany i napakowany danymi statystycznymi pean na cześć III RP, w którym komunizmowi przyznaje jednak dość istotną rolę. Piątkowski uważa, że gdyby nie PRL-owski walec, nie byłoby późniejszego sukcesu. Przyszedł bowiem i wyrównał – osłabił stare elity blokujące potencjał Polaków, włączył w życie społeczno-gospodarcze rzesze osób wcześniej z niego wykluczonych, zapewnił im awans i dał narzędzia do budowania dobrobytu… po 1989 r. Niczym dżuma, „dzięki" której Europa Zachodnia zaczęła budować kapitalistyczne instytucje w przerzedzonym i zrównanym przez zarazę społeczeństwie.

Do tego, czy akurat komunizm był w tym celu nieodzowny, jeszcze wrócimy. Co osiągnął? W swoim tekście Woś, sumując „te wszystkie gospodarcze zdobycze Polski Ludowej", wymienia „wzrost scholaryzacji, migrację ze wsi do miast, wzrost średniej długości życia,

eprasa.pl 5b277a8c4d

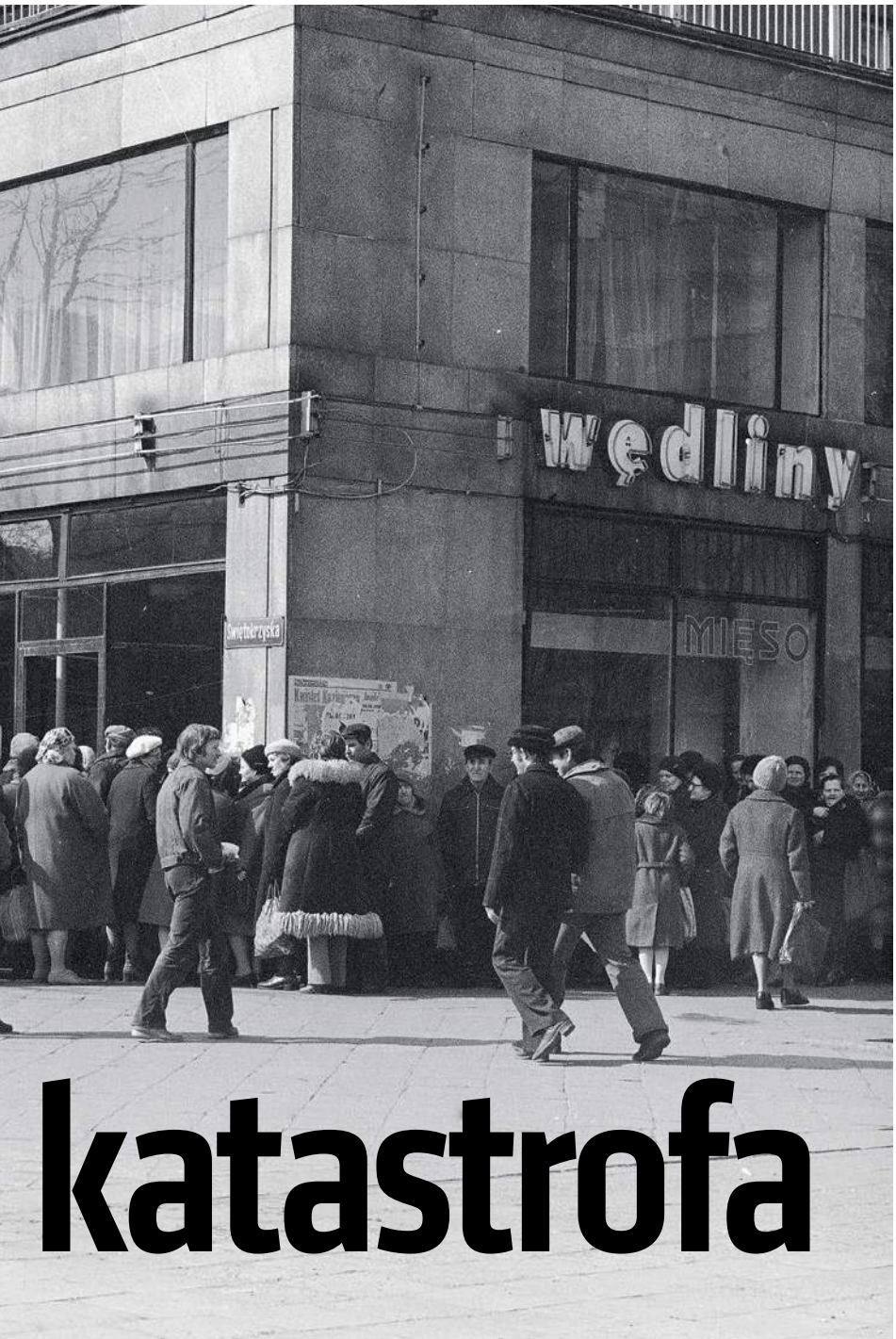

katastrofa

FOT. NAC

otwarcie nowych ścieżek awansu, spadek nierówności". To wszystko prawda. Tyle że trudno te kwestie nazwać „zdobyczami gospodarczymi" – sama lewica dostęp do edukacji czy otwarcie ścieżek awansu określa jako „zdobycze socjalne", z kolei migracje są procesem związanym z uprzemysłowieniem, samym w sobie ani dobrym, ani złym – rozwijającym się także choćby w okresie wczesnego kapitalizmu i nie wiem, czy Woś akurat te by pochwalił. Podobnie jak III RP za wzrost długości życia po 1989 r.

NA CZYM POLEGAŁ SOCJALIZM?

Joseph Schumpeter, opisując funkcjonowanie kapitalistycznej „twórczej destrukcji", pisze, że zbiór pozornych niepowodzeń w dłuższej perspektywie składać się może na ogólny postęp i sukces. W realnym socjalizmie było dokładnie odwrotnie – sukcesy tu i ówdzie zsumowały się do katastrofy. O realnym socjalizmie nie można myśleć współczesnymi kategoriami. To była zupełnie inna rzeczywistość systemowa. Dzisiaj decyzje gospodarcze podejmowane są przez poszczególne przedsiębiorstwa i konsumentów posiłkujących się przy ich podejmowaniu informacją, której dostarcza im cena kształtująca się na rynku. W PRL decyzje gospodarcze podejmowane były w siedzibie Centralnego Urzędu Planowania. Tworzył on kilkuletnie plany, które miały zostać wykonane przez „jednostki gospodarki uspołecznionej". Miały one niewiele do powiedzenia w tym zakresie. – Jednak już w latach 50. głównym problemem było przedsiębiorstwo, które nic nie przedsiębierze. To nie od niego zależały decyzje. Brało udział w „przetargu planistycznym", w ramach którego przedsiębiorstwu nie opłacało się pokazywać wszystkich swoich kart – tłumaczy w rozmowie z „Do Rzeczy" prof. Janusz Kaliński ze Szkoły Głównej Handlowej, autor książki „Gospodarka w PRL". Od tego bowiem zależało, jakie dostanie do wykonania zadania i środki: a im łatwiejsze zadania i większe środki, tym łatwiej było wykonać plan. W efekcie do centrali nie docierały prawidłowe informacje.

Z kolei sygnałami od konsumentów za bardzo się nie przejmowano. Od samego początku stawiano przede wszystkim na inwestycje. Można powiedzieć: to dobrze, w końcu lepiej wydać środki na coś, co przyniesie zwrot w przyszłości, niż je przejeść. Tyle że były to często inwestycje dla samych inwestycji. A i tu w ramach centralnego rozdzielnictwa trwała walka o zasoby, między poszczególnymi przedsiębiorstwami, branżami czy regionami. Najłatwiej było zbrojeniówce czy górnictwu, także Warszawie czy Śląskowi. Jeśli chodzi o dobra konsumpcyjne, to najlepiej zaopatrzone – oczywiście kosztem reszty kraju – było w lecie Wybrzeże, z kolei w zimie Zakopane. Najważniejsze decyzje zapadały w siedzibie PZPR – często na podstawie ideologicznej lub widzi mi się decydentów. Dobrze to widać np. na przykładzie czekolady. Jak tłumaczy prof. Kaliński, była dostępna jeszcze do lat 80., ale była znacznie droższa w stosunku do płac niż dziś, np. dziesięciokrotnie. Z czasem było coraz trudniej o surowiec, w efekcie producenci zaczęli zastępować ją „wyrobami czekoladopodobnymi". W okresie największych niedoborów

eprasa.pl 5b277a8c4d

zawijaną w „opakowanie zastępcze", bo przecież papieru także brakowało. Nie tylko zresztą na opakowania, lecz także na książki czy toaletowego.

Dlaczego niedoborów nie uzupełniał prywatny biznes? Ależ owszem, uzupełniał – często nielegalnie, bo legalna działalność była sekowana z powodów ideologicznych. A jeśli już ktoś ją prowadził, to obijał się nierzadko o wszechogarniającą reglamentację. Świetnie widać to na przykładzie mięsa. Dlaczego był taki jego niedobór, skoro zdecydowana większość hodowli była w rękach samodzielnych rolników (w PRL – na szczęście – nigdy nie doprowadzono do końca kolektywizacji rolnictwa)? Zakup pasz czy nawozów, traktorów i wszystkiego, co potrzebne do ich wyprodukowania, był reglamentowany i preferowano w tym zakresie PGR-y czy spółdzielnie rolnicze. Jako że państwo miało monopol na handel międzynarodowy, nie można było sprowadzić pasz prywatnie z zagranicy, a podejście państwa do importu zbóż było dość chwiejne. Do tego dochodziły przez pewien czas obowiązkowe dostawy czy wysokie podatki, które utrudniały chłopom funkcjonowanie.

OBLICZE KLĘSKI

Braki brały się także z tego, że wyłączono bardzo ważny element gospodarki, którym jest mechanizm cenotwórczy. Cenom nie pozwalano kształtować się swobodnie na rynku w wyniku gry popytu i podaży. To pozbawiało przedsiębiorstwa możliwości reagowania na zmiany tendencji na rynku i powodowało, że ceny były ustalane odgórnie i arbitralnie. I gdy trzeba było, podwyższano je akcyjnie, co zresztą było przyczyną kolejnych „wystąpień robotniczych", które dziś wspominamy jako bohaterskie strajki w obronie godności, podmiotowości i może nawet niepodległości. To wszystko w jakiejś mierze prawda, jednak miejmy świadomość, że to, iż w grudniu 1970 r. stoczniowcy (i nie tylko oni) zostali niemile zaskoczeni nagłą podwyżką cen wielu towarów – od mięsa przez mąkę do obuwia – czy że robotnik z WSK w Świdniku 8 lipca 1980 r. musiał zapłacić prawie dwa razy więcej za kotlet schabowy w zakładowej stołówce, brało się po prostu z wewnętrznych wad ówczesnego systemu gospodarczego. Prawdziwym obliczem realnego socjalizmu było to, że jednym z 21 postulatów strajkowych w 1980 r. było… wprowadzenie kartek na mięso i przetwory – w ramach komunistycznej logiki reglamentacja wydawała się bowiem mniej drastycznym rozwiązaniem niż podwyżki cen. Co zresztą realizowano co jakiś czas przez całą historię PRL.

Skutki tego rozgardiaszu były opłakane. Przez cały okres komunizmu wzrost produktywności pracy był niższy, a energochłonność wyższa niż w państwach zachodnich. Udział w światowym eksporcie spadł w latach 1950–1989 z 1 proc. do 0,4 proc. – dla porównania: w 2015 r. wyniósł 1,15 proc. Chociaż do lat 70. XX w. zadłużenie zagraniczne było minimalne, to od 1971 r. do 1989 r. wzrosło do 40 mld dol. – jak pisze Piątkowski w swojej książce, PRL był zresztą jedynym spośród demoludów, który zbankrutował, gdy w 1982 r. przestano obsługiwać dług zagraniczny. Przez cały ten okres rósł dystans między Polską a państwami, które startowały z podobnego poziomu – jeśli w 1950 r. w Polsce, Hiszpanii, Grecji i Portugalii PKB per capita liczone według standardu siły nabywczej wynosiło ok. 2 tys. dol., to w 1989 r. w PRL było to ok. 5 tys. dol., zaś w Grecji ok. 10 tys., Portugalii 11 tys., a w Hiszpanii 12 tys. Także „zdobycze socjalne" nie wyglądają fenomenalnie, jeśli przyznamy, że, owszem, wyszliśmy z pułapki analfabetyzmu i wzrosła przewidywalna długość życia, ale jeśli chodzi o umieralność niemowląt, nadal pozostawaliśmy w ogonie Europy. Jeśli to jest sukces gospodarczy, to boję się pytać, jak wyglądałaby klęska.

Przez cały okres komunizmu wzrost produktywności pracy był niższy, a energochłonność wyższa niż w państwach zachodnich

DAŁO SIĘ INACZEJ

Oczywiście historia gospodarcza PRL nie jest jednolita. Poczynając od agresywnej kolektywizacji za Bieruta, przez „małą stabilizację" Gomułki, socjalistyczne otwarcie na świat za Gierka, kończąc na ekonomicznym zjeździe w dół, który zaczął się pod koniec jego rządów, miał różne oblicza, ale jeden wspólny mianownik: odrzucenie rynku. Gdy więc Woś słusznie pisze, że „realny socjalizm nie wygenerował obiecanego wzrostu poziomu życia. Nie był też innowacyjny, więc nie potrafił sprostać konkurencji z kapitalistycznym otoczeniem", to ma rację – tyle że to niewiele nam mówi, jeśli nie weźmiemy pod uwagę, iż tego zwyczajnie nie mógł zrobić. Nie pomogłoby mu w tym (piszę o stronie gospodarczej – polityka to inny temat) udemokratycznienie procesu decyzyjnego, zaprzestanie prześladowania Kościoła czy uniezależnienie geopolityczne od ZSRS, bo i bez obowiązkowych kontyngentów nie byłoby lepiej. Realny socjalizm można było usprawnić tylko poprzez uwolnienie cen, uniezależnienie przedsiębiorstw przy podejmowaniu decyzji, prywatyzację, umożliwienie prowadzenia swobodnej prywatnej działalności gospodarczej, także w kontekście handlu zagranicznego. Czyli przez wszystko to, co robiono lepiej lub gorzej, począwszy od sławetnej „ustawy Wilczka" i później w latach 90. Realny socjalizm mógł usprawnić się, tylko ustępując miejsca kapitalizmowi.

Czy jednak można realny socjalizm traktować jako „dżumę XX w.", bez której nie udałoby się obalić przedwojennych struktur społecznych, które hamowały inicjatywę i możliwość tworzenia „instytucji włączających"? W jakiejś mierze tak – jednak nie znaczy to, że nie można było tego zrobić inaczej, o czym świadczy przykład innych państw, będących w latach 30. i 40. XX w. na podobnym poziomie rozwoju. Jak pisze Piątkowski, „fundamentalną przyczyną ekonomicznej słabości państw komunistycznych był wyzyskujący system instytucji politycznych i gospodarczych (wyłączając z tego inkluzywne rynki edukacyjne i pracy) powstrzymujących przedsiębiorczość, konkurencję i zachęty do osobistego bogacenia się". A i PRL, i II RP nie można traktować jako bytów przeciwstawnych, bo wbrew pozorom pod względem etatyzacji i przeregulowania bardzo siebie przypominały. Bez względu na ideologiczny sztafaż rozwiązania ograniczające wolność mają przynajmniej negatywne skutki uboczne, a bardzo często po prostu hamują rozwój gospodarczy. A to, jak owoce wzrostu później podzielimy i na co przeznaczymy część, którą uznamy za wspólną – to już zupełnie inny temat.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora think zine'u „Nowa Konfederacja".

eprasa.pl 5b277a8c4d

Tomasz Wróblewski

„Elastyczne euro" uratuje Europę?

Włochom zawdzięczamy już pizzę, pistolet, radio, autostradę i giełdę papierów wartościowych. Kto wie, czy największym wkładem w XXI w. nie będzie włoska waluta równoległa?

Dla Włochów wprowadzenie waluty równoległej byłoby dziś aktem rozpaczy. Kto wie, czy w miarę, jak wspólna waluta nie będzie przechodziła kolejnych wstrząsów, formuła nie stanie się kołem ratunkowym dla całej Europy? Dla państw, które tak jak Polska dotychczas nie przyjęły euro, może być to zaś najbezpieczniejsza droga do strefy euro.

Pomysł pojawił się na samym początku włoskiej kampanii wyborczej. Grupa ekonomistów z grupy Fiscal Money związana z partią Liga Północy zaprezentowała w styczniu pomysł emisji równoległej waluty jako innej możliwości niż wyjście ze strefy euro. Jak zachować euro, a jednocześnie zwiększyć elastyczność własnej gospodarki, tak żeby miała szanse w konfrontacji z niemiecką machiną eksportową?

Nowa waluta, a tak naprawdę krótkoterminowe instrumenty dłużne, nazwano mini-BOT od BOT, czyli skarbowego ekwiwalentu w handlu elektronicznym. Głównie wykorzystywany w transakcjach między włoskimi instytucjami i między bankami mini-BOT, według pomysłu włoskich ekonomistów, emitowany byłby w formie papierowej i w pierwszym rzędzie wykorzystywany do rozliczeń państwa z podwykonawcami, pracownikami administracji i do wypłacania zobowiązań socjalnych. Tych ostatnich Włochy mają jeszcze więcej niż Polska.

MERKEL KONTRA SCHWARZENEGGER

Z ekonomicznego punktu widzenia waluta równoległa nie stanowi rewolucji. Rynki finansowe znają podobne konstrukcje. W końcu cały XIX w. i do połowy XX w. oparte były na standardach albo złotych i srebrnych monet, albo samego złota. Tak naprawdę powszechnie używane do rozliczeń waluty były zaledwie walutami równoległymi. Włoski rząd nie jest też pierwszym rządem na świecie, który notorycznie spóźnia się z wypłatami pensji, rent czy emerytur, nie mówiąc o zaleganiu podwykonawcom. Ci, którzy przeżyli kryzys gospodarczy w XX w., pamiętają rządowe noty na obiecane wypłaty pensji. Z czasem lepszym instrumentem okazały się obligacje skarbowe. Były grecki minister finansów Yanis Varoufakis proponował wprowadzenie równoległej waluty w Grecji w 2015 r. Obok euro, w formie not IOU (jestem ci winien), w powszechnym obiegu miały funkcjonować noty dłużne z rozmaitym okresem dojrzewania w zależności od tego, czy były to noty dla emerytów, na pomoc socjalną czy zobowiązania względem firm podwykonawczych. Równowartość miała być wypłacana na okaziciela w euro. Ostatecznie system został zablokowany osobiście przez Angelę Merkel, strzegącą jak oka w głowie obecnego systemu walutowego Europy – gwaranta dynamicznego wzrostu gospodarczego Niemiec.

Dla samych Niemców temat też nie jest nowy. W przededniu zjednoczenia Niemiec Oskar Lafontaine postulował utrzymanie NRD-owskiej marki, co miało chronić wschodnioniemiecki przemysł przed wydajniejszym i bogatszym RFN. Ostatecznie rząd Niemiec zdecydował się zasypać dawne NRD pieniędzmi i po prostu sfinansować transformację z kieszeni zachodnioniemieckich podatników. Na długo przed wprowadzeniem euro w Brukseli dominował koncept europejskiej waluty funkcjonującej równolegle z narodowymi walutami. Euro, choć wtedy jeszcze się tak nie nazywało, miało stanowić punkt odniesienia dla całej ekonomii. Kto wie, czy to rozwiązanie nie uchroniłoby w 2008 r. wielu państw strefy euro przed katastrofalnym kryzysem? W 1992 r., przy okazji dyskusji o dokooptowaniu Wielkiej Brytanii do strefy euro, Bruksela proponowała, żeby euro stało się równoległą walutą dla funta. Ostatecznie Brytyjczycy w referendum zdecydowali, że chcą pozostać przy funcie i tylko przy funcie. Pomysł spodobał się natomiast gubernatorowi Arnoldowi Schwarzeneggerowi, który emitował noty IOU, jako stanową równoległą walutę, dla odzyskania płynności. Ostatecznie noty wykupiły banki, które do dziś nie odzyskały części swoich pieniędzy.

Ekonomiści emocjonalnie związani z euro uważają równoległą walutę za receptę na koniec Unii Europejskiej.

eprasa.pl 5b277a8c4d

FOT. FOTOLIA

„Financial Times" jest przekonany, że Niemcy jako pierwsi porzuciliby euro w obawie, że ich przemysł utraci przewagę konkurencyjną. Co do Niemiec trudno odmówić dziennikowi racji. Niemiecka gospodarka oparta na eksporcie technologii, w większości najbardziej zaawansowanej maszynerii, silników, rozwiązań elektronicznych, jest głównym beneficjentem euro. Wspólna waluta, która łączy nie tylko najwyżej rozwinięte gospodarki, lecz także biedniejsze i zadłużone kraje Południa, utrzymuje się na stosunkowo niskim poziomie w relacji do potencjału niemieckiej gospodarki. W rezultacie Niemcy też budują stałą przewagę w handlu, chociażby z USA. Gdyby w obiegu pojawiła się równoległa waluta, perspektywicznie nie tylko we Włoszech, ale może również w Portugalii, Grecji, na Malcie, a nawet w Polsce, euro, przynajmniej teoretycznie, mogłoby gwałtownie wzrosnąć na wartości, osłabiając konkurencyjność niemieckiego przemysłu. Euro uwolnione zostałoby od wielu zobowiązań słabszych państw i bliższe byłoby poziomowi najwyżej rozwiniętej północnej Europy.

ZEROWY WZROST

To, co mogłoby zaszkodzić Niemcom, dla niektórych państw południa Europy mogłoby być zbawieniem. Dzisiaj Włochom trudno sobie wyobrazić gorsze rozwiązanie monetarne od tego, które mają. Od czasu wejścia do strefy euro 17 lat temu tempo wzrostu gospodarki Włoch wynosi zero. W tym samym czasie gospodarka Hiszpanii rosła średnio w tempie 1,08 proc. rocznie, Francji – 0,84 proc., Niemiec – 1,25 proc., a Polski – 4 proc. A przecież w latach 1961–1980 włoska gospodarka należała do europejskich liderów, rozwijając się średnio w tempie 4,16 proc. Szybciej niż francuska czy niemiecka. Stąd mało kogo w Rzymie udaje się przekonać do błogosławieństw wspólnej waluty. Stopa bezrobocia we Włoszech wynosi dziś 11 proc., a wśród młodzieży nawet 35 proc. Dług publiczny przekroczył 133 proc. produktu krajowego brutto.

Włosi nadal uważani są za liderów jakości i designu. Brylują, jeżeli chodzi o przemysł spożywczy, winiarski, turystyczny i całą gamę produktów, które jednak w euro są relatywnie drogie i mało konkurencyjne. Waluta równoległa zrównoważyłaby te dysproporcje.

Tymczasem Rzym planuje zwiększyć deficyt budżetowy o kolejne 180 mld euro, gospodarka wciąż powłóczy nogami, osiągając mierny 1 proc. wzrostu, i to mimo 2 mld euro wpompowanych we włoski system bankowy przez Europejski Bank Centralny. Jedną/jedyną drogą wyjścia z zapaści byłaby głęboka reforma systemu, cięcie socjalu, prywatyzacja i większe oszczędności. Jednak doświadczenia Grecji i silna wewnętrzna opozycja Włochów wobec euroestablishmentu uniemożliwiają przyjęcie oszczędnościowego programu wyjścia z kryzysu. Większość Włochów popiera radykalne rozwiązania, z porzuceniem euro na czele. W tym kontekście emisja równoległej waluty wydaje się rozwiązaniem umiarkowanym.

Joseph Stiglitz, laureat Nagrody Nobla, przekonuje, że waluta równoległa jest jedyną skuteczną drogą do odbudowania europejskiej konkurencyjności

Ekonomiści tacy jak Joseph Stiglitz, laureat Nagrody Nobla i autor książki pt. „Jak wspólna waluta zagraża przyszłości Europy", przekonuje, że równoległa waluta, jak ją sam nazwał – „elastyczne euro" – jest jedyną skuteczną drogą do odbudowania europejskiej konkurencyjności i wyrównania dysproporcji między Niemcami a biedniejszymi państwami strefy. Ekonomiści zebrani wokół organizacji Fiscal Money dodatkowo zwracają uwagę, że pomysł nie narusza traktatów członkowskich strefy euro. Mini-BOT nie pretenduje do bycia niezależną walutą, ale jest czymś w rodzaju obligacji skarbowych, które każdy z rządów strefy dziś emituje, gdyż Bruksela umożliwia publiczny obrót papierami dłużnymi.

TAŃSI OD KONKURENCJI

Krytycy w mniejszym stopniu odnoszą się do metodologii i zasadności samego mechanizmu co do jego politycznych ram i praktycznych konsekwencji. Zwracają uwagę, że nie samo euro jest źródłem włoskich problemów. Korupcja, rozbudowana biurokracja i ogromny socjal – wszystko to powoduje, że Włosi nie są w stanie powtórzyć niemieckiego cudu. Samo zduplikowanie walut nie rozwiąże problemu.

Dodatkowo w sytuacji głębokiego kryzysu włoskiego systemu bankowego nowe mechanizmy dłużne mogłyby wywołać panikę na rynku. Trudno dziś cokolwiek powiedzieć o aspekcie psychologicznym emisji równoległej waluty, ale argument nagłego załamania zaufania inwestorów może być chybiony. Spokojne i rozważne wprowadzenie mini-BOT, poprzedzone szeroką dyskusją publicz-

eprasa.pl 5b277a8c4d

ną, mogłoby raczej uspokoić nastroje. Przypomnijmy sobie, co się działo na rynkach po ostatnich wyborach i informacji, że kraj niechybnie opuści strefę euro. Żadnych wstrząsów na rynkach papierów dłużnych. Obligacje włoskiego rządu, owszem, zaczęły tracić na wartości, ale dopiero wtedy, kiedy okazało się, że Bruksela zdołała zablokować nominację nowego ministra finansów Włoch, nieprzejednanego wroga euro. Inwestorzy najgorzej reagują na niewiadomą. Plan, nawet najbardziej złożony i trudny do przeprowadzenia, jest lepszy niż stan chaosu.

Kolejny argument dotyczy psychiki samych Włochów, którzy zdaniem przeciwników równoległej waluty odmawialiby przyjmowania wypłat w przewalutowanych mini-BOT czy nowych lirach – jak wolą o nich mówić politycy Ruchu Pięciu Gwiazd. Nowa waluta czy noty dłużne z założenia mają mieć obniżoną wartość w stosunku do euro. To znaczy, że ktoś, kto ma otrzymać, powiedzmy, od rządu 100 euro, dostaje notę wartą na wejściu zaledwie 90 euro. Przecena w wysokości 10 czy 5 proc., w zależności, czy byłyby to wypłaty emerytur, czy wypłaty zobowiązań dla zewnętrznych firm, ma być naturalnym mechanizmem zaniżania wartości włoskich produktów. Nieważne, czy to są drogi publiczne, płaca urzędnika czy rolnika – produkty stałyby się tańsze, bardziej konkurencyjne, z miejsca wygrywając z ofertami niemieckich firm. W ten sposób Włosi osiągnęliby podobny efekt do tego, którym dziś posługuje się polski rząd. Zaniżając wartość złotego, pozwala polskim firmom sprawnie konkurować na niemal każdym światowym rynku.

Przeciwnicy mini-BOT zwracają uwagę, że wszelkie fiskalne wynalazki w sytuacji, kiedy włoska gospodarka stoi na krawędzi kryzysu, mogą wywołać lawinę. Niezależnie od intencji rządu ludzie odmawialiby przyjmowania wypłat czy spłat w równoległej walucie. Zapominają, że Rzym, niezależnie od kłopotów fiskalnych, i dziś sprzedaje swoje obligacje skarbowe. Tak długo, jak za notami stoi państwo, wiarygodność waluty pozostaje tam, gdzie była. To oczywiście nie zmienia faktu, że alternatywna waluta natychmiast zostałaby zdewaluowana. Usługi i produkty byłyby wyceniane niżej. Ekonomiści skupieni wokół Fiscal Money twierdzą, że pierwsze oznaki poprawy zobaczylibyśmy w miejscowościach przygranicznych i turystycznych, gdzie niższe ceny ściągałyby nową klientelę. Duże firmy w obrocie wewnątrz samej Unii dalej korzystałyby z euro, podobnie jak rynki finansowe, ale w obrocie detalicznym pojawiłaby się nowa waluta i nowa konkurencyjna wycena produktów.

Euro przez większość monetarystów uważane jest za sprawcę obecnych problemów gospodarczych Europy. Debata nad koniecznością przeprowadzenia zmian, zanim system zostanie zniszczony przez kolejny krach gospodarczy, jest już szeroko omawiana nawet w Brukseli. Oczywistym przeciwnikiem pozostają Niemcy, ale nawet one rozumieją, że ceną za podtrzymywanie obecnej fikcji może być dojście do władzy, w kolejnych wyborach, silnych antyeuropejskich ugrupowań.

Rozpad Unii Europejskiej dla Polski byłby najgorszym z możliwych scenariuszy. Mógłby oznaczać zbliżenie Niemiec z Rosją i stopniowe uzależnienie Polski od interesów potężniejszych sąsiadów.

Euro w obecnym kształcie byłoby jednak zagrożeniem dla konkurencyjności polskiej gospodarki. Stąd też pewnie dość schizofreniczna postawa naszych kolejnych rządów, które z jednej strony deklarują zainteresowanie wejściem do strefy, ale z drugiej strony odrzucają możliwość przyjęcia euro już teraz. Jednym z powodów jest właśnie utrata możliwości elastycznego dostosowywania wartości euro do możliwości konkurencyjnych polskich towarów. Złoty zdaje się dziś mocno niedowartościowany, co wielokrotnie ratowało nasz przemysł i nasze miejsca pracy. Zdaniem największych ośrodków analitycznych, ale też prostych wskaźników, takich jak wskaźnik Bic Maca, złoty pozostaje niedowartościowany co najmniej od 2012 r. Big Mac w Polsce kosztuje 9,70 zł. W przeliczeniu na dolary amerykańskie po dzisiejszym kursie to ok. 2,62 dol., tymczasem w USA Big Mac kosztuje 5 dol. To oznaczałoby, że złoty jest niedowartościowany o jakieś 52 proc. Niezależnie, czy to jest 30, czy 50 proc., ta przewaga dla polskich towarów zniknęłaby wraz ze wprowadzeniem euro. Równoległa waluta pozwoliłaby na utrzymywanie relatywnie niskich kosztów pracy, ale jednocześnie wprowadziłaby Polskę w obieg strefy euro. Kraje przymierzające się do przyjęcia euro przez dwa lata pozostają w tzw. poczekalni, kiedy to muszą utrzymywać sztywny parytet swojej waluty z euro. W tym przypadku chodzi o to, żeby uelastycznić wymianę, znieść obowiązek parytetu waluty równoległej. Coś, co może i jest niezgodne z obecnymi regułami gry w strefie euro, ale może powinno być przedmiotem rozważań, jeżeli Niemcy szczerze mówią, iż to uratowanie wspólnej Europy jest dla nich celem nadrzędnym, a nie uratowanie mechanizmu euro pozwalającego im w praktyce podbijać inne państwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b277a8c4d

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kto jest I prezesem SN?

Nie wiadomo, jak długo będzie trwała dyskusja nad tym, kto jest faktycznie I prezesem polskiego Sądu Najwyższego – Małgorzata Gersdorf czy osoba, którą zapewne prędzej czy później wskaże na to miejsce prezydent RP – lecz nie trzeba zbyt dużej wyobraźni, by wiedzieć, że będzie trwała długo, być może do 30 kwietnia 2020 r., kiedy to – zgodnie z art. 183 Konstytucji RP – wygaśnie kadencja sędzi Gersdorf (chociaż z kolei art. 180 konstytucji mówi, że o wieku przejścia sędziego w stan spoczynku decyduje ustawa).

Nie wiadomo również, ile osób zaangażuje się w spór o to, kto jest faktycznie I prezesem SN, lecz i w tym przypadku nie trzeba być człowiekiem specjalnie wyposażonym w zdolności profetyczne, by zdawać sobie sprawę, że będzie ich sporo – w tym wielu polskich i nie tylko polskich polityków, nie mniej polskich i niepolskich prawników – w tym sędziów, tyluż albo jeszcze więcej publicystów, a także innych osób publicznych.

Rzecz jasna, nie wiadomo też, ile instytucji – w Polsce i poza nią – zostanie wciągniętych w rozstrzyganie, kto jest faktycznie I prezesem polskiego SN, lecz i w tej kwestii można zaryzykować opinię, że będzie ich niemało. Począwszy od polskiego Trybunału Konstytucyjnego i pewnie niektórych naszych sądów powszechnych, przez Trybunał Sprawiedliwości UE, na sądach zagranicznych, które będą w swoich orzeczeniach zajmować się sprawami dotyczącymi Polski, kończąc. Zarówno kryminalnych, jak i cywilnych oraz gospodarczych. Nie wspominając o tych instytucjach, które kwestię tę będą długo i publicznie, a więc ze szkodą dla wizerunku Polski, roztrząsać – takich jak Komisja Europejska, Parlament Europejski, Komisja Wenecka itd.

Wszystko to razem oznacza dla Polski, czyli dla jej obywateli, koszty o trudnych dziś do oszacowania rozmiarach. Koszty polityczne i prawne, a co za tym idzie – finansowe, bo w naszym świecie wszystko jest ze sobą powiązane. Ot, choćby niepewność co do tego, kto jest faktycznie I prezesem SN, która będzie się pewnie utrzymywała i w tym roku, i w przyszłym, i w 2020 r., może się rzucać cieniem na wszystkie orzeczenia Sądu Najwyższego, w tym te związane z rozstrzyganiem przezeń o ważności wyborów najpierw samorządowych, potem parlamentarnych i wreszcie prezydenckich. Ze wszystkimi konsekwencjami tego dla stanu systemu politycznego i prawnego Polski.

To prawda: nasze źle urządzone i zarządzane, nieefektywne sądownictwo wymaga głębokiej reformy. Wszelako historia pełna jest przykładów, gdy zastosowany środek – zamiast coś naprawić – szkodził. Czy tak aby nie będzie i w tym przypadku? ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

AI i big data dla trenerów

Chyba wszyscy Polacy, nawet ci, którzy nie interesują się piłką nożną, wstydzą się za postawę Polaków podczas mundialu. I nawet nie chodzi o to, że przegrywa się mecze, bo można przegrać w pięknym stylu. Naszych piłkarzy zrozumieć nie sposób. I przypuszczam, że nie zawiodły mięśnie, że można było wykrzesać z siebie więcej energii i grać ambitnie do końca. Zawiodły głowy.

To powinno skłonić działaczy do głębszej refleksji. Zbudowaliśmy tysiące orlików, mamy infrastrukturę, która pozwala na treningi setek tysięcy młodych ludzi, z których można wyłonić świetną reprezentację. Jednak system szkoleniowy nie działa prawidłowo. Do procesu szkoleniowego można wykorzystać technologie big data i sztucznej inteligencji i nie potrzeba do tego wielkich funduszy. Jak mógłby funkcjonować taki system?

Już 15 lat temu pokazano, że modele big data lepiej zestawiają drużyny

Na szkolnych orlikach, boiskach ligi okręgowej i ekstraklasy instalujemy tanie kamery, które nagrywają wszystkie mecze i treningi. Tworzymy wielką bazę nagrań meczów i treningów, na której trenujemy modele sztucznej inteligencji. W słynnej książce „Moneyball. Nieczysta gra" o amerykańskim baseballu już 15 lat temu pokazano, że modele big data lepiej zestawiają drużyny i wyławiają talenty niż doświadczeni trenerzy. Dzisiaj modele sztucznej inteligencji mogą analizować mecze, dokonywać rankingu piłkarzy, oceniać ich mocne i słabe strony, rekomendować metody treningowe, dobrać taktykę gry do konkretnego przeciwnika. Takie usługi oferuje już np. firma SciSports, która analizuje ponad 200 tys. piłkarzy. Co więcej, takie rady można dawać trenerowi podczas meczu, w czasie rzeczywistym. Trener przed dokonaniem zmiany może dostać ocenę AI, wprowadzenie którego piłkarza daje największą szansę na wygraną.

Takie analizy niedługo będą standardowym narzędziem pracy trenera. A za 10–20 lat kluczowymi kompetencjami trenera będą przywództwo i komunikacja, bo wszystkie profesjonalne decyzje (kto ma grać, na jakiej pozycji, jaką formacją) będzie podejmowała sztuczna inteligencja. I będzie to robiła lepiej od najlepszego trenera, podobnie jak już dzisiaj sztuczna inteligencja może lepiej oceniać zdjęcia rentgenowskie od najlepszego rentgenologa. Dlaczego? Bo „widziała i oceniała" nie tysiące zdjęć, tak jak dobry lekarz, tylko miliony.

Dlatego zamiast szukać supertrenera na miejsce Nawałki, wybierzmy empatycznego lidera i zbudujmy system sztucznej inteligencji dla polskiego futbolu. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w firmie Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 5b277a8c4d

TEST „DO RZECZY": NIKON D850

Świetna jakość detali dzięki matrycy o wysokiej rozdzielczości, duży i jasny wizjer oraz bardzo dobra żywotność baterii – to największe zalety jednej z najlepszych lustrzanek na rynku.

Ważący 980 g model D850 dobrze wygląda i robi wrażenie solidnie wykonanego. Fotografowanie ułatwiają głęboki uchwyt, a także duża liczba programowalnych przycisków. Aparat jest też odpowiednio chroniony przed niekorzystnymi warunkami atmosferycznymi, dzięki czemu można nim robić zdjęcia w temperaturze od 0 do 40 st. C i przy wilgotności wynoszącej aż 85 proc. Ustawienie kadru ułatwiają wyświetlacz o przekątnej 3,2 cala i wysokiej rozdzielczości (2 359 000 pkt) oraz wizjer o 100-procentowym pokryciu kadru.

Po stronie minusów można wpisać brak wbudowanej lampy błyskowej oraz brak stabilizacji matrycy.

Sercem Nikona jest matryca o rozdzielczości aż 45,7 Mpix. Model D850 świetnie oddaje szczegóły fotografowanej sceny i imponuje niskim poziomem zaszumienia. Na dobrą ostrość zdjęć wpływ ma m.in. brak filtra dolnoprzepustowego. Fotografowie uwieczniający piękno przyrody są więc w stanie nie tylko zarejestrować zachwycające momenty, lecz także prezentując je na wystawie, mogą niemalże zabrać odbiorców w daleką podróż po uwiecznionych miejscach.

Profesjonaliści lub bogaci amatorzy fotografujący np. zawody sportowe docenią również szybkość rejestrowania zdjęć, która wynosi nawet siedem klatek na sekundę. Wystarczająco szybki jest też autofokus, którego celność jest jednak gorsza niż w porównywalnych modelach konkurentów. Kolejnym plusem są dwa gniazda na karty pamięci. Dzięki temu można ustawić automatyczne robienie kopii zapasowej, na jednej karcie zapisywać RAW-y, a na drugiej JPEG-i lub wybrać opcję, w której po przepełnieniu pierwszej karty kolejne zdjęcia są automatycznie zapisywane na karcie drugiej.

Fotografom ślubnym, którzy chcieliby wydobyć szczegóły wielkich, intymnych emocji ukrytych w scenerii zabytkowego, mrocznego kościoła, spodobają się z kolei szybki procesor przetwarzania obrazu oraz duży zakres czułości ISO, chociaż powyżej ISO 25 600 na zdjęciach widoczne są już wyraźne szumy.

Z kolei osoby, które wolą kręcić filmy, za pomocą Nikona D850 mogą rejestrować pełnoklatkowe ujęcia w rozdzielczości 4K z prędkością 30 p bez przycięcia obrazu. Na pochwałę zasługuje również bateria, która pozwala na zrobienie ok. 1,2 tys. zdjęć.

Niestety, aparat jest bardzo drogi. Sam korpus kosztuje 16,9 tys. zł. Trzeba do niego dokupić obiektywy za co najmniej kilka, kilkanaście tysięcy.

©℗ ***Jacek Przybylski***

PRAWIE JAK U BONDA

Gadżecik. Właściwie zabaweczka. Jednak może się okazać niezwykle przydatna, także w pracy dziennikarskiej, a w dodatku nie jest droga. I robi niezłe wrażenie. O czym mowa? O ChargeWrite+, czyli wiecznym piórze z wbudowaną pamięcią flash 16 GB i ładowarką powerbank (1 tys. mAh), a także końcówką do... czyszczenia ekranów smartfonów czy tabletów. Czyli takie mobilne „wash and go". Gadżet skonstruowano tak, że można podłączyć go do każdego urządzenia mającego wejście micro USB, w tym do telefonów działających w systemie Android oraz iPhone'ów. I od razu mała uwaga – pióro wypełniane jest firmowym atramentem, także wkładu do niego nie kupi się w Polsce, co oczywiście jest minusem urządzenia. Plus: producent zapewnia darmową wymianę wkładu i wysyłkę (przynajmniej na razie). Powerbank, który uzyskujemy dzięki odkręceniu drugiej części pióra, ma może niewielką pojemność, ale wystarczy na ok. 2,5 godz. korzystania ze smartfona bez konieczności podpinania wielu kabli czy noszenia niewygodnego pudełka. Wystarczy wpiąć pióro w USB. I to wszystko za nieco więcej niż 100 zł. Zamawiać można na Indiegogo.

DŁUGO WY(SZ)CZEKANA SPRAWA

Są takie momenty w codziennym dniu każdego psiarza, kiedy topnieje jego serce. Pierwszy ma miejsce zaraz o poranku, kiedy to zimny, wilgotny jęzor budzi ze snu, próbuje wepchnąć się do oka, a uradowany pysk zieje prosto w twarz, że czas już wstawać. Drugi następuje wieczorem, kiedy wracamy z pracy i rzucamy magiczne hasło: „Spacer". Cudowna sprawa. A właściwie byłaby cudowna, gdyby nie ten psi oddech... Każdy psiarz wie doskonale, że mycie zębów futrzaka jest skazane na porażkę w takim samym stopniu jak doszukiwanie się w wywodach lewicowej opozycji błyskotliwych pomysłów na Polskę. Syzyfowe prace. O ile jednak żaden gadżet nie natchnie „totalnych" pomysłami, o tyle Petros Dertsakyan ma pomysł na czyste psie kły i oddech... nieco bardziej do zniesienia. Pomysł nazywa się Bristly i jest pierwszą na rynku szczoteczką specjalnie skonstruowaną do mycia psich zębów. Szczotka sprawia wrażenie gryzaka pełnego wrąbków, ząbków i różnych takich wypustek, które futrzaki lubią obgryzać, w dodatku z chwytakami ułatwiającymi psu trzymanie go w łapach.

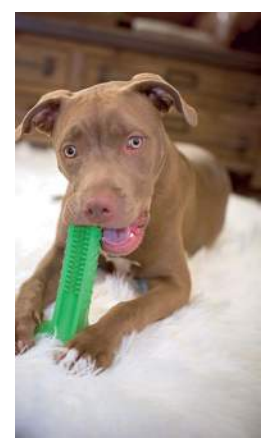

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Burki gryzą, a zęby się czyszczą. Bristly kosztuje ok. 70 zł. Zamawiać go można na Kickstarterze. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 5b277a8c4d

WAKACJE Z „DO RZECZY”

Joanna Bojańczyk

W poszukiwaniu

Spokój, szare morze, na deskach spacerowicze owinięci szalami, bo wieje. W Deauville można poczuć miniony, ale nie stracony czas elegancji starej Europy

W tym miejscu należało być. Przynajmniej w latach 20. XX w., kiedy w Deauville znajdowała się towarzyska filia Paryża: epicentrum mody, życia towarzyskiego, morskich kąpieli i wyścigów konnych. Tam zawiązywały się intrygi i romanse, panie zdobywały pierwszą, nieśmiałą jeszcze opaleniznę, panowie tracili fortuny w kasynie.

Z okien imponującego, nowo otwartego hotelu Normandy plażę obserwowała przybyła tu w roku 1913 panna Gabrielle Chanel. Wprawdzie początkująca projektantka z luksusem zaznajomiła się dość niedawno, ale już zdążyła go polubić. Na razie światowe życie wychowanka klasztornego sierocińca zawdzięczała swemu arystokratycznemu kochankowi. Anglik Arthur Boy Capel, wytworny gracz w polo, nie był specjalnie wierny, za to nadzwyczaj hojny. Wyciągnął pomocną dłoń do swojej dziewczyny i sfinansował jej pierwszy butik w Deauville. W nim miała wprowadzać swoje niezwykle awangardowe, jak na owe czasy, pomysły. Na początek sprzedawała tylko kapelusze, potem miękkie żakiety, krótsze suknie i kostiumy z angielskich tweedów.

Dzisiaj butiku Chanel nie ma już w Deauville, jest za to wiele innych – może już nie tak „haut de gamme” – z wysokiej półki; tańsze marki, choć nadal eleganckie. Jednak ta zmiana właśnie symbolicznie „pozycjonuje” normandzki kurort, który lata największego powodzenia ma już za sobą. Nie ma co ukrywać – Deauville jest damą dobrze urodzoną, lecz cokolwiek przywiędłą. Wymownie świadczy o tym zmniejszająca się w ostatnich latach liczba stałych mieszkańców – są ich niespełna cztery tysiące, a tendencja jest malejąca. Widać tyle wystarczy do obsługi turystów. Tych również nie przybywa.

To tylko jeden przykład, jak europejską turystykę wykańczają tanie loty i tanie pakiety do egzotycznych krajów. Tam wszystko jest tanie, słońce zawsze świeci, a woda jest ciepła i turkusowa. W Europie z klimatem nigdy nic nie wiadomo. Sezon trwa krótko, a i wtedy może lać.

KELNER W BIAŁYM KITLU

Z Deauville łączy mnie osobista historia. Spędziłam tam w późnych latach 70. kilka razy z rzędu wakacje z moją francuską rodziną. Ciotka Jacqueline Citroën miała tu małą willę Les Roses, jedną z wielu letniskowych willi z początku XX w., które wybudowali tu mieszkańcy Paryża. Wybrzeże normandzkie znajduje się najbliżej stolicy, pociąg do miasteczka dojeżdżał (i nadal dojeżdża) z paryskiego Dworca Świętego Łazarza na niewielką, przyjemną stację – punktualnie, szybko i tanio. Wychodzenie po przyjeżdżających i odprowadzanie odjeżdżających było lubianą przez nas rutyną.

Codziennie całą grupą wyruszaliśmy w stronę desek „les planches”, głównej plaży, gdzie moi francuscy kuzyni mieli wykupiony parasol ze stolikiem i z leżakami. W południe zamawiało się lunch u kelnera w białej marynarce, który przynosił go na mały stolik przykryty wykrochmalonym, białym obrusem. Na mnie, przybyszce z PRL, te wszystkie ceremonie robiły duże wrażenie. Byłam przyzwyczajona do kopania grajdołu na plaży w Jastarni, gdzie jeździłam z rodzicami. Kelnerów w białych ubraniach nie było.

W rodzinie Citroënów (z których wywodzi się moja babka) przyjeżdżanie do Deauville było tradycją. Stałym gościem bywał tu André Citroën, brat mojej prababki Jeanne, inżynier, konstruktor i założyciel marki. W roku 1926 otworzył tu salon Citroëna o powierzchni 2 tys. mkw., który znajdował się tuż za kasynem (teraz jest tam kino), w miejscu, gdzie skupiało się życie towarzyskie Deauville. W salonie dumnie prezentowało się 20 modeli samochodu. Na plaży można było

eprasa.pl 5b277a8c4d

dobrego czasu

RYS. PEGAZ, FOT. FOTOLIA

pościgać się w małych kabriolecikach 5CV, na pedały. W latach 90. Les Roses została sprzedana, a młodsze pokolenie Citroënów woli jeździć nad cieplejsze morza.

Swój gwałtowny rozwój miasteczko zawdzięcza inwestycjom, które za czasów Napoleona III poczynili tam arystokraci z pomocą bankierów i architektów. Niejaki Charles Auguste Louis diuk de Morny, wnuk Talleyranda i brat przyrodni Napoleona III, uważał wprawdzie, że bagna normandzkie nadają się głównie do polowania na króliki, ale na wszelki wypadek kupił tam 240 ha. Jego przywiezionej z Rosji żonie Zofii Drubeckiej osada Deauville spodobała się tak bardzo, że zachęciła małżonka, aby zrobił z niej luksusowy kurort. Pieniądze przyciągają pieniądze – do inicjatywy przyłączyli się inni zamożni przedsiębiorcy. Kłócono się o najlepsze parcele, ale na szczęście, idąc wzorem architekta Haussmanna, twórcy nowoczesnego Paryża, zastosowano zasady planu urbanistycznego. Grunt podzielono na strefy: nadmorską, spacerową, luksusową rezydencjalną, popularną. Osuszono bagna, gdzie trzeba, podniesiono poziom gruntu. Wyznaczono miejsca na port, stację kolejową i hipodrom. Cesarski dekret z roku 1860 dał zezwolenie na budowę. Trzy lata później otwarto hipodrom i dworzec. Z nieznanego do dziś powodu strefa popularna nigdy nie powstała – widać przeznaczeniem Deauville było zostanie miejscowością luksusową. Czas był ku temu sprzyjający – wśród burżuazji i arystokracji czasów Napoleona właśnie rodziła się moda na kąpiele morskie.

I tak się też stało. Wybudowano liczne „chalets de villégiature” – dworki wypoczynkowe w brzydkim stylu II Cesarstwa. Pretensjonalne zameczki, ni to historyczne, ni to regionalne i koniecznie „na bogato”. Na domiar złego w środku były kompletnie niefunkcjonalne. Willa Les Roses, wprawdzie późniejsza, bo już z początku XX w., także nie była piękna, za to zgodnie z nazwą w jej ogrodzie kwitły przecudne róże wielu odmian i kolorów.

CZY PROUST TU BYŁ

Na początku XX w. Deauville przeżywało kryzys. Po upadku II Cesarstwa arystokracja zbiedniała, a pobliski kurort Trouville-sur-Mer, który zdobył oficjalny status uzdrowiska, odbierał część klientów. Jednak miasteczko złapało drugi oddech. Zdobyło 17 ha lądu na skutek cofającego się morza. W roku 1912 otworzyły się dwa nowe hotele: Normandy i Royal, powstał ekskluzywny lawn tennis, korty na trawie, w kasynie socjeta bawiła się i traciła pieniądze.

Właśnie w tym czasie Deauville zapisało najbardziej „intelektualny” rozdział swojej historii. W roli głównej: Marcel Proust. Trzy miejscowości muszą dzielić się sławą, którą zapewnia obecność w powieści Prousta „W poszukiwaniu straconego czasu”. Trouville-sur-Mer, Cabourg i Deauville przybrały w niej jedną literacką nazwę: Balbec. Pisarz rzeczywiście bywał w Normandii. „Dowiedziawszy się, że w Cabourg jest najwygodniejszy hotel na całym wybrzeżu, pojechałem tam. Od kiedy tu jestem, mogę codziennie wstać i wyjść, co nie zdarzyło mi się od sześciu lat” – pisał Proust w 1907 r. Do tego nowoczesnego hotelu, który pisarzowi delikatnego zdrowia oferował cały komfort, będzie on wracał przez następne siedem lat. W Cabourg organizowane były doroczne proustowskie seminaria.

W latach 60. bywalcy z arystokracji i burżuazji ustąpili miejsca „bogatym i sławnym”. Jednak Deauville wciąż było modne. W pobliżu rezydencję mieli Rothschildowie, wyścigi konne ściągały elitę finansową, przyjeżdżały gwiazdy kina. Samo miasteczko grywało w filmach, najczęściej jako nienazwana sceneria eleganckiego kurortu, którym pozostaje mimo upływu czasu. „Wielki Gatsby”, „Kobieta i mężczyzna”, „Casino Royale” (inspirowane rzeczywistym deauvilskim kasynem) utrwalają lekko gasnącą sławę kurortu.

A poza tym niewiele się dzieje. Raz do roku Festiwal Kina Amerykańskiego, poza tym spokój, szary Atlantyk (właściwie kanał La Manche), na deskach spacerowicze owinięci szalami, bo wieje. Miło tu przyjechać, poczuć miniony, ale nie stracony czas starej Europy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5b277a8c4d

Z Dianą Wolańską-Buzalską, dietetykiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Piramida żywienia na lato

FOT. FOTOLIA

KATARZYNA PINKOSZ: Wiele osób latem ma nadzieję, że uda im się wreszcie schudnąć. To dobry moment na zmiany?

DIANA WOLAŃSKA-BUZALSKA: Lato sprzyja osobom, które chcą zredukować masę ciała, ponieważ pod ręką mamy sezonowe owoce i warzywa, które są niskokaloryczne, bogate w składniki mineralne, a jednocześnie zawierają błonnik dający na dłużej poczucie sytości. Poza tym, gdy jest wysoka temperatura, tracimy więcej wody, pojawiają się zaburzenia wodno-elektrolitowe, mamy mniejszy apetyt. Dlatego chętniej sięgamy po produkty, które jednocześnie dostarczą wodę do organizmu.

Sięgamy więc po soki, słodkie napoje, niekoniecznie czytając etykiety. A dwie szklanki soku pomarańczowego to 200 kcal...

Pijąc soki i napoje, nie schudniemy. Możemy nawet przytyć, bo z powodu upałów wypijamy ich więcej niż dotychczas. Dostarczamy organizmowi zbyt dużo pustych kalorii. Świadomie powinniśmy wybierać te płyny, które nie zawierają zbędnych kalorii. Podstawa to woda: raczej niegazowana niż gazowana, gdyż zawarty w wodzie gazowanej dwutlenek węgla podrażnia ściany przewodu pokarmowego i daje złudne poczucie nawodnienia organizmu.

Niektórzy są tak zdesperowani, że wyjeżdżają na wczasy odchudzające. Zwykle chudną, ale potem często wracają do dawnej wagi. Dlaczego?

Taki wyjazd musi iść w parze z edukacją żywieniową i kompleksową zmianą stylu życia. Dwu-, trzytygodniowy pobyt przyniesie efekt, ale nie aż tak spektakularny. Może to być jednak dobry początek zmian. Trzeba jednak wiedzieć, jak kontynuować taką dietę w domu.

Lato sprzyja też chudnięciu dlatego, że dobre warunki atmosferyczne sprawiają, iż chętniej uprawiamy sporty: pływamy, chodzimy po górach, jeździmy na rowerze, spacerujemy. Ciepły wieczór powinniśmy wykorzystać, by pospacerować, zwiększyć aktywność fizyczną, na którą nie możemy sobie pozwolić w bardziej deszczowych czy zimnych porach roku.

W ciepły wieczór niektórzy pójdą na spacer, ale inni wybiorą się na spotkanie ze znajomymi przy piwie i frytkach...

Pytanie, jakie efekty chcemy osiągnąć. Jeśli schudnąć, to można o tym zapomnieć w przypadku, gdy chcemy codziennie wieczorem wypić piwo (czy inny alkohol) i jeszcze zjeść przekąski. Od czasu do czasu nic dla nikogo nie jest zabronione. Odchudzanie nie jest przeciwwskazaniem do towarzyskich spotkań. Jednak może warto przed wyjściem na takie spotkanie zjeść pełnowartościowy posiłek, żeby nie być za bardzo głodnym na spotkaniu? A zamiast wypijać trzy piwa poprzestać na jednym, zaś następnego dnia zwiększyć aktywność fizyczną.

Jakie są jeszcze inne pułapki oprócz kalorycznych napojów?

Warto uważać na bomby kaloryczne: nadmierną ilość lodów (polecałabym je

eprasa.pl 5b277a8c4d

robić samemu z zamrożonych musów owocowych, np. z dodatkiem jogurtu lub bez niego). Trzeba też uważać na alkohol: jedna butelka piwa to ok. 250 kcal, czyli tyle, ile np. śniadanie czy kolacja.

Trzy piwa to już prawie tyle kalorii co obiad?

Pod względem zapotrzebowania na kalorie – tak, nawet jeśli nie jesteśmy na diecie niskoenergetycznej. Poza tym, gdy pijemy alkohol, chce nam się też jeść, i to najczęściej rzeczy tłuste i słone, a więc niezdrowe i kaloryczne. Alkohol nie jest obojętny dla organizmu. Przede wszystkim powoduje wzmożoną pracę wątroby, która musi go zmetabolizować, a potem nerek, które muszą wydalić produkty metabolizmu i nadmiar spożytych płynów.

Może to jednak dobry sposób nawodnienia latem?

Skutkiem ubocznym metabolizowania alkoholu w organizmie jest właśnie odwodnienie. Organizm chce się pozbyć toksyn, przede wszystkim aldehydu octowego, który musi zostać wydalony wraz z moczem. Piwo powoduje bardziej odwodnienie niż nawodnienie.

Ostatnio w kilku krajach pojawiły się zatrucia listerią: bakteria najprawdopodobniej znajdowała się w mrożonej kukurydzy. Zatrucie jest niebezpieczne zwłaszcza dla kobiet w ciąży. Na co jeszcze trzeba uważać?

Pierwsza rzecz to salmonella, która może znajdować się w surowym mięsie (tatar), surowych jajkach, np. użytych do kremów do ciast, lodów. Druga rzecz to pałeczka shigelli (czerwonki), której źródłem są nieumyte owoce i warzywa. Trzeba je myć, podobnie jak myć ręce, które są rezerwuarem różnych mikroorganizmów.

W wyrobach garmażeryjnych może natomiast znajdować się toksyna jadu kiełbasianego. Jeśli denko przetworów mięsnych jest wydęte, to znaczy, że w środku może znajdować się toksyna botulinowa (jad kiełbasiany).

Instytut Żywności i Żywienia publikuje piramidy żywienia pokazujące obrazowo, co powinniśmy jeść. Jak taka piramida wygląda na lato?

Właściwie piramida zdrowego żywienia obowiązuje przez cały rok. Jeśli chodzi o letnią dietę, to jej dwa podstawowe elementy to: płyny (przede wszystkim woda) oraz świeże warzywa i owoce, które są skarbnicą witamin, składników mineralnych, błonnika i przeciwutleniaczy. Poza tym jedzmy produkty zbożowe (najlepiej pełnoziarniste), mleczne. Wyżej w piramidzie (czyli powinniśmy ich jeść nieco mniej) znajdują się produkty dostarczające białka. Chodzi nie tylko o mięso, ryby i jajka. Latem warto postawić na rośliny strączkowe, które są źródłem białka roślinnego, takie jak bób czy fasola. A dopełnieniem powinny być tłuszcze roślinne, zawarte w orzechach, pestkach dyni i słonecznika, oraz oleje i oliwy.

Ostatnio bardzo popularna jest dieta DASH. To najzdrowsza dieta świata?

Grono ekspertów żywieniowych uznało dietę DASH za wzorowy sposób żywienia. Jej założenia nie odbiegają od głównych zaleceń zdrowego żywienia Instytutu Żywności i Żywienia. Dieta DASH opiera się przede wszystkim na produktach jak najmniej przetworzonych – podstawą są warzywa, owoce, pełnoziarniste produkty zbożowe oraz nasiona roślin strączkowych. Ważne są też ryby będące dobrym źródłem kwasów tłuszczowych omega-3, orzechy oraz niskotłuszczowe produkty nabiałowe. Znacznie mniej poleca drób i mięso czerwone.

Coraz częściej mówi się, że sposób odżywiania ma wpływ na ryzyko zachorowania na nowotwory, choroby kardiologiczne. Warto zmienić sposób jedzenia, żeby żyć dłużej?

To nie geny czy system opieki zdrowotnej wpływają na stan zdrowia, lecz głównie styl życia. Wieloletnie badania pokazują, że zdrowy styl życia zmniejsza ryzyko wystąpienia chorób dietozależnych, m.in. cukrzycy, nadciśnienia, miażdżycy, a nawet niektórych nowotworów. U osób, których sposób żywienia był najbardziej zbliżony do zasad diety DASH, ryzyko zachorowania na cukrzycę typu 2 było o 69 proc. mniejsze niż u tych, których sposób żywienia daleko odbiegał od zasad tej diety.

Schudnięcie jest ważne dla wszystkich, którzy mają nadwagę, ale zwłaszcza dla osób, które mają cukrzycę lub stan przedcukrzycowy – w sumie to nawet ok. 5 mln osób w Polsce. Nie za bardzo można im polecić owoce ze względu na cukier...

Lepiej postawić na warzywa. Mamy teraz sezon paprykowy, są pomidory, ogórki – które zawierają dużo wody i bardzo dobrze nawadniają – są seler naciowy, fasolka szparagowa. Stawiajmy na surowe warzywa lub poddane lekkiej obróbce kulinarnej, np. ugotowane na parze: będą miały niski indeks glikemiczny, dlatego są bardziej polecane dla osób z insulinoopornością i cukrzycą typu 2.

Lato bywa niebezpieczne, szczególnie dla osób z chorobami kardiologicznymi. Czego powinny jeść więcej?

Powinny przede wszystkim więcej pić, zwłaszcza podczas upałów, gdyż nawet lekkie odwodnienie zwiększa ryzyko zakrzepów. Częściej powinny też sięgać po warzywa i owoce, które zawierają składniki protekcyjne, wpływające na obniżenie ryzyka chorób układu krążenia.

Jagody pomogą osobom chorującym na serce?

Owoce jagodowe zawierają wiele rodzajów przeciwutleniaczy, które hamują powstawanie wolnych rodników tlenowych, przyczyniających się do rozwoju chorób kardiologicznych i nowotworowych. Polecam jagody, borówki amerykańskie, aronię, śliwki. Owoce i warzywa pomarańczowe (brzoskwinie, morele) również zawierają silne przeciwutleniacze, przede wszystkim beta-karoten. Truskawki, agrest, porzeczki zawierają dużo witaminy C, będącej silnym antyutleniaczem, która działa również przeciwzapalnie.

Warto też pamiętać, że rośliny strączkowe, zwłaszcza sezonowy bób, zawierają białko roślinne, które również odgrywa rolę protekcyjną w chorobach układu krążenia. Do tego dodajmy orzechy, pestki dyni, słonecznika – znakomite źródło tłuszczów omega-3 i omega-6, działających korzystnie w profilaktyce chorób serca.

A co można polecić tym, którzy nie potrafią się obyć bez schabowego i wędliny?

Warto czasem zastąpić kotlet schabowy chudym mięsem, a do tego zastosować jakąś lżejszą technikę kulinarną, np. gotowanie na parze. Poza tym sięgnąć przynajmniej raz czy dwa razy w tygodniu po nasiona roślin strączkowych, a dwa razy w tygodniu po rybę. Podstawa to urozmaicenie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Diana Wolańska-Buzalska
jest dietetykiem, pracuje w Instytucie Żywności i Żywienia, jest członkiem Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego i Polskiego Towarzystwa Dietetyki.

eprasa.pl 5b277a8c4d

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Małżonkowie zagończycy

Stefan Chmielecki herbu Bończa był w pierwszej połowie XVII w. jednym z najlepszych polskich dowódców i zagończyków, potrafiącym skutecznie odpierać tatarskie najazdy. Zadał im wielkie klęski – w 1624 r. brał udział w sławnym pogromie ordy pod Martynowem. Dowodził chorągwiami pancernymi na prawym skrzydle i prowadził wielokilometrowy pościg za rozgromionym nieprzyjacielem. W 1626 r., kiedy jako regimentarz, w zastępstwie hetmana wielkiego, bronił Ukrainy przed najazdami, pobił ordę pod Białą Cerkwią, gdzie najpierw odważnie uderzył na główny kosz, a potem zniósł rozproszone, niczego niespodziewające się czambuły, uwalniając 10 tys. jasyru. Trzy lata później rozgromił wielką wyprawę na Rzeczpospolitą, bijąc Tatarów na głowę pod Bursztynem i nad Gniłą Lipą. O Chmieleckim pisano wiersze, wygłaszano dziękczynne mowy, stał się jednym z bohaterów pocztu sarmackich wojowników Szymona Starowolskiego.

Był to jeden z nielicznych dowódców, który potrafił skutecznie walczyć z najazdami z chanatu. Czasy zaś, w których działał, obfitowały w takie napady. Rzeczpospolita toczyła bowiem wojnę o ujście Wisły ze Szwecją, dokąd udał się hetman Stanisław Koniecpolski z wojskiem, pozostawiając na straży Ukrainy Chmieleckiego z garścią prywatnych chorągwi i Kozaków.

Mało kto jednak wie, że dzielny rotmistrz na prawie wszystkie wyprawy zabierał małżonkę – **Teofilę z Chocimirskich**, która dzieliła z nim trudy obozowego życia, rąbała szablą ordyńców, a w krótkich okresach pokoju strzegła powiększającego się majątku. Była to kolejna polska pani orężna i bojowa. Jak podaje

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Zbigniew Kuchowicz, powiadano o niej, że jeździła konno jak Kozak, strzelała z rusznicy niby rajtar niemiecki, a niewygody stanowiły dla niej fraszkę. Obawiali się jej też Tatarzy, którzy podejmowali próby jej schwytania.

Na co dzień pani Teofila była równie brutalna jak zawodowy żołnierz; wilczyca na włości i hetera w alkowie. Kiedy w 1622 r. nabrała podejrzeń, że jej mąż może mieć romans na boku ze służebną, młodą wdową Anną Walicką, „wyszturchała" ją publicznie na ulicy, po czym obcięła jej nos i rzuciła psom na pożarcie, co potwierdzał w dokumentach woźny żytomierski. Ów nieszczęsny doręczyciel pozwów i detektyw w jednej osobie oglądał okaleczoną kobietę, błąkał się po mieście, szukając nosa, „azali go gdzieś na śmietniku nie znajdzie". Nie znalazł, więc podał w księgach, że „istotnie przez psy pożarty został".

W 1629 r. w uznaniu zasług król Zygmunt III Waza mianował Chmieleckiego wojewodą kijowskim, jednak dzielny żołnierz zmarł rok później, co wywołało nawet podejrzenia o otrucie – szlachecka opinia sądziła, że do jego śmierci przyczynili się zazdrośni magnaci, gdyż strażnik wywodził się z ubogiej szlachty.

Po jego śmierci żona zaczęła żyć jak prawdziwa stepowa wilczyca, terroryzując sąsiadów i wyimaginowanych nieprzyjaciół. Można sądzić, że na jej podobieństwo Sienkiewicz odmalował starą kniahinię Kurcewiczową i jej zdziczałych, ale powolnych matce synów.

W samym tylko 1630 r. Teofila dokonała lub zleciła siedem zajazdów; w jednym, największym, sama wzięła udział. Spalono wówczas wieś Sabarówkę, rozpędzono chłopów, po czym pani wdowa oświadczyła, że gdyby wrócili i próbowali tu mieszkać, każe ich wszystkich rozstrzelać. Wilczyca, a raczej, z powodu wieku, herod-baba przez kilkanaście lat była postrachem Ukrainy na równi z Samuelem Łaszczem i innymi swawolnikami. Kiedy w 1643 r. jej syn Łukasz starał się o rękę Katarzyny Sokołowskiej i otrzymał odmowę, Teofila wzięła sprawy w matczyne ręce. Pojechała zatem do dworu jej ojca, wprosiła się w gościnę i o świcie uprowadziła przyszłą synową do cerkwi, gdzie już czekali cierpliwy synalek i pop. Sama także nie pozostała zbyt długo wdową. Jej drugim mężem został Marcin Tulibowski, o którym jednak niewiele wiadomo. Być może pozostawał całkowicie pod wpływami herod-baby.

Pod koniec życia niebezpieczna niewiasta próbowała odmienić styl życia. Jak wynika ze źródeł, zasłynęła hojnością dla licznych klasztorów i fundacji. Bogato wspomagała kolegium jezuitów w Winnicy. Niestety, w życiu rodzinnym nie znalazła szczęścia. Z jej dwóch synów Adam zmarł w młodym wieku, a wspomniany Łukasz, ożeniony z Sokołowską, zrujnował majątek, który z takim trudem gromadził jej ojciec. Fortuna rodu Chmieleckich zgasła na zawsze. ©℗

eprasa.pl 5b277a8c4d

SZYMON CZERWIŃSKI WYMYŚLA MIELONE NA NOWO

Kotlety mielone zna każdy z nas. Wystarczy jednak użyć kliku „sztuczek", aby miło zaskoczyć swoich bliskich i zaserwować im przepyszny obiad. Przepis, który państwu proponuję, jest prosty, ale odkrywa zupełne nowe oblicze dobrze znanych kotletów mielonych. Polecam spróbować w swojej kuchni.

Składniki:

- 500 g mięsa mielonego
- 3 żółtka
- 2 ziemniaki
- 1 łyżeczka musztardy
- 50 g masła
- cebula
- 1 bułka czerstwa namoczona w mleku
- natka pietruszki
- zimna woda
- 50 g masła
- szczypta gałki muszkatołowej
- bułka tarta
- roszponka
- pieprz i sól

Przygotowanie:

Ugotowane ziemniaki ugnieć w garnku za pomocą tłuczka. Następnie dodaj żółtka, masło, sól, pieprz oraz gałkę muszkatołową. Składniki za pomocą widelca połącz w jednolitą masę. Przełóż do rękawa cukierniczego z końcówką, np. gwiazdką.

Piekarnik nagrzej do 180 st. C. Blachę wyłóż papierem do pieczenia. Wyciśnij z rękawa cukierniczego masę ziemniaczaną. Forma, którą chcesz uzyskać, zależy od twojej wyobraźni. Proponuję, aby to były koła – przypominające gniazda. Piecz w piekarniku, aż będą rumiane – ok. 15 min.

Mięso mielone przełóż do miski. Dodaj kolejno: musztardę, cebulę startą na tarce, żółtko, sól i pieprz. Bułkę odsącz z mleka i dodaj do mięsa. Na sam koniec dodaj natkę pietruszki. Dokładnie wymieszaj wszystkie składniki. W międzyczasie dodaj kilka kropel zimnej wody. Ugniataj do czasu, aż mięso będzie odchodziło od ręki.

Z przygotowanego mięsa uformuj kotlety. Następnie obtocz je w bułce tartej. Tak przygotowane kotlety smaż na patelni na oleju roślinnym. Z piekarnika wyjmij gotowe gniazda i wyłóż je na talerz. Na „zapiekankę" ziemniaczaną wyłóż gotowego kotleta. Danie możesz podać z roszponką polaną sosem winegret. ©℗

oprac. raw

Szymon Czerwiński – kucharz, finalista „MasterChef", prowadzący programy kulinarne.

FOT. ARCHIWUM SZYMONA CZERWIŃSKIEGO

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Lokal kategorii pierwszej

W wnętrze zasnute dymem, szatniarz królujący nad paltami, regulamin zakładów gastronomicznych nad bufetem, wuzetka i szarlotka na plastikowej tacy. Przy kontuarze dymiące maszyny do kawy, często zepsute. Kawę Select, jeśli była, serwowano w szklankach. Tak można było zapamiętać kawiarnie schyłkowego PRL.

Dzisiaj to już świat retro. Wystawa w Muzeum Miejskim w Tychach (czynna do października) przywołuje wspomnienia miejscowych lokali – Ludowej, Tyskiej, Słonecznej, Mimozy. Kuratorzy piszą: „Codziennie zmieniany jadłospis, »żywa« orkiestra grająca do tańca w weekendy, ale również w dni powszednie, wesela i zabawy sylwestrowe, życie towarzyskie [...], to tworzyło świat tyskich restauracji i kawiarń w latach 50., 60. i 70. XX wieku".

W książce „PRL na widelcu" pisze Rafał Brzostek: „Kawiarnie, zwłaszcza duże lokale śródmiejskie, pełne były ludzi od rana do wieczora. W ich wnętrzach unosił się przeważnie obłok dymu papierosowego, wżerającego się nieusuwalnym zapachem w boazerie, obicia i zasłony. Niektóre kawiarnie wyposażone były w tarasy, oblegane letnią porą i będące terenami prawdziwych polowań na miejsca. W Cafe Sport w Katowicach o 350 krzesłach i długim tarasie, z którego patrzeć można było na śródmieście, jedno miejsce okupowało przeciętnie 25–30 osób".

Po 1989 r. państwo straciło monopol na gastronomię, kawa przestała być artykułem deficytowym. Przez kraj przetoczyła się pierwsza fala otwierania nowych lokali, gdzie wszystko miało być inne niż przedtem. Jak najbardziej zachodnie. Usłużni kelnerzy, obce słowa w menu, kolorowy wystrój, parasole z reklamami. Ale chociaż oprawa się zmieniła, osad PRL-owski pozostał: plujkę nadal serwowano w szklance, cukier stał na co drugim stoliku w plastikowej cukierniczce.

Po roku 2000 zaczął się nowy etap. Do dojrzałości doszło pierwsze pokolenie klasy średniej – nieźle zarabiające, z aspiracjami. Wzrosły wymagania. Kawa plujka była już nie do przyjęcia. Dla nowych klientów powstawały nowe miejsca, tak różne, jak różne były potrzeby. Gdy do Polski weszły sieciówki, bezbarwne, ale pożyteczne, pozytywnym efektem była poprawa jakości kawy. Mała i duża czarna ustąpiły miejsca espresso, latte, macchiato... Otwarciem Starbucksa w Warszawie żyło całe miasto. Uczniowie defilowali z firmowymi kubkami, nawet gdy kawa dawno była wypita. Teraz i to spowszedniało. ©℗

eprasa.pl 5b277a8c4d

NASZ TEST: SEAT LEON X-PERIENCE

Dobrze wygląda, nieźle jeździ i potrafi poradzić sobie na bezdrożach. Seat Leon X-PERIENCE to przykład udanego projektu uterenowionego kombi, a więc samochodu dla tych, którzy potrzebują czasem zjechać z asfaltu, ale nie są fanami crossoverów oraz SUV-ów. Cechy wyróżniające to większy prześwit oraz czarne plastiki chroniące lakier podczas jazdy po nieutwardzonych drogach. Uterenowione kombi to dobry wybór nie tylko dla rolników, leśników, budowlańców czy właścicieli domów, do których prowadzi jedynie droga przez dziury i błota – to również fajne rozwiązanie dla osób, które niemal nie wyjeżdżają z miasta. Wyższe zawieszenie sprawia bowiem, że wysokie krawężniki, źle zamontowane studzienki czy irytujący „śpiący policjanci" przestają być jakimkolwiek problemem.

W KABINIE

Wnętrze auta jest praktyczne i przestronne, choć w wersji z gigantycznym, przeszklonym dachem wyższe osoby będą musiały przyzwyczaić się do bliskiej relacji z podsufitką. Dobre wrażenie robi ośmiocalowy, dotykowy ekran ciekłokrystaliczny. Przydatna jest też możliwość bezprzewodowego ładowania najnowszych smartfonów, a także dodatkowo płatna opcja umożliwiająca obsługę systemów Apple CarPlay oraz Android Auto.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jak przystało na auto rodzinne, Leon X-PERIENCE może pochwalić się sporym kufrem. Jego pojemność wynosi 587 l. Po złożeniu siedzeń bagażnik rozrasta się zaś do 1470 l.

JAZDA

Co prawda w tym modelu nie czuć zbytnio hiszpańskiego temperamentu, ale nawet dwulitrowy diesel o mocy 150 KM na drodze sprawuje się co najmniej przyzwoicie. Nie można się przyczepić ani do komfortowego zawieszenia, ani do układu kierowniczego. Na pochwałę zasługuje także skrzynia biegów DSG, która bardzo sprawnie przerzuca przełożenia.

I chociaż Leon X-PERIENCE na zakrętach wyraźnie się przechyla, to nie powinno to nikomu zbytnio przeszkadzać – no, chyba że ktoś planuje wspólnie z rodziną zawody w jeździe slalomem na czas. Brak systemu kontroli zjazdu ze wzniesienia czy oddzielnego trybu jazdy terenowej sprawia, że nie jest to typowe auto do off-roadu. Auto dobrze radzi sobie jednak w błocie czy deszczu.

Uterenowiony Leon nie jest drogi w utrzymaniu. W naszym teście w cyklu mieszanym spalanie wynosiło średnio 6,5 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

Leon X-PERIENCE w testach zderzeniowych Euro NCAP zdobył komplet pięciu gwiazdek z wysokimi notami za ochronę dorosłych (94 proc. punktów) oraz dzieci (92 proc.). Jazdę po zatłoczonych ulicach miast ułatwia asystent jazdy w korku, dzięki któremu samochód autonomicznie hamuje i przyspiesza. Seat dba też o pieszych – auto wykrywa osoby przechodzące blisko samochodu i w razie konieczności autonomicznie hamuje. Elektroniczny asystent alarmuje również, gdy nieświadomie zjeżdżamy z naszego pasa ruchu, przypomina ostatnio mijane znaki drogowe, a także kontroluje zmęczenie kierowcy. Komputer zareaguje również np. w razie zasłabnięcia prowadzącego – w przypadku wykrycia dziwnych manewrów lub braku jakiejkolwiek reakcji auto samodzielnie się zatrzyma.

CENA

Najtańszy Seat Leon X-PERIENCE z silnikiem benzynowym o pojemności 1,4 l i manualną skrzynią biegów kosztuje 89,1 tys. zł. 125 KM to jednak za mało, by móc cieszyć się jazdą takim autem. Zdecydowanie przyjemniejszym rozwiązaniem jest więc wersja z silnikiem 1,8 l o mocy 180 KM, automatyczną skrzynią biegów i napędem na cztery koła za 114,6 tys. zł. Najtańszy dwulitrowy diesel o mocy 150 KM, z automatem i napędem na wszystkie łapy to koszt 127,4 tys. zł, a najdroższy – z automatem, napędem 4 x 4 oraz silnikiem o mocy 184 KM – kosztuje 129,7 tys. zł.

KONKURENCI

Audi A4 Allroad, Peugeot 508 RXH, Skoda Octavia Scout, Volkswagen Golf Alltrack, Volvo V60 Cross-Country ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 5b277a8c4d

Już 23 lipca w **DO RZECZY** dodatek

Partner wydania

PKP
POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE
Spółka Akcyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

eprasa.pl 5b277a8c4d

ZŁY TYRMAND

Reforma gorzka, ale konieczna

MATTHEW TYRMAND

MARCIN MAKOWSKI: Jakikolwiek portal ostatnio włączę, jakiekolwiek zagraniczne media przeczytam – Polska pojawia się w kontekście „zamachu na sądownictwo". Skala powinna chyba dać rządzącym do myślenia

MATTHEW TYRMAND: Reforma wymiaru sprawiedliwości, bez względu na to, co piszą zagraniczne media, była potrzebna. Jest również zdecydowanie za wcześnie, aby zakrzyknąć: „Autorytaryzm!", gdy Polacy udzielili i nadal udzielają demokratycznego mandatu partii, która te reformy przeprowadza. Jak słusznie zwrócił uwagę prof. Legutko w tekście do „Wall Street Journal", 80 proc. polskich obywateli popiera zreformowanie systemu sądowniczego, który nigdy nie rozliczył się z postkomunizmem ani nie potrafił samodzielnie dokonać takiego oczyszczenia. Wystarczy spojrzeć na sprawę sędziego Józefa Iwulskiego, który służył w kontrwywiadzie PRL, ale dziwnym trafem zapomniał o tym poinformować opinię publiczną. Nikomu to w jego towarzystwie oczywiście nie przeszkadzało, ale o tym nie przeczyta się w „New York Timesie", który z okazji przeniesienia w stan spoczynku sędzi Małgorzaty Gersdorf wysłał na telefony wszystkich subskrybentów alert o treści: „Polska atakuje Sąd Najwyższy". Ci ludzie się już nie zmienią, bo dla nich każde wybory i każda zmiana przeprowadzana przez prawicę będą naruszeniem status quo. Gdy w 2014 r. ewidentnie wypaczono wynik wyborów samorządowych w Polsce, umożliwiając osiągnięcie nieproporcjonalnie wysokiego wyniku ludowcom, czy ktokolwiek w Waszyngtonie zająknął się, że państwo prawa nad Wisłą przechodzi poważny kryzys?

Nie masz jednak wrażenia, że reformę sądownictwa można było przeprowadzić w nieco innym stylu? Nie stawiać głównego nacisku na wojenki personalne, działać cierpliwiej i bardziej systemowo?

Owszem, nowożytna pooświeceniowa filozofia polityczna zakłada separację władzy pomiędzy wymiarem sprawiedliwości a legislatywą i egzekutywą, ale z drugiej strony nie mówi, co robić, jeśli sądownictwo wymknie się spod kontroli i zakonserwuje w celu utrzymania wpływów. Oczywiście trzeba sobie w tym momencie zadać uczciwie pytanie: Jak daleko rząd może się posunąć? Czy wprowadzenie wieku emerytalnego dla sędziów i przenoszenie ich w stan spoczynku to próba ręcznego sterowania gremiami orzekającymi? Czy to działanie na granicy konstytucji? Myślę, że tak, ale tutaj znowu wracamy do kwestii koniecznego przeorganizowania instytucji, która innymi metodami od kilku dekad opierała się „twardemu resetowi". Poza tym, jak zwykle, wystarczy spojrzeć na wymiar sprawiedliwości w innych krajach Unii, aby okazało się, że podobne rozwiązania (polityczne nominacje sędziów, wiek emerytalny, czasami nawet brak TK) funkcjonują od dawna i nikt nie ma z nimi problemu. Nie zmienia to jednak tego, że PiS kolejny raz wizerunkowo poszedł po bandzie, nie oglądając się i nie tłumacząc swoich motywacji sojusznikom i mediom, podczas gdy pragmatyka polityczna wymaga wzięcia tego czynnika pod uwagę, aby później nie trzeba się było wycofywać ze zmian pod naciskiem światowej opinii publicznej, tak jak w przypadku ustawy o IPN. Niepokoi mnie ten brak debaty w parlamencie i brak transparentnego procesu uchwalania ustaw. Mieć rację i mandat do jej wdrożenia w życie to jedno, ale sposób, w jaki się to robi, to drugie.

Brak PR, braki w komunikacji i jeszcze ten Mick Jagger w Warszawie, którego aluzje do SN opisano jako poparcie protestów. Może po prostu Nowogrodzka myśli, że nie warto kopać się z koniem, bo ten i tak na koniec wygra?

Na szczęście są w rządzie tacy, jak choćby premier Mateusz Morawiecki, którzy wierzą, że wizerunek i sposób wykładania swoich racji to istotny element dyplomacji i miękkiej polityki. A co do Micka Jaggera? Niech skupi się na tym, w czym jest dobry, czyli na śpiewaniu. Jakoś podczas niedawnego koncertu na Kubie taki odważny nie był, a o panującej tam komunistycznej dyktaturze nawet się nie zająknął. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 5b277a8c4d

OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL TWÓRCZOŚCI PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

NIEZAPOMNIANY KONCERT

12 WRZEŚNIA
POZNAŃ
GODZ. 20.00

TEATR WIELKI
IM. STANISŁAWA MONIUSZKI

Gintrowski
a jednak coś po nas zostanie...
2018 rokiem Zbigniewa Herberta

ORAZ
ORKIESTRA
TEATRU WIELKIEGO
W POZNANIU
POD BATUTĄ
JANA STOKŁOSY

BILETY JUŻ W SPRZEDAŻY: BILETY24.PL

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MECENAS KONCERTU: Enea

WSPÓŁORGANIZATOR: PMPG POLSKIE MEDIA SA

PATRONI MEDIALNI: wprost, Do Rzeczy, TVP, GŁOS WIELKOPOLSKI

eprasa.pl 5b277a8c4d

OKIEM BLOGERKI

Ikona

KATARYNA

„GAZETA WYBORCZA": *Jako prezydent Wałęsa otoczył się służbami specjalnymi, obalił rząd Olszewskiego, zablokował lustrację i wyrwał dokumenty z teczki „Bolka", zbierał haki na Kaczyńskich, Merkla i Borusewicza. Czy to jest prawda o Wałęsie? Niewątpliwie tak.*

Wychowałam się na „Gazecie Wyborczej", więc po przełomie 1989 r. na Lecha Wałęsę patrzyłam głównie jej oczami, zdanie o Wałęsie człowieku wyrabiałam sobie na podstawie książki „Wódz" autorstwa dawnego rzecznika prasowego Wałęsy, a obecnie zastępcy redaktora naczelnego „GW", Jarosława Kurskiego. A przecież ta i tak bardzo mocna książka to była tylko przygrywka do koszmarnej prezydentury Wałęsy, której bodaj najbardziej trwałym wkładem w III RP jest „falandyzacja prawa". Słowo wymyśliła również dziennikarka „Gazety", Ewa Milewicz, po tym, jak Wałęsa uzurpował sobie prawo niezgodnego z konstytucją odwołania członków Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, a Lech Falandysz tłumaczył go w stylu podobnym do tego, w jakim dzisiaj politycy PiS tłumaczą, że sześcioletnia konstytucyjna kadencja sędzi Gersdorf może się skończyć po czterch latach, jeśli prezydentowi tak się podoba. Za wiele rzeczy mam żal do Wałęsy, ale chyba najbardziej za zepsucie kruchej demokracji, zanim zdążyła dojrzeć. Kilka powodów zacytowałam za „GW", na wyliczenie wszystkich miejsca nie starczy.

Prócz rzeczy, za które mam do Wałęsy żal, były takie, za które czułam do niego wstręt

Jednak oprócz rzeczy, za które mam do Wałęsy prezydenta żal, były takie, za które czułam do niego wstręt. Taką sprawą był jego stosunek do osób z dwóch stron barykady, mających jakiś kontakt z „Bolkiem". Adama Hodysza, który za pomaganie Solidarności odsiedział czteroletni wyrok, osobiście polecił zdymisjonować, gdy Hodysz odnalazł papiery „Bolka". „Kto raz zdradził, będzie zdradzał dalej" – miał powiedzieć Wałęsa o Hodyszu, który „zdradził" SB i za karę na stanowisku szefa delegatury UOP został zastąpiony przez esbeka niezłomnego, który na polecenie SB aż do 1989 r. dowodził ekipą zajmującą się obserwacją… Wałęsy.

Jakże inaczej potraktowani zostali esbecy, którzy – zdaniem Wałęsy – sfałszowali papiery i wrobili go w „Bolka". Do nich były prezydent napisał publicznie w tonie pełnym zrozumienia i otwartości na współpracę. „Tworzyliście te dokumenty w dobrej wierze, z patriotycznych pobudek i w słusznej obawie, że ZSRR nie pozwoli Polsce, a działania Wałęsy doprowadzą do tragedii. Ja to uznaję, nie wnoszę żadnych pretensji, dziś ani w przyszłości. Walka skończona, możemy i powinniśmy iść razem bez pretensji. Budujmy przyszłość, nie dając szans popaprańcom wykorzystywać naszych (nie zawsze czystych) metod walki do ich brudnej walki". Szokujące, prawda? Jak większość wyborów Wałęsy po 1989 r.

Jeśli dziś Lech Wałęsa może być ikoną demokracji, to wyłącznie dlatego, że mądry naród bardzo szybko odsunął go od realnego wpływu na politykę, a że było to bardzo dawno, większość nie wie, nie pamięta lub próbuje nie pamiętać, jaka była demokracja w wykonaniu Wałęsy, gdy jeszcze ją budował. Młodzież może nie wierzyć, widząc, jak dzisiaj opozycja robi z Wałęsy autorytet moralny i strażnika demokratycznych wartości, że w czasach, gdy miał realną władzę, ci sami ludzie opisywali go podobnie, jak dzisiaj opisują Kaczyńskiego. Ale cóż, jaka demokracja, taka ikona. ©℗

PODSŁUCHANE

Niech się uczą

No i jak, Andrzeju? Jak tam szczyt? Mamy to dowództwo NATO w Szczecinie?
Wspaniale, Paweł! Z Trumpem się widziałem… Może przelotnie, ale zawsze.

To widziałem w telewizji. Ale co z dowództwem?
No więc… Na razie nie ma. Temat będzie dyskutowany.

Dyskutowany? Czyli nie będzie?
Nie wiadomo, może, kiedyś, nie traćmy nadziei…

Ale przecież to już było prawie dogadane!
Fakt, było. Ale jak jeszcze Antoni był ministrem, pojechał od niego jeden generał negocjować. Tylko angielskiego nie znał. Wygłosił stanowisko przez tłumacza, a oni mu mówią, że może jednak zostawić decyzję na później. A on mówi „okej", bo nie zrozumiał.

Ale przecież potem Mariusz jeździł do NATO, jak o tym rozmawiano!
Owszem, ale Mariusz też nie mówi po angielsku. I też akurat tłumacza nie było, jak mu mówili, że sprawa na razie idzie ad acta. I pytają go, czy się zgadza, a Mariusz mówi: „Gut". No i się rypło.

A co na to Jarek?
Nic. Powiedział, że jesteśmy dumnym krajem i oni się mają nauczyć po polsku.

Matko jedyna. Wszyscy?! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS i PO obawiają się oczywiście, że Biedroń pójdzie w Polskę, jak się wkurzy, i założy coś, co ich zmiecie ze sceny politycznej".

ROBERT BIEDROŃ, *prezydent Słupska, w Radiu RMF FM*

eprasa.pl 5b277a8c4d

fot. Jerzy Gumowski

Ryk dynamitardów

Celebryci polscy, nawet ci umysłowi (jak Ziemkiewicz, Chodakiewicz, Wencel czy też Jan Pietrzak), co pewien czas ulegają rozmóżdżeniu (dotknęło ono m.in. premiera Morawieckiego), które się objawia gromkim, pełnym antystalinowskich pohukiwań żądaniem, by zburzyć Pałac Kultury i Nauki, zrównać go z ziemią, anihilować, ku radości deweloperów i prawdziwych patriotów. Tych stuprocentowych. Stuprocentowy spirytus podobno nie istnieje, jednak stuprocentowy *„stan wskazujący”* owszem.

Ziemkiewicz, Macierewicz (wciąż groźny eksszef MON), Morawiecki czy Kownacki (wiceszef MON, który mówi, że wojsko mogłoby wysadzić PKiN i byłoby to *„fajne ćwiczenie dla żołnierzy”*) stają w jednym szeregu z platformersem R. Sikorskim, który chciał się bawić i saperstwem (wysadzeniem PKiN–u), i myślistwem (*„dorzynaniem watahy”*). Podobno cała grupa ministrów pisowskich też żąda dynamitu gwoli rozpirzenia Pałacu. Myślę, że puknięcie się w łeb byłoby dla nich *„fajnym ćwiczeniem”*, i fizycznym, i myślowym.

Cykliczna regularność głupawych kampanii przeciw największemu warszawskiemu gmachowi skłoniła mnie już dawno temu, by strawestować nazwę PKiN jako: Pałac Krytyki i Nagonki. Ilekroć słyszę prorozbiórkowy ryk wymierzony w ów obiekt, tylekroć mam wrażenie czkawki dziejów, bo identycznie bzdurnych kampanii przeciwko megabudowli dominującej swą kubaturą i wysokością metropolię — historia zna sporo. Przykładem klasycznym jest paryska Wieża Eiffla, przez którą skompromitowali się intelektualiści francuscy, długo wyklinający tego *„żelaznego potwora szpecącego Paryż”*. Notabene: „szpeciła” ona stolicę Francji bardziej niż PKiN „szpeci” Warszawę, gdyż jej modernistyczna estetyka była znacznie silniej opozycyjna wobec tradycyjnej paryskiej architektury. Obie te budowle miały zresztą kolebki propagandowe, były prestiżowymi demonstracjami o charakterze ideologicznym. W przedostatniej dekadzie XIX wieku burżuazja francuska, bolejąca nad klęską, jaką pod Sedanem sprawiły Francuzom Prusy (1870), gorączkowo szukała metod odrodzenia kraju i możliwości zaprezentowania światu zmartwychwstałej glorii francuskiej. Okazję dało imprezowanie międzynarodowe (Wystawa Światowa w Paryżu), a symbolem nowej frankońskiej siły miała być wybudowana na ekspozycję Wieża Eiffla (1889). Ku zdziwieniu jej twórców — bezzwłocznie wzbudziła furię francuskich środowisk intelektualnych i artystycznych. Tamtejsi koryfeusze wcześniej nie protestowali przeciw stalowym i żelaznym konstrukcjom; gdy legendarny urbanista–*„burzyciel”* Haussmann instruował Baltarda projektującego nowoczesne Hale: *„ — Du fer, du fer, rien que du fer!”* (*„ — Żelaza, żelaza, samego żelaza!”*) — nikt nie miał mu tego za złe. Hale? Proszę bardzo, nie deprecjonują pejzażu miasta (podobnie krytycy PKiN–u nie czepiali się zbytnio socarchitektury MDM–u — osiedle mieszkaniowe, proszę bardzo). Ale kiedy zobaczono szkic stalowego Guliwera, który ma się rozkraczyć nad Paryżem jak nad mrowiem liliputów — salonowe elity francuskie ogarnęła wściekłość. Wykorzystując prasę rozpętano nagonkę pod hasłem: *„Precz z tym szkieletem blaszanym!”*, zaś grupa autorytetów (tzw. *„pięćdziesięciu wielkich”*, m.in. Gounod, Dumas–syn, Maupassant) upichciła petycję do władz głoszącą, że dziwadło pana Eiffla *„spaskudzi i zhańbi miasto Paryż”*.

Nagonka na PKiN (w PRL–u cicha, *„opozycyjna”*; w III RP głośna, *„patriotyczna”*) trwa parę dekad. Nagonka na Wieżę Eiffla też trwała dekady. Gdy poeta Verlaine krzyczał: *„Ohydna!”* i radził wysadzić ją w powietrze — dostawał rzęsiste brawa. Artyści wyjeżdżający z Paryża na plenery malarskie rutynowo deklarowali, że opuszczają miasto, by wzrok mógł odpocząć od *„tego paskudztwa”*. Kiedy kolega ujrzał Maupassanta w restauracji na wieży, i spytał zdumiony: *„ — Ty tutaj?!...”* — pisarz burknął: *„ — Mój drogi, to jedyne miejsce w Paryżu gdzie mogę spożyć śniadanie nie patrząc na nią”*. Po latach gniewu przyszły jednak lata humoru, czyli lata coraz cieplejszych dowcipów à propos Wieży Eiffla (jak i w Warszawie, gdzie kpiono, że PKiN trzeba zburzyć, bo zasłania „Stodołę”, studencki klub modny za PRL–u), a później lata akceptacji, sympatii, wreszcie miłości euforycznej. Dawna *„paskuda”* stała się uwielbianą *„najpiękniejszą Paryżanką”*, chlubą miasta i jego symbolem większym (globalnie silniej rozpoznawalnym) niż Luwr czy Notre–Dame, swoistym logo nadsekwańskiego grodu. Gdyby zniknęła — pejzaż stolicy Francji jawiłby się nam niby kobieta bez nogi lub mężczyzna bez… no, mniejsza z tym. Nie twierdzę, że stosunek Polaków wobec PKiN–u przejdzie analogiczną ewolucję, lecz negowanie wartości zabytkowej tego obiektu (który świetnie dokumentuje estetykę nurtu sztuki zwanego Socrealizmem, a ściślej subnurtu zwanego *„socklasycyzmem”*) uważam za gruby błąd rozjuszonych krytyków. Już jako młody publicysta perswadowałem w tygodniku **„Literatura”** (1977), że jest to *„bezcenne żywe świadectwo budownictwa o funkcji polityczno–ideologicznej”*. Pisałem tak nie jako propagandzista, lecz jako absolwent Wydziału Architektury PW i Historii Sztuki Uniwersytetu Rzymskiego. Do dziś nie zmieniłem zdania.

Wtedy, za PRL–u, silniej, szerzej i o rok wcześniej niż ja (1976) bronił PKiN–u głośny niezależny artysta Franciszek Starowieyski. Szerzej, albowiem wyrażał gorącą aprobatę dla walorów urbanistycznych i architektonicznych tej budowli. Klarował: *„Pałac Kultury — zawsze to twierdziłem — jest absolutnie znakomitym akcentem Warszawy. Zainspirowałem jednego z przyjaciół do napisania artykułu pochwalnego o Pałacu Kultury. Bo to jest wspaniała rzecz! (...) Wspaniale jest wykonany. Ceramiczna, kamienna powłoka, zawsze czysty, monumentalny, z wieżą wyższą od kościołów, wyraźnie siedzi w krajobrazie... Błyszcząca iglica. Kiedy się dojeżdża do Warszawy, widać ją z odległości kilkudziesięciu kilometrów”*. Pisząc dalej o klasie estetycznej (rozpiętej między świetnymi proporcjami, czyli harmonią poszczególnych *„klocków”*, a detalami), Starowieyski ubolewał, że *„Pałac Kultury mieszano nieraz z błotem”*, i jasno mówił, że względy polityczne g.… go obchodzą.

Francuskim *„wykształciuchom”* przemówiła do rozumu wpadka z Wieżą Eiffla (stąd w 1981 krytyka szklanej piramidy Chińczyka Ming Pei na dziedzińcu XVII–wiecznego Luwru była już śladowa). Nasi niech też zmądrzeją i przestaną bredzić, że *„koń trojański Stalina”* winien ulec rozbiórce. Rozebrać trzeba raczej sąsiadujący z nim megahotel (eks–„Forum”), pudełkowy koszmarek, który szpeci centrum miasta i jakoś nie budzi sprzeciwu ignorantów, wyburzaczy kamieni historii.

Gdyby lansowana deklaracjami prominentnych i celebryckich wyburzaczy hucpa miała trwać dalej, to przypominam, że już w III RP Wojewódzki Konserwator Zabytków, ceniąc wartość kamiennego świadectwa historii (reliktu socprzeszłości), wpisał Pałac Kultury i Nauki do Rejestru Zabytków, czyli obiektów chronionych przez państwo i przez prawo. Można mieć tedy chyba nadzieję, iż ów VIP od zabytkowości pokaże zgięty łokieć wszystkim wandalom z lobby burzycielskiego. W tej nadziei umacnia mnie fakt, że mury gmachu są właśnie myte, skrobane, szorowane, by przywrócić mu blask. Panowie patrioci 110–procentowi — odwalcie się od PKiN–u! ©℗

Waldemar Łysiak

Poeta Karol Brzozowski (XIX w.):

„Rozwalać, burzyć —
to jest hasło twoje.
Chciałbyś do szczętu
zdruzgotać budowlę”.

eprasa.pl 5b277a8c4d

Tankuj, kupuj i odbierz w atrakcyjnej cenie!*

Zbierz 15 naklejek i złap piłkę już za 10 złotych lub 4900 punktów VITAY.

Kierunek jest jeden...

ORLEN

*Sprzedaż promocyjna do 05.08.2018 r. lub do wyczerpania zapasów. Szczegóły promocji w regulaminie na: dlakierowcow.orlen.pl.

eprasa.pl 5b277a8c4d